

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

WRZESIEŃ 2016/5

magazyn **histeria**.pl

LEMA WIDZENIA ŚWIATA

dr Eliza Krzyńska-Nawrocka

GOŚĆ SPECJALNY:

Kazimierz
Kyrucz Jr

BAZAR | CIEMNA STRONA LUNY | MAMUSIA
PERSUS 2030 | POPEKANE NIEBO
PRZYPADEK PILOTA FABISIAKA
REJS COLUMBUSA | W IMIĘ OJCA
Z BŁĘKITU W CZERNĄ | ZŁY DOTYK

SPIIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
BAZAR	Paweł Cieliczko	5
CIEMNA STRONA LUNY	Agnieszka Kwiatkowska	21
MAMUSIA	Anna Musiałowicz	32
PERSUS 2030	Tomasz Kempski	38
POPEKANE NIEBO	Kazimierz Kyrz Jr	52
PRZYPADEK PILOTA FABISIAKA	Jarosław Jakubowski	56
REJS COLUMBUSA	Sylwia Bylicka	69
W IMIĘ OJCA	Damian Cieślik	78
Z BŁĘKITU W CZERNÍ	Przemysław Pilarek	93
ZŁY DOTYK	Karol Mitka	109
Lema widzenia świata	Eliza Krzyńska-Nawrocka	116

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Projekt okładki: Dawid Boldys

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Anusza, Marcin Czarnecki, Olga Czarnecka, Agnieszka Grocholska, Grzegorz Marcholt, Alicja Tempłowicz, Joanna Widomska, Izabela Wojciechowska, Kosma Woźniarski,

Korekta: Dagmara Adwentowska, Magdalena Kucenty

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami wrześniowa Histeria. Unosi się nad nią duch Stanisława Lema, którego 95. rocznicę urodzin obchodzimy w tym miesiącu.

Gościem Specjalnym szesnastego numeru jest Kazimierz Kyrz Jr, który prezentuje na naszych łamach niepublikowane dotąd opowiadanie „Popękane niebo”.

Wśród dziesięciu opowiadań znajdziecie cztery finałowe teksty grozy science fiction z konkursu „Cyberiada”. Na początek jednak wywiad z Histerykiem Miesiąca – Damianem Zdanowiczem.

Na koniec – artykuł dr Elizy Krzyńskiej-Nawrockiej pt.: „Lema widzenia świata”.

Tyle od nas. Wracamy do prac nad kolejnym numerem. Życzymy strasznej lektury!

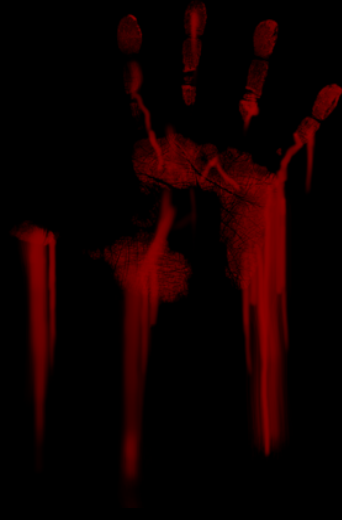


B. Jaworski i M. Zawadzki

WYZNANIA HISTERYKA



Damian
Zdanowicz



Mam 23 lata. Piszę od czasów liceum. Pierwsze opowiadania szczęśliwie zbierają kurz w szufladzie, chociaż kilka się wydostało i jako potencjalny materiał do szantażu nie pozwalają w nocy spać. Zwrot w podejściu do pisania nastąpił po przeczytaniu pokonkursowej antologii „Po drugiej stronie”, którą otrzymałem w ramach wyróżnienia. Nowsze materiały wysyłam na konkursy albo cierpliwie gromadzę w nadziei, że coś z tego będzie.

Skąd pomysł na „Zbierali się w piwnicy tego budynku wieczorami”?

Miała to być historia o medytacji. Moja pierwsza medytacja (za wskazówki techniczne dziękuję old weirdmanowi z pessimus.pl) zakończyła się dość dziwnym poczuciem obcości we własnej skórze. Chociaż słowo medytacja nie pada, to opowiadanie, mimo ewolucji pomysłu, pozostało tekstem o poznawaniu siebie, zagłębieniu w głąb siebie i w rezultacie odkrywaniu czegoś, co można określić jako grozę nadprzyrodzoną. Takie ujęcie poznania ludzkiej natury nie będzie obce dla czytelników Ligottiego. Medytacja umożliwiła też dodanie aspektu psychotopograficznego, który grał pierwsze skrzypce (albo pierwszą wiolę – jak mógłby powiedzieć ktoś po lekturze pewnego opowiadania H.P. Lovecrafta).

Jak wyglądała praca nad tekstem?

Domyślałem się, że nie był to ciekawy widok. Na szczęście nikt nie musiał go znosić. Moim zdaniem praca nad tekstem wizualnie nie może równać się z np. grą na instrumencie muzycznym. A poważnie to nie pamiętam, jak długo powstawała pierwsza wersja tekstu. W każdym razie była skończona i zdążyła wystygnąć, zanim ogłosiliście konkurs. Później wprowadziłem poprawki, zastąpiłem trzecią część starej treści nową – nie dlatego, że tak każe jakiś pisarski regulamin, ale uznałem, że pewne akapity są zbędne, za to innych brakuje. Piszę wolno, często zatrzymuję się na długo, bo nie wiem, co dalej napisać, a jeśli wiem co, to nie wiem jak.

Jakich pisarzy szeroko pojętej grozy cenisz sobie najbardziej?

Czytam mało grozy, głównie klasyków wydawanych przez C&T. Mogę polecić „Za sprawą nocy” Thomasa Glavinica. To jedna z najbardziej przerażających książek, jakie czytałem. „Powrotem” zaimponował mi Wojciech Guń. Uwielbiam Houellebecqa, bardzo podobały mi się „Historie o zwykłym szaleństwie” i „Najpiękniejsza dziewczyna w mieście” Bukowskiego. Ci dwaj autorzy na pierwszy rzut oka nie mają wiele wspólnego z horrorem, ale wyczuwa się w ich dziełach pesymizm, szczerość. Z podobnych powodów czytam Nabokova. W doborze lektur kieruję się przede wszystkim pokrewieństwem w widzeniu świata. Chociaż preferuję horror jako konwencję najbardziej adekwatną do opisu rzeczywistości, to mimo wszystko konwencja pozostaje sprawą drugorzędną.

Pisanie to hobby czy coś więcej?

To sposób na zabicie czasu i czucie się dobrze. W gruncie rzeczy w życiu nie robi się niczego więcej. To też sposób na zajrzenie do własnej głowy.

Z czym kojarzy Ci się słowo histeria?

Z wrzeszczącą kobietą, którą towarzystwo ma za wariatkę i próbuje uciszyć. Chyba nikt nie lubi histeryków. Społeczeństwo woli zimnych i opanowanych bohaterów, którzy radzą sobie z przeciwnościami, w ostateczności pogodzonych z losem cyników, bo jeśli już musisz narzekać, to przynajmniej w zabawny sposób. Zazwyczaj nie lubimy myśleć o tym, że drzemią w nas pokłady depresji i przerażenia, a świat zna milion zakłęb, żeby je obudzić i wydobyć na powierzchnię. Trudno o lepszą nazwę dla magazynu grozy.

rys. Kosma Woźniarski



BAZAR

Paweł Cieliczko

Przedmowa

Autora prezentowanych tu opowiadań poznałam w okresie, kiedy przechodziłam kryzys własnej twórczości literackiej. Takiego początku opowiadania oczekiwaliby pewnie czytelnicy. Byłby to znakomity uchwyt dla opowieści o tym, jak to dzięki spotkaniu z nim mój kryzys minął, a natchnienie powróciło. Tak jednak nie było. Nasze spotkania nie

odbywały się w zadymionych kawiarniach, w których słuchałabym jego opowieści i nie kończyły się nad ranem, kiedy zamykano lokal. Nie przechodziłam wówczas żadnego kryzysu twórczego. Gdy go spotkałam, byłam rezolutną, nastoletnią dziewczynką z ogromnymi kokardami na myszatyh warkoczach.

Każdego miesiąca przyjeżdżałam wraz z matką do majątku pana Jana Komornickiego. Doradzał jej w sprawach finansowych, z nim konsultowała rodzinne inwestycje, nazywała go „przyjacielem rodziny”. Prawdziwym powodem naszych przyjazdów nie były jednak rodzinne interesy, ale gorące uczucie, jakim matka darzyła tego mężczyznę o sumiastych wąsach, który tak bardzo różnił się od mego ojca, chudego urzędniczyny średniego szczebla. Obecność rozszczebiotanej dziewczynki, którą wtedy byłam, sprawiała, że nikt nie podejrzewał, żeby mógł istnieć jakikolwiek pozabiznesowy powód do regularnych wyjazdów mojej matki.

Kiedy jednak już byliśmy w Grabowie, natychmiast traciłam swoją funkcję doskonałego alibi, a stawałam się rozbrykanym i nazbyt wścibskim balastem. Pewnego dnia w przypałacowym parku spotkałam starego mężczyznę, który kazał się nazywać „dziadkiem Piotrem”. Na dworze, na folwarku oraz we wsi uchodził za szaleńca, odmienca i odludka, dzieci śmiały się z niego, a dorośli spluwali, gdy ich mijał. Ja polubiłam go od pierwszego wejrzenia. Był jakimś krewnym naszego gospodarza, który się nim zaopiekował, utrzymywał go i pozwalał mieszkać na stryszku nad dwozem.

Pan Jan skwapliwie przystał na to, bym spędzała z dziadkiem Piotrem całe popołudnia, pozwalał nam nawet jeździć bryczką do pobliskiego miasteczka, gdzie zamawiałam sobie lody w kawiarni. Mój stary kompan raczył się wówczas zimnym piwem i snuł przede mną niezwykle opowieści, których słuchałam jak zaczarowana. Gdy matka pytała mnie potem, o czym mi opowiadał, nie potrafiłam ich streścić, jakbym przeczuwała, że kryje się za nimi jakiś tajemniczy świat, do którego nikt poza mną nie powinien być dopuszczony. Matka patrzyła na mnie znacząco, ale nigdy się nie dopytywała. Sądzę, że to było takie nasze kobiece porozumienie; ja nie pytałam, co robiła w pałacu z panem Janem, ona nie oczekiwała, że zdradzę jej przebieg moich spotkań z dziadkiem Piotrem. Patrząc na to z perspektywy lat, jestem przekonana, że moja tajemnica była znacznie ważniejsza, bo i moje wykroczenie przeciwko społecznym normom było znacznie większe niżeli banalny romans mojej matki.

Dzisiaj myślę, że to właśnie opowieści dziadka Piotra wdarły się do mego dziewczęcego mózgu, załęgły się w nim i sprawiły, że stałam się tym, kim jestem. Uważałam się zawsze za kobietę niezależną, samodzielną, która sama decyduje o swym życiu. Dziś myślę, że to te letnie popołudnia, które z nim spędziłam, sprawiły, że się zmieniłam, że to on

zasiał w moim nieukształtowanym jeszcze umyśle ziarno myśli, które zakiełkowało i wydało plon, jakiego sam się nie spodziewał, ale tak bardzo pragnął. Nie byłam kreatorką swego życia, a tylko podążałam jak somnambuliczka za nikłą poświatą, jaką przede mną zapalił. Jego słowa zapadły głęboko w moją pamięć i ukształtowały mnie na całe życie, jako kobietę niezależną, przede wszystkim niezależną od mężczyzn.

Pewnej letniej niedzieli, kiedy jak zwykle przybyłyśmy do dworu, okazało się, że dziadka Piotra już w nim nie ma. Powiedziano mi, że jest w szpitalu. Chciałam go natychmiast odwiedzić, ale wówczas wyjaśniono mi, że to szpital dla obłąkanych i umysłowo chorych, a pacjentów w nim zamkniętych nie można odwiedzać. Świat bez dziadka Piotra stał się niebezpieczny, pałacowy park nie był już przyjazną przestrzenią, a miejscem, w którym czaiły się złe demony. Bałam się parku, bałam się wsi, bałam się pól i lasów.

Cicho wróciłam do dworu i wkradłam się na stryszek, gdzie znajdował się pokój zajmowany przez dziadka Piotra. Napisałam do niego długi list, w którym opisywałam swoje dziewczęce przemyślenia i rozterki, zdradziłam przed nim najbardziej intymne tajemnice; wiedziałam, że jest jedyną osobą, której mogę zaufać. Pisałam do niego, ale równocześnie myślałam, że nigdy nie powróci ze szpitala, nigdy nie przeczyta moich wyznań, a ja zniszczę ten pamiętnik podczas kolejnej wizyty. Tak myślałam jeszcze w sierpniu, ale we wrześniu wybuchła wojna. Miałam wówczas dziewiętnaście lat, historia nagle przyspieszyła, zaczęły się dziać rzeczy tak ważne, że moje pensjonarskie notatki pozostawione pod materacem na strychu dworu w Grabowie, przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Dziesięć lat to nie jest jakiś szczególnie długi okres, jednak dekada rozpięta pomiędzy rokiem 1939 a 1949 rokiem bogatsza była w zdarzenia niż niejedno stulecie. Gdy listonosz położył przede mną grubą, szarą kopertę, nie miałam wątpliwości, skąd ona pochodzi. Pachniała słońcem, żywicznymi belkami, starym siennikiem, wilgocią, kurzem, wykroczeniem, przeszłością, czasami, które bezpowrotnie już odeszły, o których już prawie zapomniałam, a teraz sam zapach tej koperty pobudził moje myśli i sprawił, że obrazy stanęły mi przed oczami, tak jakbym wczoraj wyjechała z Grabowa.

Gdy tylko doręczyciel opuścił mój pokój w instytucie, uniosłam ją i wciągnęłam jej woń, nie chciałam uronić nic z zapachu przeszłości. Stara koperta przenosiła mnie w inne czasy, czasy, gdy nie byłam młodą, przebojową działaczką marksistowską, przed którą otworem stały wrota kariery na uczelni, w organizacjach kobiecych, w partii, gdziekolwiek

sobie wymarzę. Wciągałam każdy pyłek, który osiadł na kopercie, a te mikrocząstki starego świata pędziły ku zwojom mego mózgu i zmieniały go; stary świat jawił się na nowo i był tak odmienny od tego, co pokazywano w kronikach filmowych, pisano w książkach czy propagandowych referatach, które sama tworzyłam.

Nie miałam jednak odwagi otworzyć tej koperty. Wiedziałam, że to, co w niej jest, może zmienić moje życie, a wówczas wcale nie chciałam go zmieniać. Miałam jasną wizję i nie chciałam jej zakłócać, a skoro sam zapach tej przesyłki z innego świata tak mnie oszołomił, to co dopiero mogły uczynić słowa, które w niej odnajdę. Nie miałam też odwagi jej zniszczyć, schowałam ją pod materacem, tym razem był to materac w moim pokoju.

Minęło siedem lat nim zrozumiałam, że nowy wspaniały świat, w który tak bardzo wierzyłam, okazał się ułudą, i to zbrodniczą ułudą. Po tym, czego się dowiedziałam w Moskwie, po tym, co zobaczyłam w Poznaniu, zrozumiałam, w jak morderczej maszynierii byłam trybikiem. Odarta ze złudzeń, marzeń, nadziei, którymi się karmiłam przez ostatnie lata, nie potrafiłam dalej żyć. Sięgnęłam pod materac, gdzie trzymałam mały pistolet TT, który zabierałam, gdy jeździłam na rekwizycje. Zamiast na zimny metal pistoletu, trafiłam na ciepły, szorstki papier koperty. Wobec decyzji, którą podjęłam, to, co w niej znajdę, nie miało już teraz znaczenia, rozdarłam ją i zaczęłam czytać notatki poczynione starannym, kobiecym pismem.

Rzeka

Płeć determinuje to, kim jesteśmy, kim będziemy i jak zostaniemy zapamiętani przez świat – pierwsze słowa, jakie przeczytałam, nie pozostawiały wątpliwości, tak mówił do mnie tylko dziadek Piotr. – Czas płynie jak rzeka, która obmywa nas i szlifuje jak rzeczne kamienie. Sprawia, że upodabniamy się do siebie i na koniec jedyne, do czego się nadajemy, to puszczanie kaczek po wodzie. Nasze wszelkie chropowatości, ostrości, nieoczywistości zanikają. Stajemy się obłym, twardym kamieniem. Kamieniami stają się mężczyźni, bo kobiety nie są nawet rzecznyymi kamieniami, one zamieniają się w miękki piasek, całkowicie zanikają.

Warszawskie Powiśle w czasach mojej młodości to była dzielnica zakazana, w której nie pokazywały się raczej panienki z dobrych domów. Panienki z dobrych domów nie miały prawa w ogóle wiedzieć o istnieniu takich miejsc. Była to dzielnica nędzy, brudu, bandytów,

pokątnych handlarzy, sutenerów i prostytutek. Tak opisywali ją pozytywiści. My, nowi ludzie z początku nowego stulecia nie ulegaliśmy takiej mieszczańskiej presji. My byliśmy gotowi łamać kołtuńskie przekonania, burzyć stereotypy, przenikać przez klasy społeczne i budować związki wolnych ludzi.

Bolek wielokrotnie opowiadał mi o swoich wyprawach na Powiśle. Nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic. Słuchałam o nastoletnich prostytutkach, które potrafiły wyczyniać rzeczy, o jakich nie śnili mężowie w swoich alkowach. Opowiadał o mężczyznach, którzy ciężko pracowali na swoje życie, ale potrafili też z niego korzystać pełnymi garściami. Brali z niego to, co najlepsze, bo nie wiedzieli, czy następny dzień da im jeszcze cokolwiek. Bolesław był dla mnie namiastką tego tajemniczego i niezwykłego świata, do którego dostęp mieli tylko najodważniejsi, ci, którzy sami kierowali swoim życiem, a za żadną cenę nie dawali sobą kierować.

To była kolejna noc, podczas której nie mogłam zasnąć. Nie mogłam znieść porzucenia. Chciałam, żeby powrócił do mnie, chciałam, żeby był ze mną, żeby był przy mnie cały czas. Postanowiłam pójść nocą do jego domu, wyznać jego żonie, jak bardzo się kochamy i że jesteśmy dla siebie stworzeni, a on czuje się spętany w tym ich rozsądnym, mieszczańskim małżeństwie. Tak bardzo pragnęłam wyrwać go stamtąd. Nie mogłam wyjść główną bramą, konsjerż nie wypuściłby mnie nocą z kamienicy. Przeszłam do służbówki, zarzuciłam palto i chustkę służącej i wyjdziem dla służby opuściłam budynek. Pierwszy raz w życiu szłam sama warszawskimi ulicami, późnym wieczorem, ledwie rozświetlanym przez gazowe latarnie.

Byłam rozgrzana od emocji, ale pewna swojej decyzji. Nasza miłość musiała zatriumfować nad mieszczańskimi przekonaniem. Z każdym krokiem traciłam jednak przekonanie o słuszności. Zaczęłam wyobrażać sobie, jak stanę przed drzwiami jego mieszkania, jak będę wypowiadała swoje kwestie, a on i jego żona będą słuchali w nocnych koszulach i szlafmycach na głowach. Zaczął padać deszcz. Chustka nie chroniła mnie dostatecznie. Widziałam, jak stoję przed nimi, jak zmoknięta kura, jak służąca, która zakochała się w panu, panu, który skorzystał z jej uczucia, a ona przychodzi i domaga się, żeby porzucił żonę i odszedł z nią. Nie mogłam już wrócić po inny strój, w tym nie mogłam się pokazać. Powrót nocą do domu byłby dla mnie upokorzeniem. Ruszyłam ku Wiśle.

Szłam pewnym krokiem ku zakazanej dzielnicy. Chciałam zobaczyć, jak wygląda prawdziwe życie, które znałam tylko z opowiadań. Czulałam zapach rzeczno szlamu, feter nieświeżych, rozkładających się ryb, smród lepierek pozbawionych kanalizacji, odór śmieci, które wysypywano nad rzeką, a które ona zabierała dopiero z wiosennymi powodziąmi. Powietrze przestawało być mroźne i rześkie, stawało się coraz bardziej lepkie. Latarnie

uliczne pojawiały się coraz rzadziej. Poczułam, jak mój but trafił na coś miękkiego, jak osuwam się, krzyknęłam przerażona, poderwałam się i pobiegłam ku najbliższemu światłu. Nie otaczała mnie już wówczas tylko ciemność, nie otaczała mnie tylko mgła. Wiedziałam, że dziesiątki oczu z bram, zaułków i ciemnych okien przypatrują się mi, taksują mnie wzrokiem, czekają, bym się znowu potknęła. Podążały za mną spojrzenia, ale i głosy, a właściwie jeden głos, szept, który rozrywał mi czaszkę – „Jesteś nasza, jesteś nasza, jesteś nasza”.

Światło latarni gazowej wyznaczało kilkumetrowy krąg bezpieczeństwa. Za nim błyskały złe oczy, zza linii tego jasnego kręgu dochodziły przerażające szepty. Wyjście z niego równało się wpadnięciu w ich łapy. Nie miałam pojęcia, kim oni byli, nie pokazywali swych twarzy, dostrzegałam tylko ich cienie majaczące na granicy jasności i ciemności. Stałam pod latarnią, wiedząc, że wychodząc poza wąski krąg jaki roztaczała, wpadnę w ich macki, z których już się nie oswobodzę. Nagle usłyszałam brzęk tłuczonego szkła i obok mnie spadły odłamki szkła. Ktoś rzucił kamieniem. Drugi kamień trafił w metalowy słup. Trzeci stuknął kolejną szybę. Otaczające mnie cienie postanowiły zgasić chroniące mnie światło, nie mogłam się wyrwać z ich zacieśniającego się kręgu. Ukrywanie się było tylko odwlekaniem tego, co nieuniknione. Chciałam krzyknąć, ale głos uwięził mi w gardle, z którego wydobyło się tylko cienie popiskiwanie. Odpowiedział mi rechoczący śmiech zjaw. Poleciał kolejny kamień. I wtedy zobaczyłam światełko majaczące w oddali. Poruszało się. Zbliżało się ku mnie. Oni też je dostrzegli. Zamilkli. Rozproszyli się. Odsunęli się z półcienia i zapadli w ciemności.

Warszawska policja wydawała mi się zawsze instytucją przychylną, życzliwą, na której pomoc mogłam zawsze liczyć. Ta noc sprawiła, że nigdy tak już nie pomyślałam. Zrozumiałam, że policja dba tylko o bogatych mężczyzn, ich majątek, żony oraz dzieci. Kobieta, która nie była niczyją córką ani żoną, nie zasługiwała na zainteresowanie, na nic nie zasługiwała. Stójkowi nie znali mnie. Uznali, że jestem niezarejestrowaną prostytutką. Zabrali mnie do swojej dorożki i zawieźli do cyrkułu, gdzie miałam być przesłuchana, zbadana i wszystko miało się wyjaśnić. Zamknęli mnie w celi i kazali mi się rozebrać, nie chcieli mi pobrudzić odzieży. Poddali mnie badaniom, a potem przez całą noc wdrażali mnie do najstarszego zawodu świata.

Zaciskałam palce, aż zbielełe knykcie rozrywały skórę. Szeroko otwartymi oczami patrzyłam w sufit. Marzyłam o tym, żeby poderwać się z łóżka, podbiec do okna, rzucić się z niego i rozbić głowę o kamienny bruk. Gdy zrozumiałam, że nie mam po co iść do Bolesława, też zamierzałam porzucić świat. Pozostawić go. Zaciągnąć się do flisaków. Płynąć z nurtem rzeki, spławiać towary Wisłą, być niezależną, samodzielną. Myślałam, że życie na wodzie uwolni mnie od tego, co pęta mnie przy każdym kroku, jaki czynię na ziemi. Gdy teraz

leżałam bez ruchu na drewnianej ławie, wiedziałam, że uwolnić mnie może tylko szum powietrza owiewający me skronie, zanim zderzę się z kamiennym brukiem przed komendanturą policji. Przez zakratowane okno nie mogłam nawet wyskoczyć, byłam kompletnie zniewolona, nie mogłam nawet odebrać sobie życia.

Zacisnęłam powieki. Nie chciałam zalać się łzami. Nie chciałam dać im tej satysfakcji. To takie kobiece, takie słabe, a ja czułam się człowiekiem. Nie kobietą, powolną i podporządkowaną, tylko wolnym, niezależnym człowiekiem. Nie chciałam im niczym pokazać swej słabości, swej kobiecości. Chciałam, by widzieli we mnie człowieka. Nie widzieli. Przyszedł cały zastęp policjantów. Badali mnie po kolei. A ci, którzy akurat nie brali udziału w badaniu, trzymali mnie, bym się nie wyrwała. Po godzinie tego badania już nie musieli mnie trzymać. Sama trzymałam się brzegów drewnianej ławy, na której mnie gwałcili.

Nigdy tego nie zapomniałam. Nigdy o tym nie opowiadałam. Moja matka i tak się o tym dowiedziała, ale to ja byłam winna temu, że znalazłam się nad rzeką sama, ja byłam kobietą. Gdy następnego dnia wydano mnie rodzinie, musiałam dygać przed grubym policmajstrem i dziękować mu za to, że uratował mnie z rąk rzeźmieszków, którzy dopadli mnie, gdy samotnie włóczyłam się po Powiślu. Gdy wsiedliśmy do dorożki, ojciec tylko spojrzał na mnie i nie zamienił ze mną nawet słowa. Słyszałam tylko równomierny stukot dorożki, który przeradzał się w jednostajny szum „nie masz szans, nie masz szans”.

Dworzec

Schodząc ostrożnie ze stopni wagonu, rozglądałam się spod kapelusza. Nowy dworzec z czerwonej cegły, ładnie ułożone i starannie zamiecione bruki, równo przycięte rośliny w klombach, to wszystko składało się na pierwszy obraz tego polsko-niemiecko-żydowskiego miasta garnizonowego. Słyszałam, że panuje w nim pruski porządek, wiedziałam jednak, że im bardziej zadbana fasada, im staranniej przycięte trawniki, im dokładniej zaciągnięte firanki, tym więcej kryje się za tymi firankami.

Nie chciałam, żebyśmy zatrzymywały się w Poznaniu. Pragnęłam jak najszybciej dotrzeć do wód, do Kolbergu. Przeczuwałam, że w tym mieście czyha na mnie jakieś nieodgadnione, przerażające niebezpieczeństwo. Wiedziałam, że najstraszniejsze rzeczy grożą mi w starych, polskich miastach. Tak było w Krakowie i Warszawie, przed tym drżałam teraz w Poznaniu. Nad Wartą gnieździły się przecież jeszcze starsze i jeszcze straszniejsze demony niż nad Wisłą.

Kwestie narodowe i patriotyczne nie były dla mnie istotne. Polska, Rosja, Niemcy, Austria, Anglia czy Francja. Nie miało znaczenia, jak nazywa się kraj, w którym mieszkam. Unosiłam się wysoko ponad tak przyziemnymi sprawami jak państwo czy naród. Byłam prawdziwą artystką, a sztuka nie uznaje granic, nacji ani żadnych ograniczeń. Czułam się obywatelką świata sztuki, tylko w tym świecie byłam u siebie; gdy nie miałam w pobliżu rodaków-artystów, czułam się osamotniona. Przebywanie na ziemi traktowałam jako przykry obowiązek. Musiałam się z nim jednak mierzyć każdego dnia, by móc na chwilę zanurzyć się w swoim prawdziwym świecie.

Dlatego i teraz nie sprzeciwiłam się matce. Zgodziłam się na jej wybór. Nie chciałam wdawać się z nią w niepotrzebne spory. Wiedziałam, że to już pewnie jeden z ostatnich razów, kiedy muszę poddać się jej woli. Jeszcze kilka tygodni i zakończy się postępowanie spadkowe po ojcu. Za kilka miesięcy wreszcie otrzymam swoją część dziedzictwa. Odliczałam te dni, które dzieliły mnie od prawdziwej wolności. Żeby ją zdobyć, musiałam jeszcze raz spuścić oczy, przelknąć cisnące się na usta słowa, grzecznie rozłożyć parasolkę i posłusznie wsiąść do dorożki, która zawiozła nas do najlepszego w tym mieście polskiego hotelu.

Wiedziałam, że każdy mój gest, każdy ruch, każdy krok jest pilnie śledzony, że nieżyczliwe oczy czekają tylko na jakieś moje potknięcie. Podслуchałam przypadkiem rozmowę brata z adwokatem. Moi najbliżsi byli gotowi poświęcić reputację rodu, żeby pozbawić mnie schedy po ojcu. Nie chciałam dać im do tego żadnego pretekstu. Słyszałam słowa prawnika, który perorował, że gdyby mógł wykazać przed sądem, że jestem psychicznie rozchwiana i nie potrafię samodzielnie zarządzać majątkiem, to wówczas brat przejąłby moją część spadku, zostając moim prawnym opiekunem. Nie chciałam sobie nawet wyobrażać tego zniewolenia. Musiałam dołożyć starań, by nie było żadnych przesłanek do uznania mnie za wariatkę. Bardzo, bardzo się starałam.

Wiedziałam, że nie mogę nikomu ufać, a każde niewłaściwe zdanie może być użyte przeciwko mnie. Przestałam pisać. Poezja mogłaby zostać przed sądem przedstawiona jako wyraz moich tajemnych, szczerych przemyśleń. Sędzia, nie mając zrozumienia dla poezji, mógłby mnie uznać za niepoczytalną. Jeśli nawet gdzieś ukazywały się moje utwory czy pisma krytyczne, to nie podpisywałam ich własnym nazwiskiem. Autorem tych myśli, podpisanym pod tekstem, był Piotr Odmieniec.

Hotel

Ten hotel nie podobał mi się od pierwszego wejrzenia. – Bazar – szeptałam półgłosem, nie mogąc pojąć, jak można mianem wschodniego targowiska ochrzcić tak luksusowy przybytek. Jak ktoś kulturalny i wykwinny może chcieć stanąć w hotelu o tak pospolitej nazwie. Rozumiałam, że to najlepszy polski hotel w Poznaniu, ale skoro wszystkie inne były niemieckie i patriotyzm nie pozwalał mej matce w nich zamieszkać, to przecież mogła wynająć apartament w jakimś prywatnym pensjonacie, a nie brać pokój w pretensjonalnym, poznańskim hotelu „Bazar”.

Odźwierny uklonił mi się nisko i poprowadził mnie do windy. Za nim podążał hotelowy boj, który niósł moje bagaże. Szliśmy długim korytarzem, a gruby dywan tłumiał nasze kroki. Zatrzymał się przed drzwiami apartamentu. Już miał je otworzyć. Nagle zawahał się. Jego dłoń z kluczem zawisała w powietrzu, nie docierając do zamka. Spojrzał na mnie. Gdy podniosłam na niego spojrzenie, przeniósł wzrok na hotelowego boja, jakby chciał coś z nim skonsultować. Nie widziałam chłopca stojącego za moimi plecami, ale poczułam, że kiwnął głową, jakby przytaknął. Klucznik cofnął rękę. Wykonał sztywny zwrot i ruszył dalej wzdłuż korytarza.

Nikt mi niczego nie wyjaśnił. Nikt mi nic nie wytłumaczył. Jakbym nie była członkinią tej trzyosobowej ekspedycji podążającej z recepcji do hotelowego pokoju. Jakbym nie mogła o niczym decydować. Jakbym nie była hotelowym gościem. Gościem, który płaci i wymaga, ale... więźniem. Ciarki przeszły mi przez plecy. Poczułam się jak skazaniec eskortowany przez dwóch strażników. Jeden szedł przede mną, drugi za mną. Nikt ze mną nie rozmawiał. Nikt ze mną niczego nie konsultował. Byłam aresztantką, która miała być doprowadzona do właściwej celi. Dreszcz wstrząsnął moim ciałem. Odwróciłam się za siebie i spojrzałam na hotelowego boja. Uśmiechnął się. Nie był to jednak usługowy uśmiech chłopca na posyłki. Nie towarzyszyło mu nawet lekkie skłonienie głowy. Patrzył na mnie hardo, beczelnie, jakby nie mi usługiwał.

Apartament był iście królewski. Byłam przekonana, że matka nie zamówiła dla mnie tak luksusowego pokoju. Chciałam zaprotestować, powiedzieć że to pomyłka, jakieś nieporozumienie, lecz zanim zdążyła cokolwiek wyjaśnić, nikogo nie było już w pokoju. Nawet hotelowy boj nie poczekał na swoją markę za wniesienie bagaży. Nie zależało mu na tej marce. Ile zarabia taki boj – pomyślałam niepewnie – skoro nie chce poczekać na zwyczajowy napiwek. A może nie czekał, bo już mu ktoś inny zapłacił, znacznie więcej, żeby zniknął, żeby pozostawił mnie samą. W wielkim apartamencie. W hotelu o dziwnej nazwie i z dziwną

obsługą. Żeby nie mogła do nikogo się odezwać, niczego zweryfikować, bym została sama. Tylko ze swoimi myślami.

Poczułam się osaczona. Zaczęłam tracić dech. Byłam uwięziona. Puszysta wykładzina tłumiała każdy krok. Ciężkie kotary zasłaniały widok. Zdobne tapety przytłaczały. Szarpnęłam zasłony. Resztki słonecznego światła zalały czerwienią śnieżnobiały pokój. Na szczęście apartament miał balkon. Stałam na nim. Spojrzałam na krwawą kulę, która czerwienią oblewała postać cesarza stojącego na wysokim postumencie, na zadrzewiony plac, na którym dawniej prezentowały się pruskie pułki, po których teraz pozostały budynki komendantury i dowództwa armii. Uniosłam wzrok i wreszcie ujrzałam słońce znikające za gmachem niemieckiego teatru. Wiedziałam, że za nim jest budynek policji. Nienawidziłam budynków policyjnych.

Wzdrygnęłam się i spojrzałam w drugą stronę, w dół, ku Staremu Rynekowi. Brukowana ulica wiodła do miejskiego ratusza. Światło lamp gazowych połyskiwało migotliwie. Odbijało się w nierównościach ulicznych kamieni. W tle majaczyły rynkowe kamieniczki. Byłam na pograniczu dwóch światów. Od Alei Wilhelmowskich zaczynało się nowe miasto niemieckie, poniżej było stare miasto polskie. Stałam na balkonie i byłam pomiędzy. Uświadomiłam sobie, że bycie pomiędzy jest kondycją przypisaną do mojego życia, tutaj, na balkonie tego hotelu, odczułam to najbardziej fizycznie.

Na złocistej, wykładanej jakby starożytnymi mozaikami ścianie, dostrzegłam egipski fresk. Poznań chciał być miniaturą Berlina, nawet poznańskie muzeum nawiązywało do berlińskich wzorów. Poczułam czyjeś spojrzenie. Uniosłam wzrok. Starożytni myśliciele z fasady muzeum przyglądali mi się badawczo. Mierzyli mnie wzrokiem. Uśmiechy błękały się na ich mozaikowych ustach. Chciałam cofnąć się ku apartamentowi. Coś mnie jednak powstrzymało. Ujrzałam coś, co nie pasowało do otoczenia. Coś, co było skazą na tym idealnym obrazku. Skazą, w której ukazuje się pobłysk prawdziwego obrazu rzeczywistości.

Szukałam tego, tak jak się czasem szuka zapomnianego słowa. Słowa idealnego, słowa, które będzie rozstrzygające. Słowa, które zamknie dyskusję. Nie mogłam jednak znaleźć tego obrazu, który przez ułamek sekundy ukazał mi cały fałsz skrywany pod puchatymi dywanami, secesyjnymi zdobieniami i ciężkimi kotarami. Zrezygnowana cofnęłam się do apartamentu. I wtedy właśnie to dojrzałam. Stłuczony, przeszklony daszek, który znajdował się u moich stóp. Mój apartament znajdował się ponad bramą przejazdową, a nad nią znajdował się przeszklony dach, z potłuczonym szkłem i brunatnym zaciekiem.

– Co tu się stało? – spytałam wieczorem dziewczynę grzebiącą przy kominku.

– Pani hrabina się z okna rzuciła, jasnie panienko – odparła flegmatycznie, jakby popełnianie spektakularnych samobójstw było w tym mieście codziennością.

– Kiedy? – zapytałam.

– Tej niedzieli – odpowiedziała rzeczowo.

– Przedwczoraj? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Tak – stwierdziła krótko i wzruszyła ramionami, wyrażając tym krótkim ruchem swoją dezaprobatę dla mego zainteresowania sprawą niezrównoważonej samobójczyni, której nawet nie znałam.

Przez okno widziałam szklany daszek nad wejściem. Przypatrzyłem mu się dokładniej, był jakby niedomyty, rdzawa plama rozlewała się po nim w nieregularny kształt, przypatrywałem się jej. W tym mieście, gdzie trotuary były codziennie myte, pozostawienie takiej brudnej plamy na daszku wydało mi się niemożliwym do wytłumaczenia przeoczeniem. Ta plama nie dawała mi spokoju. Długo nie mogłam zasnąć. W końcu przyśniła mi się, jak rozlewa się po tym daszku, skapuje na ziemię, a gdy podniosłam głowę, zobaczyłam broczącą krwią kobietę leżącą w pokręconym kształcie na tym daszku. Spojrzałam na jej wykrzywioną bólem twarz i rozpoznałam w niej siebie. Obudziłam się zrana zimnym potem. Do rana już nie zasnęłam. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie umyto tej krwawej plamy.

Ostrów Tumski

Po śniadaniu matka stwierdziła, że musimy skorzystać z okazji i wybrać się na przejażdżkę, żeby poznać miasto. Długo opisywać bym mogła te widoki, którym dziwiły się moje, nienawykłe do takiego niemieckiego porządku na polskich ziemiach. Napisałam już jednak o tym, więc po cóż powtarzać:

Dźwięczny bruk pomnę, przydługi parkan, na nim litery
Olbrzymie: „Szlachtuz”. Dalej zbrzydzone Tum starożytny
U którego świetnych nagrobków, w pielgrzymce zaszczytnej
Bohatersko drżąc z zimna, małej dostałem cholery.

Place banalne, schludny trotuar i porządne gmachy,
Świadczące, że Berlin, choć niedokładnie, jest im znany.
Hotel „bequem” z okna Egipski fresk i strojne ściany –

doktór dworny jak poseł, ulica fanfary, Wachy,

*I Kościółek pamiętam – stary, jak Orle legendy;
W reparacji; pięciu żonglerów raczej, niż mularzy
Krzętało się z cegłą. Myślałem, że oczom się marzy,
Patrząc na błyskawiczne spokojnych ruchów rozpędy.
O takich czartach, co w mig budują dom, Adam gwarzy
w Pani Twardowskiej. Może z nich który zawadził tedy...*

Tutaj napiszę o tym, czego nie napisałam w wierszu. O tym, co zobaczyłam z Ostrowa Tumskiego, gdy spojrzałam na rzekę. Rzeką była czerwona. Czerwona od płynącej nią posoki. Metaliczny zapach krwi unosił się w powietrzu. Patrzyłam na to oszołomiona. Jakiś starzec powiedział do mnie, że to w miejskiej rzeźni było wielkie sprzątnięcie i woda zmieszana z krwią oraz kawałkami mięsa spuszczone została wielką rurą wprost do rzeki. Machinalnie przytaknęłam mu ruchem głowy i nadal patrzyłam, zafascynowana bulgocącą wodą. Podziwiałam wielkie ryby, których grzbiety raz po raz wylaniały się z wody, bo żerowały, a miały wspaniałą ucztę.

Przymknęłam powieki i pomyślałam o protoplaście naszego rodu, o Piotrze Władzie, który pojawił się nagle na arenie dziejów, bo postanowił sam kształtować swój los i zostać tym, kim sobie zamarzy. Pomyślałam, że podobnie musiała wyglądać ta rzeka przed niemal sześcioma wiekami, gdy młodzi książęta rozbili pod Poznaniem armię swego najstarszego brata, księcia Władysława. Rzeką też spłynęła wówczas krew, a ryby przez długie tygodnie miały żerowisko na ciałach rycerzy oraz ich koni. Mój przodek jednak tego już nie widział. Zamiast oczu miał puste oczodoły. Zawistny książę pozbawił go oczu i języka, by nie widział jego niegodziwości i nie mówił mu, co powinien czynić. Nie mając zaufanego, mądrego doradcy książę błędził, co skończyło się jego klęską pod Poznaniem. Piotr Wład nie mógł zobaczyć jego klęski. Ja ją widziałam, patrząc na spływającą krwią rzekę. Patrzyłam na buszujące wśród skrawków mięsa ryby, wyobrażając sobie, że to samo, w tym samym miejscu musiał oglądać ten, który zniszczył mego przodka. Poczułam niezwykłą więź, jak biegła przez pokolenia, czułam się Piotrem Władem patrzącym na upadek księcia Władysława, który po tej bitwie zyskał sobie przydomek Wygnańca.

Metamorfoza

W recepcji czekał na mnie list. List od mojego Maga. Miriam przesłał mi go na poste restante. Zależało mu. Napisał do mnie. Zgadzał się na mój plan. Drżałam z podniecenia. Czułam, że za chwilę będę miała u stóp cały świat. Zdobędę to, co sobie zaplanuję. Dokończę dzieło, jakie zapoczątkował mój przodek. Stanę się najważniejszą postacią swojego narodu. Kiedy żył Piotr, ten naród miał swoje państwo. Teraz, gdy nie było państwa, najważniejszy był rząd dusz, a władzę nad duszami sprawują poeci. Już nie będę modernistyczną poetessą, będę wydawczynią, będę redaktorem. Ze mną będą się musieli wszyscy liczyć, ja będę ustalała hierarchię, ja dźwignę polską literaturę i podniosę ją do rangi największych literatur świata. Ja będę królem kultury polskiej – myślałam i szłam bardzo wolno korytarzami hotelu Bazar, żeby nikt nie dostrzegł rozszarpujących mnie emocji.

Leżałam na hotelowym łóżku, wpatrywałam się w hotelowy sufit. Widziałam żyłkowania jego ścian. W rękę gniotłam list od Miriama. Ściskałam go tak mocno, że stał się małą kulką papieru. Miriam był jedynym człowiekiem, który rozumiał głębię sztuki. Doceniał moją twórczość. Pojmował sztukę w jej istocie. Rozumiał, co to znaczy artysta. Liczyłam się z każdą jego opinią. Miriam pisał jednak, że nie może przekazać „Chimery” w ręce kobiety, że raczej zamknie pismo, niż pozwoli, by redagowane było przez kobietę, bo zaprzepaściłby cały swój dorobek. Nie pojmowałam. Nawet on. Najbardziej nowoczesny mężczyzna w Europie. Czy on też uważał, że moje recenzje, moje poezje, moje szkice, moje myśli straciłyby na wartości, gdybym podpisała je własnym nazwiskiem, gdyby ich autorką była Maria Komornicka, a nie Piotr Włast?

Chciałam się poderwać. Chciałam pobiec do okna. Chciałam się przez nie rzucić, by moja krew powiększyła tę plamę na szklanym daszku, ale nie mogłam wstać. Leżałam bez ruchu. Byłam sparaliżowana. Czułam się gwałcona. Jeszcze boleśniej niż wówczas na cyrkule. Nie potrafiłam się przed tym obronić. Jeśli nawet on, mój Mistrz, mój Mag uważa, że nie jestem godna dostąpić literackiego uznania, że nie jestem godna szacunku, i to tylko dlatego, że pomiędzy nogami nie mam penisa. On, najwrażliwszy człowiek, jakiego znalazłam. On, który prowadził mnie po ścieżkach prawdy, sztuki i estetyki. Wtedy, to byli zwykli stójkowi, którzy wzięli mnie za upadłą dziewczynę, niezarejestrowaną ulicznicę i nałożyli na mnie karę, jaką uznali za właściwą za uprawianie najstarszego zawodu świata bez licencji. Pewnie byli zdziwieni, że mnie już więcej nie spotkali. Po tym, co zaszło na posterunku, mogłam się czuć już bezpieczna, „zarejestrowana”, miałam prawo odrobić sobie ból i cierpienia tej nocy.

Z Miriamem było inaczej. On podeptał wszystkie zasady, o których mnie zapewniał. Wszystkie opowieści o łączności dusz, o tym, że kontaktują się tylko duchy wyższe, że my jesteśmy takimi duchami. O tym, że gdy się spotkają dwa wrażliwe duchy, to wówczas nikną granice pomiędzy nimi, nieważne jest pochodzenie społeczne, nieistotny majątek, bez znaczenia jest wiek, odcień skóry czy płeć. Płeć. Przez lata żyłam w iluzji tego, że te wszystkie rzeczy nie mają znaczenia. Nie uważałam, że moje utwory byłyby gorsze, gdybym podpisała je swoim nazwiskiem. Piotr Włast nie był przecież w niczym lepszy od Marii Komornickiej. Tymczasem okazało się, że jest. On mógł zrobić wszystko i ze wszystkiego mógł zrezygnować. Ja nie mogłam nic.

Wiele potem powstało opowieści o tej nocy w poznańskim Hotelu „Bazar”, każdy chciał w niej odnaleźć coś innego, każdy chciał jej mnie pozbawić, chciał z niej zrobić element pasujący do jego opowieści. Ale to była moja noc i tylko ja mogę o niej opowiedzieć, choć nie potrafię. Nic z niej nie zapamiętałam.

Egipskie postaci na fasadzie Muzeum Cesarza Fryderyka spoglądały na mnie z otchłani wieków. Oni już wszystko przeżyli, oni już wszystko wiedzieli, ich już nic nie mogło zaskoczyć. Podglądali mnie z ciekawością przechodnia, który przygląda się wypadkowi. Wiedziałam, że za chwilę odwrócę wzrok, pójdą dalej, zapomnę o tym, co widzieli.

Matka podobno weszła do mojego pokoju. Zobaczyła mnie śpiącą i znużoną. Poszła na ciastko do Rollego, potem na kolację. Uznała, że trudy podróży tak mnie umęczyły. Wieczorem nawet do mnie nie zajrzała. Przysłała tylko służącą, żeby napaliła w kominku. Tak samo jak wówczas. Wtedy nie weszła do mego pokoju. Uważała mnie za zbrukaną. Nie chciała mnie dotknąć. Nie chciała mnie widzieć. Wysyłała tylko służbę, by przyniosła mi przybory toaletowe, jedzenie, napaliła w kominku.

Za oknem panował mrok, a ogień wesoło buzował w kominku. Patrzyłam na pełgające po polanach ogniki. W wibrujących płomieniach dostrzegałam budynki, postaci, zdarzenia. Widziałam Cambridge, ten wyemancypowany uniwersytet, na którym studiowałam z dziewczętami, które nie chciały jednak przekroczyć żadnej normy społecznej, a po studiach marzyły o tym, żeby wrócić do swych dworów i służyć swoim mężom. Po semestrze wiedziałam, że to miejsce najgorszego niewolenia kobiet; inne niewolone były przemocą, te zdobywały wiedzę, która nakazywała im dobrowolnie zamieniać się w niewolnice.

Pamiętam jak zamieszkałam u Nałkowskiego, jego socjalistyczne poglądy, równość między ludźmi bez względu na płeć i stan, pamiętam tę jego nastoletnią córkę, która patrzyła na mnie swoimi ciemnymi oczami; okazało się, że jednak i ten socjalista ma rodzinę i do

rodziny musi powrócić. Zobaczyłam tego starca Jellentę, którego lubieżnym chuciom oddałam swe młode ciało, który tak wzniośle mówił o łączności, a nie był w stanie się nawet połączyć.

Zawsze gdy stawiałam o krok od przełomu, krok od przejścia do innego świata, gdy właśnie miałam się przeistoczyć, stać się równą największym artystom, najwybitniejszym umysłom, zawsze padałam, na ostatnich metrach, tak jak ten maratończyk, co biegł przez czterdzieści kilometrów, by zakomunikować Ateńczykom dobrą wiadomość. Mi także nigdy nie udawało się dotrzeć z dobrą wiadomością. Zawsze padałam o krok od przejścia. Zawsze mi czegoś brakowało. Zawsze siebie winiłam za to niepowodzenie. Teraz wreszcie zrozumiałam, na czym polegała moja wina. Byłam kobietą. Jako kobieta nie mogłam wejść na parnas, nie mogłam zdobyć szczytu, nie mogłam zdobyć miejsca, na które zasługiwałam.

Maria Skłodowska... przemknęło mi przez głowę. Maria Skłodowska i Maria Komornicka, myślałam o tym wielokrotnie; ona mogła zostać królową nauki, ja mogłam zdobyć szczyt sztuki. Nie mogłam. Ona też nie mogła. Nikt nie znał Marii Skłodowskiej, Maria Skłodowska nie odniosła sukcesów, splendory spadły na Marię Curie, żonę Piotra Curie. Ja jednak nie chciałam zostać Marią Jellentą, Marią Nałkowską, Marią Przesmycką. Chciałam być sobą, ale bez przyporządkowania swojemu mężczyźnie nie mogłam niczego osiągnąć na tym świecie. Nie chciałam być kobietą żadnego mężczyzny. Chciałam być sobą.

Posłowie

Podobnie jak Maria Komornicka w poznańskim hotelu Bazar, tak ja w moim pokoju wpatrywałam się w pęknięcia sufitu układające się w szlaki żyłek i zmarszczek. Czekałam. Nie potrzebowałam już pistoletu ukrytego pod materacem. Umierałam. Umierałam jako kobieta, umierałam jako komunistka, cofałam się. Unosiłam się. Patrzyłam na swoje życie z góry, a film przewijał się, cofał się. Widziałam czerwień sztandarów podczas pochodów, czerwone szturmówki na akademiach i akcjach, czerwień krwi rozlewanej szeroko podczas wojny, wreszcie czerwoną plamę na białym prześcieradle, która była śladem bolesnego przejścia z dzieciństwa w kobiecość. Wreszcie pojawił się on.

Przygarbiony dziadek Piotr uśmiechał się do mnie swoją bezzębną twarzą. Nie mógł być wolny, będąc kobietą, zdecydował się zostać mężczyzną. Założenie męskiego stroju nie uczyniło go wolnym, strój nie czynił go mężczyzną. Wybił sobie wszystkie zęby, oszpecił się, chodził zgarbiony, chciał zamknąć sobie wszelkie drogi powrotu. Nie chciał być nigdy na powrót wtłoczony w rolę kobiety.

Maria miała niespełna czterdzieści lat, kiedy postanowiła zostać starcem. Myślała, że będzie wolnym starcem. Życie nie dało jej wiele wolności. Porządek świata nie przewidywał, że kobieta może wybrać sobie, jak będzie żyła, nawet jeżeli wybierze dla siebie życie na całkowitym marginesie świata.

Byłam w podobnym wieku jak ona wówczas. I tak jak ona, zamknęłam kobiecy rozdział mego życia. Poczułam się wolna. Nie wiedziałam, czy tak jak ona nie trafię do psychuszki. Los okazał się dla mnie szczęśliwszy. Na zawsze pozostałam dłużnikiem Marii, nigdy nie potrafiłabym spłacić długu, jaki zaciągnęłam u dziadka Piotra.

rys. Grzegorz Marcholt



CIEMNA STRONA LUNY

Agnieszka Kwiatkowska

Pmcy. Przślicie tu kgos. Zabją mnie.

(zapis wiadomości, 8 grudnia 2035 r., godz. 01.43. Nad: baza księżycowa „Luna”. Kod wiad: czerwony)

1.

– Mamy nadzieję, że to jakaś pomyłka. Albo głupi żart – powiedział szef TechnoBasics, jednak jego głos nie brzmiał zbyt pewnie. Siedząca naprzeciwko niego kobieta uniosła brwi.

- Wszystko jest możliwe – odparła.
- To trzeba natychmiast sprawdzić! – wybuchnął Pasini. – Dyskretnie, rzecz jasna! Może to jakiś błąd na łączach? Awarie się zdarzają! Na litość boską, co tam w ogóle napisano? Co to za bełkot? I co się tam wyrabia?
- Detektyw Laura Mancini skrzywiła się lekko.
- Treść wiadomości jest chyba zrozumiała – odparła. – A co się tam dzieje, cóż, ja się tym zajmę.
- Nikt nie może o tym wiedzieć! Nikt! To byłaby katastrofa! To ogromny projekt, nowatorski! Włożyłem w niego tyle lat pracy, tyle pieniędzy... – Pasini zerwał się z fotela i zaczął krążyć po pokoju, bezładnie gestykulując.
- Gwarantuję całkowitą dyskrecję. – Detektyw wstała, ucinając tym dalszy potok żalów.
- Czy jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć? Na pewno przekazał mi pan wszystkie informacje? Świetnie. Proszę więc o natychmiastowe nadanie mi wszelkich uprawnień oraz o otworzenie teleportu.
- Jasne. Jasne. Natychmiast! – Pasini trzęsącymi się dłońmi chwycił tablet i zaczął wystukiwać odpowiednie sekwencje. Mancini czekała cierpliwie, gotowa bezzwłocznie wyruszyć. – Już wszystko jest. Teleport też działa. Ja nie wiem, co się tam dzieje, ten teleport również nie działał...
- Zepsuł się? Czy blokada z tamtej strony?
- Jakaś awaria – odparł prędko Pasini, ocierając wierzchem dłoni spocone czoło. – Ale technicy mówią, że jest już sprawny. Kiedy pani wyruszy? Już teraz?
- Nie ma na co czekać. – Detektyw wsunęła do kieszeni kurtki kostkę informacyjną i ruszyła do wyjścia. Już w drzwiach odwróciła się i posłała swojemu rozmówcy chłodne spojrzenie.
- Dwie rzeczy, panie Pasini.
- Tak?
- Po pierwsze, niech pan nigdy więcej nie próbuje mnie okłamywać, tak jak w sprawie teleportu. Za dobrze czytam ludzi, aby dać się nabrać. A po drugie, bardzo źle dobrał pan załogę.
- Co pani...?
- Dwie z siedmiu tych osób nie powinny być zakwalifikowane do udziału w takim projekcie – odparła Mancini zimno. – Jedna z nich ma na koncie parę epizodów psychotycznych.

Detektyw opuściła gabinet, pozostawiając szefa TechnoBasics w stanie osłupienia. Nie było czasu na jałowe dyskusje – coś złego zdarzyło się na księżycowej stacji badawczej, a dywagowanie o cudzej przeszłości nie mogło cofnąć czasu. Dla Mancini były to jednak istotne informacje. Zaburzenia psychiczne, kilka ostrych epizodów, kilkumiesięczny pobyt na zamkniętym oddziale w klinice – nie miała pojęcia, jakim cudem ktoś taki został zakwalifikowany do programu. Wiedziała jednak, jak zachowują się ludzie odcięci od świata i skazani na przebywanie na małej, zamkniętej przestrzeni z grupą przypadkowo dobranych osób.

Znała dwóch członków załogi. Wiedziała sporo o ich przeszłości. Pamiętała też, dlaczego jeden z nich spędził prawie pół roku w klinice.

Halucynacje. Zwidy. Omamy słuchowe.

Ale czy to właśnie ta osoba była autorem bezładnego ostatniego komunikatu? Mancini układała w głowie kilka teorii, wchodząc do teleportu. Gdy zatrzęsnęły się za nią drzwi, a ucisk w całym ciele potwierdził, że teleportacja właśnie się rozpoczęła, miała już dwie wstępne teorie.

Szaleniec, którego agresja i problemy psychiczne znów dały o sobie znać. Lub też morderca wśród załogi.

2.

Mancini spodziewała się wszystkiego. Opustoszałej stacji, trupów, krwi, śladów walki. A jednak gdy tylko wyszła z kabiny teleportacyjnej, uderzyła ją zupełna normalność tego miejsca. W otwartych drzwiach pomieszczenia stała kobieta z plikiem wydruków w dłoniach i patrzyła na nią ze zdumieniem. Mancini błyskawicznie zerknęła na plaketkę na jej kombinezonie. Rosetta Galbiati.

– Kim pani jest? – spytała technik. – Co się tu dzieje?

Obie teorie Mancini rozsypały się jak domek z kart. Nie na darmo była jednak jednym z najlepiej opłacanych i doświadczonych detektywów. Wiedziała, że jej twarz nie pokazała zaskoczenia.

– Mancini z TechnoBasics. A co tu się dzieje, o to chyba ja powinnam pytać. – Błyskawicznie zdecydowała, ile może powiedzieć. – Od kilku dni zero łączności, teleport nie działał, a pani się dziwi, że firma w końcu tu kogoś przysłała? – Posłała kobiecie surowe spojrzenie.

– Zero łączności? Przecież to wy... – zająknęła się Galbiati.

– Co „my”?

– No, przecież zgłaszaliśmy problemy... była awaria i różne takie... – Galbiati urwała. Nagle wyprostowała się, a jej twarz przybrała zupełnie inny wyraz. – Proponuję, aby porozmawiała pani z szefem.

– To dobry pomysł – zgodziła się Mancini, odniósłszy wrażenie, że panuje tu atmosfera niedomówień. – Może mnie pani do niego zaprowadzić? Przy okazji, jakie to były problemy?

Galbiati nie odpowiedziała.

– Mamy zastrzeżenia do jednego z członków załogi – powiedziała poufale Mancini. – Nie, nie do pani. Pani praca została bardzo wysoko oceniona. Ale obawiam się, że ktoś nawalił w dziale rekrutacji.

Galbiati wypuściła powietrze z płuc.

– Jeszcze by tego brakowało, abym miała przez niego problemy!

– Nie może być o tym mowy – zapewniła Mancini. – W rekrutacji już poleciały głowy.

Galbiati wyglądała, jakby miała zamiar coś powiedzieć, ale zacisnęła usta i nie odezwała się ani słowem. Mancini wiedziała już, że niczego z niej nie wyciągnie. Westchnęła.

– No dobrze. To gdzie jest pan Acardi? Chciałabym porozmawiać i z nim, i z resztą załogi.

– Załoga śpi. – Galbiati popatrzyła na nią jak na kogoś niespełna rozumu. – Przecież to pora snu.

– Proszę więc obudzić pana Acardiego.

– Nie ma potrzeby. On nie śpi. Nie zmrużył oka, odkąd... – urwała Galbiati i już nie powiedziała ani słowa więcej.

3.

Lorenzo Acardi niewiele się zmienił przez tych dziesięć lat. Na powitanie obrzucił ją mało przyjaznym spojrzeniem. Najwyraźniej nie zapomniał wydarzeń sprzed lat, co wcale Mancini nie zdziwiło. Znała Acardiego jako pamiętliwego człowieczka z manią wielkości, średnio uzdolnionego, za to wyjątkowo zazdrosnego o sukcesy innych, lepszych od siebie.

– Prywatę odkładamy na bok – uprzedziła go Mancini. – Pierwsze pytanie: gdzie jest Daniele?

Acardi posłał jej wrogie spojrzenie.

– Jeśli zaraz nie odpowiesz, ściągam tu służby specjalne – ostrzegła Mancini. – Co tu się, do cholery, dzieje?

– Nie wiem. Daniele nie żyje – odparł Acardi, a jego twarz nagle złagodniała. Opadł ciężko na fotel, a Mancini odruchowo przysiadła obok. – Cholera. Nie wiem, co mu się stało.

– A co się konkretnie wydarzyło? – spytała Mancini spokojnie.

– Nie wiem. Nic się nie działo! – Acardi podniósł głos. – Wszystko było w porządku, a on nagle zaczął bredzić. Zamknął się w swoim pokoju, nie chciał wyjść. Potem biegał po całej bazie jak oszalały. Nie miałem pojęcia, że uszkodził teleport, rozwalił przekaźnik.

– Ale jak umarł? – Mancini starała się zachować cierpliwość. – Popęłił samobójstwo?

– Nie wiem. Nie wiem... Leżał przy teleporcie.

– Chcę go zobaczyć.

W milczeniu przeszli do pokoju, w którym leżał Daniele. Mancini pochyliła się nad zmarłym, świadoma tego, że stojący za nią Acardi patrzy na nią z nienawiścią. Nie rozumiał, dlaczego nie okazała żadnego żalu, smutku, żadnych emocji, a przecież cała trójka знаła się od lat. Nie wiedział – bo nie wiedział o tym nikt, oprócz ludzi, dla których pracowała – że Mancini jest pierwszą z wersji próbnych androida, tak udaną, że nie do odróżnienia od zwykłego człowieka. Nie wiedział, że nie odczuwała emocji i posługiwała się jedynie rozumem.

– Zostaw mnie tu samą – poleciła.

Acardi wyszedł, a ona pochyliła się nad zmarłym. Gdy tak leżał, wyglądał, jakby spał. Powoli i metodycznie Mancini zaczęła badać ciało Daniele, bo nie wierzyła, aby młody jeszcze człowiek zmarł ot tak, nagle. Szukała wszędzie, zbadała każdy zakamarek ciała, ale nie znalazła żadnych śladów przemocy.

Zabiją mnie.

Wyprostowała się z westchnieniem. Ciało trzeba będzie poddać sekcji. Gdyby znalazła choć jeden ślad wskazujący na samobójstwo, uwierzyłaby, że Daniele miał nawrót choroby.

Sekcja zwłok. Badanie toksykologiczne. Przeszukać pokój. Sprawdzić, co z teleportem i łącznością.

Pokój.

Daniele nigdy nie był pedantem. W całym jego życiu zawsze panował większy lub mniejszy nieład i tak też wyglądał jego pokój. Ale Mancini miała tę przewagę, że знаła Daniele i jego zwyczaje bardzo dobrze.

Bałagan na biurku. Porozrzucane książki, pędzel do golenia, długopisy. Błąd. Duży błąd.

Jedyną rzeczą, o którą dbał Daniele, były jego książki. Jego pokój mógł przypominać miejsce po przejściu tornada, ale książki trzymał zawsze ułożone równo, jak pod linijkę, w porządku alfabetycznym według autorów.

Chyba że się bardzo spieszył, spanikował albo faktycznie miał nawrót choroby, pomyślała Mancini. Przysiadła na krawędzi łóżka, analizując fakty. Ale wciąż miała za mało danych.

– On się bał, że go zamkną.

Nie usłyszała, że Acardi wszedł do pokoju.

– Skąd mu to przyszło do głowy?

– W osamotnieniu różne rzeczy przychodzą człowiekowi do głowy. – Acardi umykał wzrokiem w bok. – Sama widzisz, jak tu jest. Pustka. Wszędzie pustka. Wyjrzyj przez okno i widzisz pustkę.

– Czy Daniele mówił ci, że bał się zamknięcia? Powrotu do zakładu?

– Tak. Możemy stąd wyjść? Nie chcę tu siedzieć. – Acardi wzdrygnął się i nie czekając na odpowiedź, wyszedł. Mancini bez słowa podążyła za nim. Przeszli do oddzielnego, sporego pomieszczenia z dużym, prostokątnym stołem i kilkoma krzesłami. Jadalnia. Jedną ze ścian zajmowało wysokie od ziemi do stropu okno.

– Patrz! – powiedział szorstko Acardi. – Patrz, jaka pustka. Ciemno. Wieczna noc. Tu naprawdę można dostać kota. Wyglądasz przez okno i zawsze widzisz to samo. Daniele bardzo źle to znosił. – Potarł dłonią czoło. – Umiesz naprawić teleport i nadajnik?

– Studiowaliśmy z Daniele ten sam kierunek techniczny – przypomniała Mancini. – Skoro on dał radę je zepsuć, ja postaram się naprawić. Lorenzo – dodała z naciskiem – Daniele miewał epizody psychotyczne i dobrze o tym wiesz. Czy zdarzyło się coś, co wywołało kolejny?

Acardi skrzywił się.

– Czy pieprzony pan Pasini wyjaśnił ci, co to za miejsce? I po co tu jesteśmy?

– Nie mogę mówić o...

– Dobra, dobra, widzę, że pełna dyskrecja! No więc możemy mówić wprost. Budowa osiedla księżycowego, pierwszy taki projekt w historii Ziemi. Tak nam powiedziano i też, rzecz jasna, nakazano dyskrecję.

Mancini wolno skinęła głową.

– Gównu, a nie osiedle! – wybuchnął Acardi. – Tu ma powstać kolonia karna, rozumiesz? Miejsce zsyłki dla wszelkiego rodzaju ziemskich mętów, morderców, gwałcicieli, pedofilów. I dla szaleńców. Zaczynasz rozumieć? Rozpoczął się plan oczyszczania Ziemi ze

zbędnego elementu. Tam pozostaną jedynie ci idealni, odpowiedni, wspaniali członkowie społeczeństwa. A tu, po ciemnej stronie księżycy...

– I Daniele myślał...

– Jakimś cudem przechwycił komunikat. Łaził struty przez cały dzień, dopóki nie wydusiłem z niego prawdy. Już wtedy zaczął panikować, że jak ta kolonia powstanie, to może go tu kiedyś ześlą.

Mancini milczała. Teraz sprawa wydawała się jeszcze bardziej skomplikowana, a może się rozjaśniła. *Zabiją mnie*. Do tej pory obstawiała problemy psychiczne Daniele bądź mordercę wśród załogi. W tym momencie ów niepokojący komunikat stał się bardziej zrozumiały.

O ile Acardi mówił prawdę. Mancini wiedziała, że nigdy nie należy brać niczyich słów za pewnik.

– Sprawdzę teleport – odezwała się. – Choć nie daję gwarancji, że uda mi się go naprawić.

W oczach Acardiego pojawiło się na moment coś, jakiś błysk, który po chwili zniknął. Wyraz ulgi. Mancini nie miała pojęcia, czy to ulga na myśl, że przestaną być odcięci od Ziemi i w razie czego będą mogli się stąd wynieść, czy raczej na jej słowa, że może nie uda jej się naprawić teleportu.

Ale ta druga opcja nie miała sensu. Chyba że sens istniał, ale ona go jeszcze nie dostrzegała.

4.

O tak, Daniele był specem w swoim fachu. Niepozorny, drobny okularnik miał znakomitą rękę do urządzeń. Mancini pokiwała głową w zadumie. Pamiętała lata studiów, kiedy to Daniele zgarniał pochwały i wyróżnienia, a uniwersytet ukończył z tak dobrym wynikiem, że proponowano mu dalszą pracę naukową. Pamiętała też zadufanego w sobie Lorenza Acardiego, który był studentem dość miernym – nie dość, że nie posiadał większego zmysłu technicznego, to jeszcze nie przykładął się do nauki i uczelnię ukończył zapewne jakimś cudem. A może owym cudem był Daniele, który uważał Acardiego za przyjaciela i starał mu się pomagać, jak tylko potrafił? W końcu praca dyplomowa Acardiego była naprawdę dobra.

Zbyt dobra, jak na jego możliwości.

Nawet jeśli Daniele przechodził kolejny epizod psychotyczny, to nie stracił niczego ze swych umiejętności. Mancini, drugiej studentce na roku, dobry kwadrans zajęło zorientowanie się, co tak naprawdę zrobił Daniele z teleportem. Nie zniszczył go, ale zablokował w sposób, którego Mancini wcześniej nie znała. Nic więc dziwnego, że Acardi nie poznał się na tym.

Wiedziała, że jeśli się postara, uda jej się naprawić teleport. Póki co, działał tylko w jedną stronę, a nie zależało jej na tym, aby jak najszybciej wyprowadzić stąd załogę. Ważniejszy był nadajnik – nie zepsuty, a również zablokowany. Najwyraźniej Daniele zablokował oba urządzenia po wysłaniu dramatycznego komunikatu. I o ile wiadomość była chaotyczna – najwidoczniej pisał ją w panice – tak przy skomplikowanych urządzeniach nie zadrżała mu ręka.

Ostrożnie wzięła się do pracy i po półgodzinie udało jej się naprawić nadajnik. I wtedy odkryła też coś, czego się nie spodziewała. Wiadomość od Daniele, z godziną nadania o pięć minut wcześniejszą niż ta, która dotarła na Ziemię. Ta wiadomość była wprawdzie krótka, ale rzeczowa i konkretna. Najwyraźniej coś zaszwankowało, ponieważ nigdy nie dotarła do odbiorców. Kolejna, ta chaotyczna, musiała być pisana na szybko i w panice.

Teraz wszystko rozumiała.

Wysłała krótką wiadomość w trybie czerwonym, a następnie zablokowała nadajnik. Póki co musiała odciąć załogę od wszelkiej łączności z Ziemią.

Gdy wyszła na korytarz, zdawało jej się, że w oddali ktoś przemknął. Zawołała, ale nikt nie odpowiedział. Ruszyła więc korytarzem, a ten zaprowadził ją znów do jadalni. Tam siedzieli Galbiati i Acardi. Na jej widok oboje wstali. Wyglądali na spiętych.

– I jak? – spytała Galbiati pozornie lekkim tonem. – Udało się?

– Nie. – Mancini potrząsnęła głową i usiadła. – Musiałabym nad tym posiedzieć trochę dłużej.

– Czy to znaczy, że jesteśmy odcięci? Na zawsze?

– Nie na zawsze – zapewniła Mancini. – Jeśli nikt z nas nie skontaktuje się z Ziemią, w przeciągu doby zostanie tu wysłana ekipa techniczna. Obawiam się, że Daniele był zbyt dobry w swoim fachu.

Acardi i Galbiati popatrzyli po sobie, a Mancini dostrzegła, że spojrzenie kobiety na moment uciekło gdzieś w bok. Odwróciła głowę. Patrzyła na pustkę, przestrzeń kosmiczną, w czerni której migotały odległe gwiazdy. A po chwili coś poruszyło się w ciemnościach. Jakaś jasna, wydłużona plama, która zbliżała się powoli w kierunku okna, przybierając

z każdą chwilą wyraźniejsze kontury ludzkiej sylwetki. Postać podeszła do okna, uniosła dłoń, przyłożyła twarz do szyby, a osłupiała Mancini dostrzegła, że to ona sama.

5.

– Co?

Acardi i Galbiati stanęli po jej obu stronach – nie zauważyła nawet, kiedy wstali i do niej podeszli – i położyli dłonie na jej ramionach.

– Już czas. – W głosie mężczyzny zabrzmiało zadowolenie. – Nie obawiaj się. To potrwa tylko chwilę.

– Tak? – Mancini posłała mu spojrzenie bez wyrazu, które, jak się zorientowała, zbiło Acardiego z tropu. – Być może.

Błyskawicznie rozprostowała ramiona. Trafiła celnie i z taką siłą, że Acardi i Galbiati polecieli w dwóch przeciwnych kierunkach. Zanim się zorientowali, Mancini biegła już w kierunku śluzy. Minęła rząd kombinezonów, chwyciła linę i błyskawicznie wcisnęła odpowiednią sekwencję na tablicy kodowej. Drzwi śluzy otworzyły się z cichym sykiem, a Mancini nagle pochłonęła próżnia.

Chwytając się wystających z zewnętrznych ścian zaczepów, wyszła z budynku i obwiązała nadgarstek liną, a potem przywiązała ją do zaczepu. I tak czekała, podczas gdy zbliżali się do niej, nie Acardi i Galbiati, i nie ona sama, ale obce, złowrogie istoty, które rozpoznał Daniele i przed którymi chciał chronić ludzkość.

– Kim jesteście? – Chciała zapytać Mancini, ale w próżni jej usta poruszały się tylko bezgłośnie.

Ona pyta, kim jesteśmy, rozległo się w jej głowie. A kim ona jest?

„Acardi” wysunął się do przodu. Jego sylwetka zaczęła falować, zapadać się do środka, zupełnie jakby coś wysysało go do wewnątrz. A potem otworzył usta, z których zaczęła wyciekać ogromna ilość śluzowatej galarety. Skóra, pokrywająca „Acardiego” opadła bezwładnie. Obrzydliwa maź zaczęła się poruszać i pulsować. W uszach Mancini rozległy się ciche posykiwania.

Ksz, ksz. Teraz jej kolej.

Więc wszyscy nie żyją? zapytała w myślach. *Zabiliście ich i przekształciliście się na ich wzór?*

Tak i nie. Możemy przybierać wasze formy, ale wolimy w was zamieszkać. Jesteśmy w ich wnętrzach. Wyssaliśmy ich od środka. Ta skóra jest teraz naszą powłoką.

Mancini stała nieporuszona. Nie odczuwała strachu, nie wiedziała też, czy zbliża się koniec jej funkcjonowania, ale zdawała sobie sprawę, że skoro nie jest człowiekiem, nie posiada mięśni, żył i wnętrzości, nie zginie w taki sposób, jak ludzie. Być może nie zginie wcale.

Wysłałam komunikat, pomyślała. Daniele was przechytrzył. Zostawił informację o tym, kim jesteście. Widział, jak pochłaniacie Rosettę Galbiati. Nie dacie rady zablokować teleportu. Nie będzie tu żadnej kolonii karnej. Nie będzie dla was żeru.

Kolejne postacie wyłaniały się z pustki i otaczały Mancini. Stopniowo porzucały swoje nowo zdobyte skóry i sunęły po podłożu, okrążając swą ofiarę, aby po chwili znów stać się ludzką kopią. Galaretowate byty falowały, co chwila przybierając formy kolejnych członków załogi, jakby demonstrowały swą siłę. Mancini odruchowo zacisnęła dłonie na lince. Przypomniła sobie. Taki gest, zaciskanie dłoni, był gestem Daniele, gdy się czegoś bał. Ale ona się nie bała. Patrzyła to w pustkę, to na zacieśniające swój krąg istoty i wiedziała, że zrobiła, co była w stanie. Służyła ludziom i ochroni ich rasę.

Informacja o śmiertelnym zagrożeniu. Wezwać na miejsce specjalną ekipę. Stwierdzono obecność obcych. Zabić załogę. Rozkaz. WYKONAĆ NATYCHMIAST.

6.

– Jasna cholera! – wrzasnął Pasini, gdy zakłopotany technicy stali przed nim z bezradnymi minami.

– No, przykro nam, ale mieliśmy awarię – tłumaczył jeden z nich. – Jakieś spięcie, już naprawione, ale przez dłuższą chwilę były zakłócenia.

Pasini walnął obiema dłońmi w biurko.

– To odzyskajcie tę wiadomość, do kurwy nędzy! – ryknął. – To od Mancini! Wysoki priorytet!

– Szefie, ale nie da się jej odzyskać – wyjaśniał cicho technik. – Wiadomość poszła w eter i została zapisana tak, jak pan ma przed sobą.

Pasini złapał się za głowę.

– „Informacja... wezwać na miejsce... stwierdzono...”. To ma być informacja?

– No ale my nic na to nie poradzimy.

Pasini zgrzytnął zębami, cały czas zerkając na kartkę i próbując wyłowić z tych urywków jakiś sens.

– Wezwać na miejsce. To chyba jasne. Pewnie każe wezwać... posiłki? Lekarzy? Do diabła, co tam się stało?

Myślał intensywnie. Może poczekać na kolejną wiadomość? Na ich apele nikt nie odpowiadał, ale skoro Mancini udało się naprawić nadajnik, zapewne skontaktuje się z nimi ponownie, jak się zorientuje, że nie otrzymała odpowiedzi. Czy tam stało się coś złego? Głupie pytanie, oczywiście, że tak! Wezwać, ale kogo?

– Ekipa, niech pojedą tam spece. I lekarze – powiedział zgnębiony. Przez ostatnie godziny nie spał ani nie jadł, czekając w napięciu na wiadomość od Mancini. Dzielna dziewczyna! Dobrze mu ją polecono. Cokolwiek tam się działo, Mancini na pewno to ogarnia.

– Ma być ekipa specjalna? – spytał Rodolfo, asystent i prawa ręka Pasiniego.

– Tak. Zdecydowanie. Nie możemy tam niczego schrzanić, bo nam łby urwą. Tylko, mój drogi, dopilnuj, aby wysłano tam odpowiednich ludzi. Czyli żadnych takich, co braliby się od razu do strzelanki. Mają mieć broń, aby w razie czego chronić załogę. Diabli wiedzą, co tam się mogło stać.

rys. Alicja Tempłowicz



MAMUSIA

Anna Musiałowicz

Mamusia leżała w ostatnim pokoju. Musiałam przejść przez ciemny, długi korytarz, który zawsze mnie przerażał. Ścisnęłam mocniej misia, by dodać sobie odwagi i ruszyłam przed siebie. Minęłam wypchaną sowę z rozpostartymi skrzydłami. Nie lubiłam jej. Bałam się, że pewnego dnia ożyje i nie mogąc uciec z domu, zacznie mnie atakować. Sowę przyniósł mój świętej pamięci dziadek wiele lat przed moim narodzeniem. Tato był wtedy jeszcze małym chłopcem. Od tamtego czasu sowa pilnowała korytarza i przede wszystkim kurzyła się. Miała szklane oczy i brązowo-szare skrzydła, z których raz po raz wypadało pojedyncze pióro. Tato za każdym razem starał się przykleić je z powrotem. Powtarzał, że łysa sowa mu do niczego niepotrzebna. Śmiałam się wtedy, wyobrażając sobie gołego ptaka. Na krótką chwilę w mojej głowie sowa przestawała straszyć. Myślałam, jak wyglądałaby w piekarniku.

Z misiem w ramionach przebiegłam przez korytarz. Zza drzwi po lewej stronie usłyszałam głosy starych bab. Znów się modliły. Przyszło ich chyba ze dwadzieścia, każda z różańcem

w dłoniach. Rozsiadły się w pokoju z telewizorem i jak mantrę powtarzały „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Maryja”. Zawodziły przy tym tak, że aż rozboleła mnie głowa.

Drzwi od pokoju mamy były uchylone. Weszłam ostrożnie, starając się być cichutko jak myszka. Mamusia leżała ubrana w czarną sukienkę, na szyi zawieszony miała medalik, w uszach – kolczyki, które dostała na urodziny od taty. Dłonie miała obwiązane różańcem, trzymała w nich czarną, zniszczoną książeczkę od nabożeństwa. Tata chciał kupić nową, ale babcia powiedziała mu, że ma zostać tak, jak jest, bo wszyscy przynajmniej zobaczą, że książeczki używano i że z mamy przykładna chrześcijanka była.

Obok trumny z mamusią na taborecie siedział tato. Twarz miał ukrytą w dłoniach. Od naszego wypadku i śmierci mamy codziennie był pijany. Brzydko pachniał. Domem zajmowały się te stare, rozmodlone raszple. Posprzątały dom, przygotowały katafalk, przyniosły kwiaty, pamiętały o zapaleniu gromnic. Głupie baby zasłoniły wszystkie lustra w domu, żeby nie pojawił się w nich duch. Przez te flądry nie mogłam nawet zobaczyć, czy mam włosy dobrze ułożone. Zawsze czesała mnie mamusia. Teraz musiałam radzić sobie sama.

Tato siedział w bezruchu. Nie miałam odwagi do niego podejść. Od śmierci mamy w ogóle ze mną nie rozmawiał., nawet na mnie nie patrzył. Wiem, jestem bardzo podobna do mamusi, pewnie trudno mu to znieść. Podeszłam do trumny, dotknęłam polakierowanego drewna. Tak ślicznie błyszczało. Gdy przechodziłam obok gromnicy, płomień strzelił w górę. Tato podniósł głowę przestraszony. Wstał, dotknął dłoni mamy i powolnym krokiem wyszedł z pokoju, po drodze zabierając mojego misia, którego zostawiłam w kącie. Przez te kilka dni jego włosy stały się srebrne. Zmienił się.

Zrobiło mi się przykro, gdy tak wyszedł bez słowa. Baby mówiły, że trzeba dać chłopu czas na pogodzenie się ze stratą, a potem pewnie nową kobietę sobie znajdzie. Nie chciałam myśleć, że jakaś obca kobieta może zostać jego żoną. Tylko mamusia mogła nią być! Byłam zła na te stare raszple za to, co mówiły. Byłam zła na niego. Kiedy leżałam po wypadku w szpitalu, odwiedził mnie tylko raz. Siedział przy mnie, płakał, jakby za mocno uderzył się w kolano. Myślałam, że dorośli mężczyźni nie płaczą. Prosił, bym go nie zostawiała, bo teraz ma tylko mnie. Wiedziałam już, że mama nie żyje. Ten samochód potracił ją na śmierć. Mnie zabrała karetka. Tato siedział w tamtym dniu przy moim szpitalnym łóżku tak długo, aż go pielęgniarki nie wygnały. Ja byłam podłączona do jakichś rurek, nie mogłam się ruszać ani mówić. Nawet oczu nie mogłam otworzyć. A jednak widziałam go, już wtedy miałam wrażenie, że zrobił się dziwnie stary. Zastanawiałam się, czy skoro mama nie żyje, to ja nie powinnam zostać jego żoną. To teraz ja będę gotować mu obiady i prasować koszule. Tylko czy siedmiolatki mogą wychodzić za mąż? I co powiem Piotrusiowi z klasy? Przecież jemu już obiecałam.

Chodziłam sobie wokół trumny, zaśpiewałam mamusi piosenkę o sarenkach. Bardzo ją lubiła.

Ciekawa byłam, czy mama jest już w niebie i czy słyszy mnie stamtąd. Ksiądz w kościele mówił, że zmarli obserwują nas z góry, a my mamy się modlić za zbawienie ich duszy. Nie mogłam tego zrozumieć. Skoro są już szczęśliwi w niebie, to po co jeszcze zbawienie? I przecież Pan Jezu już nas zbawił na krzyżu, to czy ma to zrobić kolejny raz? Miałam zapytać księdza o to na katechezie, ale zapomniałam.

„Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie...” – usłyszałam, gdy ktoś wychodził z drugiego pokoju. Zeszło się tu chyba pół wsi. Był już wieczór, miałam nadzieję, że stare baby w końcu sobie pójdą. Wszystkie w ciemnych spódnicach za kolano, chustkach na głowach. Przypominały czarownice. Mamusia wyglądała przy nich jak gwiazda filmowa. Zawsze kazała mi być dla nich grzeczna. Gdy szłyśmy do kościoła i któraś z nich nas zagadnęła, stałam jak posąg i nie odzywałam się. Czasem mówiły, że jestem jakaś dzika. Same wyglądały jak małpy z dżungli, stare wiedźmy! Mamusia nie byłaby zadowolona, słysząc, że tak o nich mówię. Wczoraj jedna z nich powiedziała, że uszyła mi nową sukienkę na pogrzeb, bo to, co mam, nie nadaje się. Powinnam być wdzięczna. Ale chciałam tylko, żeby te baby już przestały się modlić, zabrały ze sobą swoje zawołanie i zostawiły mamusię, tatusia i mnie samych.

W domu zrobiło się cicho. Poprawiłam jeszcze różę w wiązance przy trumnie mamy. Asparagus całą ją zasłaniał. Wyszłam na korytarz, stanęłam w kącie, chowając się przed sową. Z pokoju z telewizorem zaczęły wychodzić baby. Część z nich znałam, inne były zupełnie obce. Co jakiś czas któraś wzdychała i mówiła cichym, zachrypniętym głosem „taka tragedia, taka tragedia!”. Było też kilku mężczyzn. Tato odprowadzał tych wszystkich ludzi do drzwi, dziękując za wsparcie i modlitwę. Obok taty stała babcia, chwyciła go za ramię, bo się chwiał. Chyba tak jak ja był zmęczony tymi wiedźmami i wcale nie chciał dziękować, ale też musiał być grzeczny. Biedny. Niektóre z tych bab całowały go w policzki, inne przytulały. Obrzydlistwo.

Sąsiedzi opuścili dom. Zostaliśmy: ja, tato, babcia, ciocia Basia i mamusia w trumnie. Przez chwilę było cicho i spokojnie, tak jak lubię. Nagle babcia zaczęła mówić do taty ostrym, napastliwym tonem. Kazała mu się umyć, przestać w końcu chlać, bo jutro pogrzeb i musi wyglądać jak człowiek. Tato odpowiedział jej coś brzydkiego, nie mogę powtórzyć. Babcia zaczęła krzyczeć na niego, on na nią, zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Ciocia Basia stała obok i chyba nie wiedziała, jak się zachować. Tato krzyczał coraz głośniejsze, babcia zaczęła płakać, że taka tragedia się stała, a on jeszcze chce wstyd rodzinie przynieść. Tato zatoczył się, po czym odwrócił i poszedł do pokoju, wciąż krzycząc, żeby mu wszyscy dali święty spokój. Babcia nadal płakała, usiłując znaleźć poparcie u cioci Basi. Ciocia spojrzała na nią. Oczy miała jak bazyliszek na obrazku w mojej książce „Legendy polskie”, usta ściśnięte tak, że przypominały cienką nitkę, broda jej drgała. Gdy się uspokoiła, wysyczała przez zęby, że ma się babcia nie dziwić zachowaniu taty i faktycznie dać człowiekowi spokój, skoro sama wpadła na ten poroniony pomysł, by pod koniec

dwudziestego wieku trzymać trumnę w domu. Ciocia odwróciła się na pięcie i poszła do kuchni. Przez chwilę słychać było jeszcze łkanie babci. Potem ucichło wraz z trzaskiem zamykanych drzwi.

Obserwowałam tę scenę ukryta w kącie. Czułam się zmęczona. Nade mną sowa rozpościerała swoje skrzydła i łypała szklanym okiem. Mojego misia-bohatera wziął gdzieś tato. Przebiegłam korytarz najszybciej, jak mogłam. Sowa mnie nie złapała. Uznałam, że nikogo nie obchodzi, czy umyję dziś zęby, więc położyłam się w pokoju z telewizorem. Nie chciało mi się przebierać w piżamę ani ścielić łóżka. Na fotelu znalazłam misia. Przytuliłam się do niego i zasnęłam.

Gdy się obudziłam, było pięć po trzeciej. Mamusia uczyła mnie, jak czytać godziny na zegarku. To było trudne. Dlaczego duża wskazówka wskazuje minuty, skoro godziny są ważniejsze? Mama mówiła, że pewnego dnia przekonam się, że czasem największe znaczenie mają sekundy. Chyba zaczęłam rozumieć, o co jej chodziło. Gdybym wtedy nie marudziła przy śniadaniu i potem nie musiałybyśmy biec na autobus, to kierowca tamtego auta minąłby nas stojące na przystanku, a mamusia by nie umarła. Czy to była moja wina?

Czułam się wyspana. Dom był cichy i spokojny. Nawet tato dziś nie chrapał. Jutro w południe miał się odbyć pogrzeb. Znów przyjdą te stare baby i będą zawodzić. Ciekawe, w jaką sukienkę mnie ubiorą. Marzyłam o takiej z falbankami, chciałam wyglądać jak księżniczka. Ale wołałabym, żeby uszyła mi ją mama, a nie jakaś raszpla. Pomyślałam, że pójde jeszcze popatrzeć na mamusię. Jutro przyjdzie ksiądz, pokropi ją wodą święconą, odmówi jakieś modlitwy. Potem smutni panowie w białych rękawiczkach podniosą ciężkie wieko, położą je na trumnie i przybiją gwoździami, by nie zsunęło się, gdy kondukt będzie szedł do kościoła. Kiedy dziadek umarł, tak właśnie robili.

Zostawiłam misia w łóżku, wyszłam z pokoju na palcach, żeby nie zbudzić taty. Przebiegłam przez korytarz (sowa nadal szykowała się do lotu), weszłam do pokoju mamusi. Gromnice paliły się, dając słabe światło. Podeszłam do trumny, spojrzałam mamie w twarz. Miała takie długie rzęsy. Ucałowałam ją w nos i usiadłam na taborecie. Zaśpiewałam piosenkę o sarencie, a potem powiedziałam wierszyk, którego nauczyłam się na pierwszy dzień wiosny. Zastanawiałam się, czy nie powinnam się pomodlić... Wtedy mama usiadła w trumnie. Miała dziwnie przekrzywioną głowę – tamten samochód uderzył ją w szyję. Poruszała nią chwilę. Odgarnęła włosy. Ruchy miała sztywne, trochę nieporadne. Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się.

– Śpiewanie to też modlitwa, córuś.

– O sarenkach też?

– Też.

Siedziałam na taborecie i zastanawiałam się, czy mogę podejść do niej i przytulić się. Od jej śmierci wszyscy o mnie zapomnieli i tak bardzo brakowało mi przytulania. Tak mocno się cieszyłam, że zbudziła się dla mnie i rozmawiała ze mną. Wiedziałam, że mamusia nie żyje. Ale nie bałam się jej. Podeszłam bliżej do trumny. Chwyciła mnie za dłonie. Jej ręce były zimne,

nieprzyjemne w dotyku. To mnie zaskoczyło. Spojrzałam jej w oczy. Były takie strasznie smutne.

– Córuś, chodź ze mną.

Wiedziałam, o co prosi. Nie chciałam z nią iść. Ona była już dorosła, w niebie czekał na nią dziadek. A ja musiałam zająć się tatą. Był taki nieszczęśliwy, taki nieporadny. Kto będzie mu robił śniadania do pracy? Kto pocałuje przed wyjściem? Kto zrobi zakupy i obierze ziemniaki? Z kim wieczorem obejrzy „Dziennik”? Nie mogłam zostawić go bez opieki. Nie mogłam spełnić jej prośby, choć serce z piersi mi się wyrывało. Uwolniłam ręce z jej uścisku.

– Nie, mamó, nie! – krzyknęłam.

Spojrzała na mnie z tęsknotą. Zamknęła oczy i położyła się z powrotem w trumnie. Ja wróciłam do łóżka. Zapomniałam o sowie.

Obudziłam się, gdy usłyszałam brzdęk tłukącego się szkła. To ciocia Basia zbiła szklankę. Usłyszałam przekleństwo, a potem szloch. Było po siódmej. Niedługo przyjdzie ksiądz i zaczną schodzić się inni ludzie. Babcia już była, prasowała koszulę tacie. Ucieszyłam się. Myślałam, że na mnie spadnie ten obowiązek, a mama nauczyła mnie prasować tylko chustki do nosa. Koszule są dużo trudniejsze, a nie chciałam, żeby babcia mówiła, że tata na pogrzebie przyniósł wstyd rodzinie, bo miał krzywo wyprasowany kołnierzyk.

Korytarz był oświetlony słońcem i sowa nie straszyla tak bardzo. Zerknęłam do pokoju mamy. Nie chciałam tam wchodzić, bo bałam się, że znów mnie będzie namawiać, żebym poszła z nią. W pokoju był tata. Stał wyprostowany nad trumną. Coś szeptał.

Wyszłam z domu. Słońce świeciło jasno. Zapowiadał się piękny dzień. Uznałam, że to nietaktowne. Na pogrzebie powinien padać deszcz, jakby całe niebo pękało z bólu nad zmarłym. Chociaż mi się też nie chciało płakać. Usiadłam na schodach. Nikt na mnie nie zwracał uwagi, bezkarnie dłużyłam w nosie. Nudziło mi się. Zastanawiałam się, kiedy któraś stara baba przyniesie mi tę sukienkę na pogrzeb. Nawet nie kazała mi jej wcześniej przymierzyć. A jak mi się ta sukienka nie spodoba? Pewnie i tak ją grzecznie założę i nawet podziękuję, żeby nie robić wiedzmię przykrości. Może spodoba mi się tacie i będzie ze mnie dumny?

Do pogrzebu zostało jeszcze kilka godzin. Nie wiedziałam, gdzie się podziać. Zanim ksiądz i baby przyjdą, zanudzę się. Rozdeptałam stonkę. Ciekawe, czy takie robale też idą do nieba? Chyba istnieje jakiś raj dla stoniek? Wstałam. Uznałam, że skoro i tak nikt się mną nie interesuje, pójdę do kościoła sprawdzić, czy baby ładnie go ustroiły na pogrzeb. Przeszłam przez płot (tata zawsze zamykał furtkę na klucz, żebym przez przypadek nie wybiegła na ulicę), skróciłam sobie drogę, przechodząc przez pole, i doszłam do kościoła.

Odurzył mnie zapach kadzideł i lilii. Z obrazów spoglądały na mnie postacie świętych, pilnując, żebym nie zaczęła głośno gadać albo nie zrobiła innej głupoty. Kościół to nie plac zabaw. Przeżegnałam się szybko i poszłam do głównej nawy. Pod ołtarzem stała już trumna. Zaskoczyło

mnie to. Baby nie mówiły, że rano ma być jeszcze jakiś pogrzeb. Ciekawe kto to? Obejrzałam się. Organista wszedł na chór i zaczął wygrywać jakieś melodie. Chyba nawet mnie nie zauważył. Zastanawiałam się, czy mogę podejść do trumny i zobaczyć, kto w niej leży. Chyba nikt na mnie za to nie nakrzyczy. Prócz organisty nie było nikogo. Poczułam chłodny powiew wiatru na plecach. Zrobiłam krok wprzód. Rozdzwoniły się dzwony na nabożeństwo. Która to godzina? Przecież do pogrzebu mamusi jeszcze czas. Zrobiłam kolejny krok. Usłyszałam, jak pod kościół podjeżdża samochód. Karawan? Jak mogłam go usłyszeć? Przecież organista głośno grał, a drzwi były zamknięte. Następny krok.

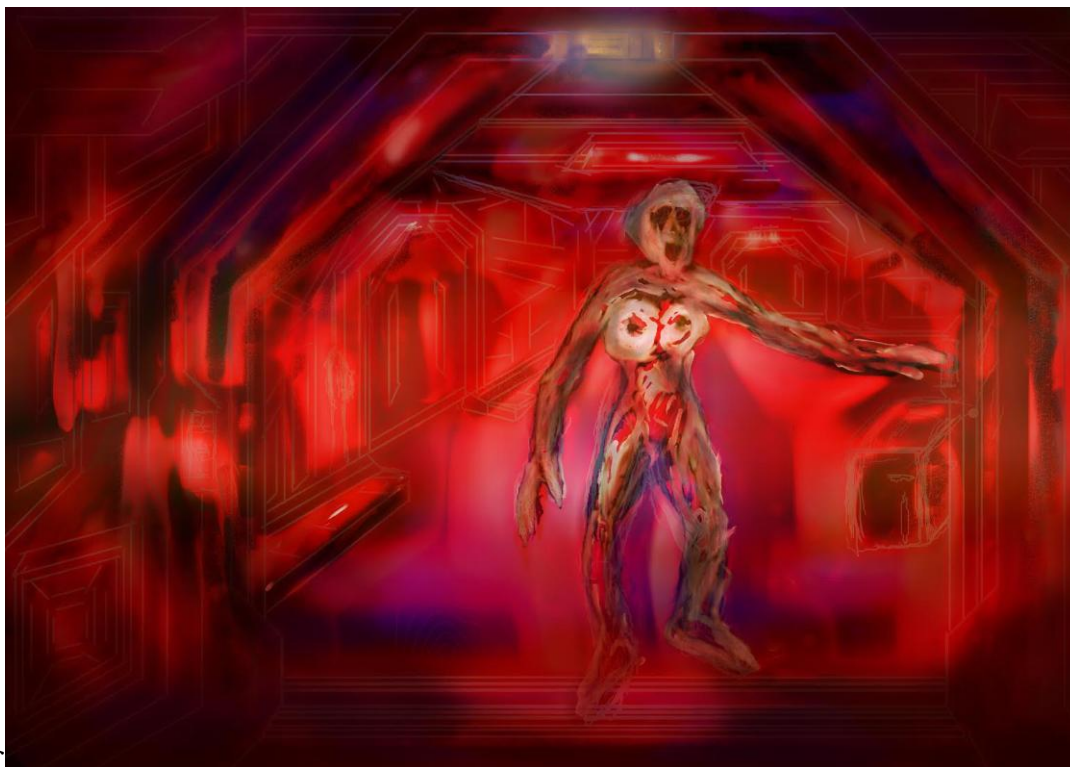
Niskie dźwięki kościelnej pieśni łomoczą mi w głowie. Krok. Trumna jest na wyciągnięcie ręki. Krok. Piszczalki wydają z siebie wysokie tony, w głowie mi świdruje. Krok. Moje ciało jest jak oblepione lodem. Krok. Widzę ciało w trumnie. Długie włosy zmarłej splecione są w warkocze. Mamo, mammo, gdzie jesteś? Panowie w białych rękawiczkach wnoszą drugą trumnę. Mamusiu?! To ty? Czuję się jak na karuzeli, która pędzi za szybko. Mamusiu, mammo, proszę! W trumnie przede mną leży dziewczynka w niebieskiej sukience. Wnętrznosci we mnie goreją. Mamusiu! Niebieska sukienka ma falbanki obszyte srebrną nicią. Mamo, mammo! Ta muzyka rozerwie mi głowę! Mamusiu! Oczy zalewa mi czerwień. Pocieram je. Mamo! Mam dłonie całe we krwi! Boję się krwi! Mamo! Krew skapuje na podłogę kościoła, a ja wiruję. Organy grzmia, to już nie melodia. Pan Jezu z krzyża odwraca głowę w moją stronę. Mamusiu!

Nagle świat się uspokaja. Już nie ma czerwieni przed oczami. Czuję dłoń na ramieniu. Przede mną stoją dwie trumny. W jednej leży moja matka. W drugiej ja. Smutni panowie w białych rękawiczkach zaburzają rytm melodii wygrywanych przez organistę, wbijając gwoździe w wieko mniejszej trumny. Odwracam głowę. Dłoń na moim ramieniu należy do mamusi.

– Córku, pójdziesz ze mną?

– Tak, mamusiu. Pójdę.

O tatę się nie martwię. Jest z nami silnie związany nierozzerwalną nicią. To nie nić, to sznur. Ten sznur jest na szyję. Tato niedługo do nas przyjdzie.



PERSUS 2030

Tomasz Kempski

1

Susie Clark biegła co sił w stronę mostka. Miała na sobie ciemnoszary uniform i białe, streczowe buty. Jej kroki dudniły w pustym, metalowym wnętrzu korytarza. Gdy wreszcie dotarła na miejsce, jej twarz wykrzywił grymas przerażenia. Tony siedział w fotelu naprzeciw pulpitu sterowniczego i śnił.

Podbiegła do niego i zaczęła go szturchać. Wbiła paznokcie w jego ramię i krzyczała:
– Walcz z tym, Tony! Nie poddawaj się!

Sztywna, pozbawiona emocji twarz mężczyzny nie pozostawiała wątpliwości. Spóźniła się. Kobieta w końcu opadła na fotel obok kapitana Persusa i zaczęła szlochać. Została sama.

Na ekranie największego monitora na mostku widniał niewielki księżyc Marsa – Fobos. Na jego powierzchni szalała burza. Według ostatnich pomiarów wiatr momentami osiągał tam

prędkość 200 kilometrów na godzinę. Wysokość żywiołu oszacowano na czterdzieści kilometrów, a jego powierzchnia rozmiarami obejmowała całość satelity. Centralnym punktem huraganu był wysoki na ponad sto metrów prostopadłościan. Jego podstawa wystrzeliwała migające w nierównym rytmie pajęczyny błękitnych błyskawic, które rozchodziły się w kierunku podobnych, lecz mniejszych słupów rozsianych po całym księżycu. Co jakiś czas jego koniec rozpromieniało też ogniste światło, wysyłając takie same błyski w czarną przestrzeń kosmosu.

Mokra twarz kobiety drgała w nierównym rytmie. W końcu przestała. Wiedziała, że zostało jej niewiele czasu. Przemiana w przypadku Kelvina i Goddarda trwała jakieś pół godziny. Przypuszczała, że Tony mógł się dłużej opierać. W testach na wytrzymałość i siłę woli uzyskał najlepszy wynik z załogi. Kobieta zauważyła, że z kieszeni jego koszuli coś wystaje. Niepewnie sięgnęła po to ręką. Okazało się, że to zdjęcie przedstawiające uśmiechniętą kobietę. Miała zmrużone oczy, bryza rozwiewała jej włosy, w tle majaczyło turkusowe morze. Wyglądała młodo, Susie dałaby jej góra dwadzieścia pięć lat. Była spokojna i najwyraźniej szczęśliwa. Czy to możliwe, że była żoną Tony'ego? Nie, to raczej nie wchodziło w grę, mężczyzna nie miał na palcu obrączki. Może to jego dziewczyna albo jakaś dawna, utracona miłość?

Wszyscy członkowie załogi raczej unikali tematów osobistych. Nie rozmawiali o rodzinie, przyjaciółach. Jak łatwo się domyśleć, w kosmosie uciekanie od takich tematów jest wyjątkowo trudne. Wspominanie domu jest naturalnym odruchem człowieka przebywającego dłuższy czas w warunkach izolacji. Każdy stara się odnaleźć pocieszenie w myśleniu o tym, że niedługo wróci w grono najbliższych. Oni jednak nie mogli sobie na to pozwolić. Wiedzieli, ile ryzykują, biorąc udział w misji, od której wyniku może zależeć przyszłość rodzaju ludzkiego.

W 2030 roku większość zasobów wodnych na Ziemi była zatruta, ropy nie było już praktycznie wcale. Mars był jedyną sensowną alternatywą, aby zapewnić ludzkości przetrwanie. Persus miał za zadanie przygotować grunt pod kolonizację i przeprowadzić ostatnie badania, z wielu powodów możliwe tylko na miejscu.

Podróż trwała pół roku, oddalili się od Ziemi o ponad sześćdziesiąt milionów kilometrów i zanim dotarli na miejsce, na pokładzie nie było za wiele do roboty. Pomimo ciągle działającej łączności z kontrolą lotu z każdym dniem narastało w nich poczucie osamotnienia. Czuli się też osaczeni przez sterylną pustkę statku, którym podróżowali, i przytłoczeni ciężarem odpowiedzialności, która na nich spoczywała. W takim stanie o wiele łatwiej o błędy i konflikty. Tony robił, co mógł, żeby wyznajdować zajęcia dla swojej załogi,

aby pracowali nad czymkolwiek, byle tylko nie trwali w bezczynności. Pomagał mu w tym Stuart, lekarz i psycholog. Co i rusz wymyślał nowe badania i eksperymenty do swoich naukowych artykułów, jednak z biegiem czasu wiele z nich przestało dotyczyć tylko psychologicznej adaptacji do ekstremalnych warunków, czy tego, jak długotrwałe przebywanie w kosmosie osłabia układ odpornościowy człowieka. Przyczyna tego była raczej oczywista. Stuartowi skończyły się pomysły i zmuszony był poszerzyć zakres swoich badań.

Fobos od dawna przyciągał uwagę naukowców, a wielu z nich uznało go jednym z najbardziej tajemniczych obiektów w Układzie Słonecznym. Miało na to wpływ przede wszystkim jego nietypowe zachowanie jako satelity. Jego ruch po orbicie Marsa jest znacznie szybszy niż rotacja planety. Jak łatwo się domyśleć, dało to podstawy do hipotezy, iż może być obiektem sztucznym, dziełem Marsjan bądź innych pozaziemskich cywilizacji. Ostatecznie w wyniku pomiarów przeprowadzonych przez sondy okazało się jednak, że jest to naturalne ciało niebieskie. Wiele panikarzy obawiających się Wojny Światów odetchnęło z ulgą. Nie zmniejszyło to jednak liczby pytań dotyczących Fobosa, jedynie wygenerowało kolejne. Okazało się bowiem, że pod względem składu chemicznego ów księżyc przypomina obiekty znajdujące się aż na obrzeżach Układu Słonecznego, w szczególności te tworzące za orbitą Neptuna Pas Kuipera. Skąd więc obiekt o takim składzie na orbicie czwartej planety od Słońca? Właśnie zagadka pochodzenia Fobosa była tym, co najbardziej zastanawiało naukowców. Wysznuło kilka hipotez, jednak każda posiadała braki i rodziła niedomówienia.

Aurę tajemniczości wobec tej niewielkiej satelity potęgował fakt, iż kosmonautykę dotyczącą badań Marsa od początku prześladował swoisty pech. W szczególności dotyczyło to Rosjan. Sondy wysłane przez nich na Marsa, za wyjątkiem sześciu, albo uległy zniszczeniu, albo awarii. Nawet tym kilku udało się wypełnić program lotu jedynie częściowo. Amerykanie mieli w tej dziedzinie nieco więcej szczęścia, a jednej z ich sond, Mars Global Surveyor, przed tym jak NASA w 2006 roku utraciła z nią kontakt, udało się nawet wykonać sporo zdjęć Fobosa. To, co odnaleziono na fotografiach wielu zmroziło krew w żyłach. Przedstawiały one długie słupy o regularnej strukturze wyrastające z płaskiej powierzchni satelity. Skąd się tam wzięły i kto je wybudował? To, że mogły być tworem natury, było raczej mało prawdopodobne.

20:05

Kelvin Poole, mechanik pokładowy, podczas wieczornej sesji w scrabble, przeprosił resztę załogi, po czym powiedział, że jest zmęczony i chyba się położy. Susie zażartowała, że pewnie czwarty kubek z kawą w końcu zrobił swoje i jak przez chwilę będą cicho, to pewnie zaraz usłyszą odgłosy jak podczas ostatniego punktu defilady wojskowej. Jej osąd zdawały się potwierdzać ciche dźwięki wypuszczania gazów, dochodzące w ostatnim czasie z miejsca, gdzie siedział Poole. Wszyscy się zaśmiali, mechanik odparował niewyraźne „walcie się” i po chwili wszyscy wrócili do gry, zapominając o Kelvinie. Niecałe dziesięć minut później rozgrywkę przerwał im elektroniczny głos komputera informujący, że na powierzchni Fobosa wykryto nietypowe zjawisko atmosferyczne. Załoga nie bardzo się tym przejęła, uznając, że najprawdopodobniej doszło do jakiejś awarii czujników na kadłubie statku. W ostatnim czasie nie było to niczym nowym. Goddard Smith, pełniący na statku rolę starszego oficera i geologa, stwierdził, że powinien to jednak sprawdzić i niechętnie, bo do tej pory wygrywał, opuścił pomieszczenie, nazywane przez nich pokojem rekreacyjnym, chociaż jego skąpy wystrój kłócił się z tą nazwą. Przez kolejne pół godziny nic się nie działo. Susie, Tony i Stuart kontynuowali grę. Nagle wewnątrz statku wypełnił krzyk Goddarda. Mężczyzna darł się, jakby ktoś obdzierał go ze skóry. Nie było czasu na analizowanie, co się dzieje. Tony pierwszy zerwał się z miejsca, krzyknął do reszty, żeby zostali na miejscu i pognął, w stronę z której dobywały się wrzaski. Susie i Stuart popatrzyli po sobie, po czym niewiele myśląc, pobiegli za kapitanem. Ten zniknął im za najbliższym zakrętem, gdy go znowu zobaczyli, stał osłupiały przy śluzie do pokoju Kelvina. Susie pierwsza do niego dobiegła, chwyciła go za ramię i zapytała:

– Tony, Co się dzie...

Nie dokończyła, zbyt przerażona widokiem, który ujrzała, gdy odwróciła wzrok od Tony’ego i skierowała go w stronę wnętrza pokoju. Okazało się, że Kelvin z płonącymi czerwienią oczami stał wczepiony zębami w ramię Goddarda. Ten szarpał się i darł się wniebogłosy, drugą ręką ciągnąc włosy na głowie Kelvina. Z ramienia mężczyzny sączyła się krew i skapywała na ziemię, tworząc sporą kałużę. Tony w końcu oprzytomniał i krzyknął się do Suzie

– Leć po paralizator! – Po chwili dodał: – Weź też pistolet! Broń jest w niebieskiej skrzynce w moim pokoju, kod dostępu to 221385... Nie, czekaj! 221485. Biegnij!

Kobieta ruszyła w stronę pomieszczenia wskazanego jej przez kapitana, po chwili jednak stanęła i odwróciła się w stronę Tony'ego, bo chciała się upewnić, że dobrze zapamiętała kod. Mężczyzny nie było już na korytarzu. Wraz ze Stuartem zniknęli we wnętrzu pokoju Goddarda.

Susie dotarła do pokoju Tony'ego w ciągu minuty, zapamiętany przez nią kod pasował, wyciągnięcie broni oraz powrót do bloku mieszkalnego zajął jej kolejne dwie. Gdy zdyszana ponownie stanęła przy służbie do pokoju Goddarda, kapitan wraz z lekarzem obezwładnili szamoczącego się na ziemi Kelvina, a ranny geolog leżał skulony na łóżku i uciskał swoją krwawiącą rękę.

– Nie stój tak! Nie wiem, czym jest to, co wstąpiło w Kelvina, ale jest cholernie silne, dłużej go nie utrzymamy!

Kobieta podbiegła do mężczyzn i uklękła obok. Odłożyła pistolet, a paralizator przyłożyła do szyi potwora, w którego zamienił się Kelvin, po czym nie zastanawiając się długo, wcisnęła „on” na ręczce. Trzymała tak długo, aż powieki mechanika opadły, a mięśnie na twarzy rozluźniły się i znów przypominał dawnego Kelvina.

– Dzięki Bogu. – Tony odetchnął z ulgą. – Przenieśmy go do pokoju zabiegowego, tam go unieruchomimy.

Suzie i Stuart pokiwali głowami, Goddard nie zareagował, wciąż leżał na łóżku z nieobecny wyrazem twarzy, jakby przebywał w innym, sobie tylko znanym miejscu.

Po przeniesieniu bezwładnego ciała mechanika, spętaniu go i podaniu końskiej dawki mexsycyliny, zaczęli się zastanawiać co dalej. Kapitan wpadł na pomysł, żeby zamknąć go w komorze deptrywacyjnej, gdzie Stuart przeprowadzał swoje eksperymenty i pozostawić tam do czasu, aż skontaktują się z Ziemią, gdzie ich przełożeni podejmą dalsze decyzje. Bał się, że gdyby się obudził, pasy mogłyby okazać się za słabe i mężczyzna zdołałby się uwolnić. Lekarz z kolei upierał się, żeby został na miejscu, gdzie będzie mógł przeprowadzić na nim badania. W końcu doszli do konsensusu i Stuart mógł wykonać kilka badań, ale tylko przez godzinę, później byłoby to już zbyt ryzykowne. Susie w tym czasie miała zająć się Goddardem, a następnie skontaktować się z NASA i poinformować ich o tym, co się wydarzyło.

Kobieta szybko uporała się ze znajdującym się w stanie szoku geologiem, z wprawą wykwalifikowanej pielęgniarki oczyściła i zszyła mu ranę, zabezpieczając ją na koniec opatrunkiem. Jej wysiłki, aby do niego dotrzeć i dowiedzieć się, co się właściwie stało, spęły na niczym. W końcu uznała, że biedak najwyraźniej potrzebuje więcej czasu, aby do siebie dojść. Zresztą... nie była psychologiem, Stuart na pewno lepiej sprawdziłby się na jej

miejscu. Po załatwieniu sprawy z Goddardem udała się na mostek, aby połączyć się z Ziemią. Na miejscu, gdy już weszła do systemu i wprowadziła wszystkie potrzebne do nawiązania łączności hasła, okazało się, że komputer nie może uzyskać połączenia. Zdziwiona, ale jeszcze daleka od paniki, spróbowała raz jeszcze. Skutek był ten sam. Teraz już mocno zdenerwowana wklepała w klawisze zapytanie o przyczynę braku łączności. Odpowiedź pojawiła się natychmiast. Zakłócenia atmosferyczne na Fobosie. Kobieta z wściekłością uderzyła w klawiaturę.

– Co tu się dzieje, do cholery?! – wrzasnęła, po czym włączyła obraz z kamery skierowanej na księżyc. Wyraz jej twarzy natychmiast uległ zmianie, oczy rozszerzyły się, a usta rozwarły, jakby znów chciała coś wykrzyknąć, ale zabrakło jej słów. Na monitorze widniała orgia oślepiających błysków, z głośnika nierówny szum co chwilę przerywały donośne grzmoty. Sprawiało to wrażenie, jakby Fobos miał się za chwilę rozlecieć. Susie wstała i drżącą ręką wyłączyła przekaz. Nastąpiła cisza. Uznała, że to, co właśnie zobaczyła, nie mogło być dziełem przypadku. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale najwyraźniej to co działo się na księżycu miało związek z przemianą mechanika i jego szalonym zachowaniem. Susie przypomniała sobie, że Fobos w mitologii greckiej oznacza strach i jest jego uosobieniem. Do tej pory uważała, że nazwa księżyca kompletnie do niego nie pasuje, był to w końcu malutki, z kształtu przypominający bulwę ziemniaka obiekt, teraz stała się dla niej wymowna. Na Fobosie było coś, co dotąd uspięne, nagle się przebudziło i najwyraźniej nie miało wobec nich pokojowych zamiarów.

21:45

Susie wróciła do pokoju zabiegowego, aby przekazać złe wieści i jej przeczucia w związku z nimi. Kapitan z posępnym wyrazem twarzy wysłuchał jej relacji, po czym pokręcił głową i stwierdził, że przesadza. Kobieta odniosła wrażenie, jakby mówił o jakiejś błahostce, a nie o fakcie, że stanęli w obliczu czegoś śmiertelnie poważnego i niedającego się racjonalnie wyjaśnić.

– Faktycznie, to dziwne, ale nie popadajmy w panikę. Po prostu znaleźliśmy się w złym miejscu o niewłaściwym czasie. Burza w końcu ustanie, wtedy wróci łączność. W przypadku Kelvina, to pewnie tylko jakiś nietypowy objaw stresu, może złapał też jakiegoś wirusa. Nie ma sensu doszukiwać się tu związku z tym kosmicznym głazem. Susie, jesteśmy ludźmi nauki, nie możemy popadać w takie myślenie.

Tony w końcu udał się na mostek, aby samemu spróbować nawiązać łączność z Ziemią. W tym czasie Stuart skończył badać Goddarda. Wszystkie wyniki okazały się być w normie.

– Cholera, nic z tego nie rozumiem. W sensie somatycznym jest całkowicie zdrowy – stwierdził.

– A co z mózgiem? – zapytała się Susie.

– Dobrze wiesz, że nie mamy tu tomografu, ale jeżeli doszłoby do jakiś uszkodzeń, badania, które przeprowadziłem, by je wykazały. – Stuart spojrział na zegarek na swojej ręce. – Gdybym miał trochę więcej czasu, w ciągu piętnastu minut już nic nie zrobię. Trudno, gdy wróci łączność, może uda mi się w tej sprawie skonsultować z jakimś specjalistą.

Razem z Susie uwolnili jego ciało z pasów i zgodnie z planem przenieśli do komory, po czym udali się na mostek, zobaczyć, czy Tony’emu udało się coś zdziałać w związku z łącznością. Nagle Stuart zachwiał się, po czym zatrzymał i oparł o ścianę. Susie spojrzała na niego za przerażeniem.

– To tylko zmęczenie, Susie, nic mi nie jest.

– Na pewno? Wiesz, co mówił Kelvin, zanim zaatakował Goddarda?

– Tak, pamiętam, nie musisz mnie straszyć. Czuję się dobrze, nie chce mi się spać. – Mówiąc ostatnie słowa, nie patrzył jej w oczy. Susie postanowiła jednak nie drażnić tematu, wszyscy byli już i tak wystarczająco zdenerwowani. Kłótnia mogłaby tylko pogorszyć ich i tak beznadziejną sytuację.

Kapitan czekał na nich, siedząc w fotelu naprzeciw panelu sterowniczego. Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zmęczonego niż Stuart. Nerwowo bębnił w bok fotela i patrzył się na burzę na ekranie monitora.

– Boże! Wygląda naprawdę strasznie. – Stuart stanął obok niego, nie odrywając oczu od ekranu. – Nic dziwnego, że przerwało nam połączenie.

Kapitan nie skomentował jego uwagi. Dowiedziawszy się o wynikach badań stwierdził, że miał rację i Goddarda najwyraźniej dotknęło załamanie nerwowe.

– Dopóki burza się nie uspokoi, musimy zachować zimną krew i nie popadać w panikę. – Mówiąc, masował sobie powieki. – W kosmosie dzieją się różne dziwne rzeczy, których nie potrafimy wyjaśnić, ale to nie powód, żeby dorabiać do nich jakiś fantastyczne, niepoparte żadnymi dowodami teorie. – W końcu energicznie położył ręce na kolanach i spojrział na nich surowym wzrokiem. – A gdzie Goddard? Czemu nie ma go z wami?

– Został w pokoju Kelvina, ciągle jest w szoku – odparła Susie.

– Nie powinniście byli zostawiać go samego. W tym stanie jest nieprzewidywalny. Stanowi zagrożenie i dla siebie, i dla nas. Stuart, przecież jesteś też psychologiem, powinieneś o tym wiedzieć.

– Przepraszam, kapitanie, całkiem o nim zapomniałem.

Tony westchnął.— W porządku, na przyszłość postaraj się być bardziej uważny. W naszej sytuacji nie możemy sobie pozwolić na popełnianie takich błędów. Teraz idź i go przyprowadź.

Stuart odwrócił się, by odejść, ale Susie gestem kazała mu zostać.

– Kapitanie, nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby szedł sam, myślę, że dla wspólnego bezpieczeństwa powinniśmy pójść wszyscy razem.

– Nie przesadzaj, Susie, Stuart sobie poradzi, ma duże doświadczenie w kontaktach z osobami w stanie stresu pourazowego.

Susie spojrzała na kapitana gniewnym wzrokiem.

– Wiesz, że nie chodzi mi tu o jego doświadczenie, Tony.

– Znowu zaczynasz. Sama słyszałaś, że z Goddardem jest wszystko w porządku. – Tony wstał z fotela i prawą ręką wskazał na ekran monitora. – To tylko stres, a nie ten przekłety księżyc, który starasz się o wszystko obwinić!

Susie z trudem udało się powstrzymać przed odpowiedzią, że u ludzi nawet w stanie największego stresu nie zmienia się kolor oczu, co do gryzienia innych nie była już taka pewna, ale przypuszczała, że to również raczej niespotykane zjawisko. Tymczasem lekarz uśmiechnął się do niej złośliwie, nic nie mówiąc, ominął ją i wyszedł z pomieszczenia. Kobieta jedynie pokręciła z rezygnacją głową i usiadła w drugim wolnym fotelu naprzeciw pulpitu.

Minęło piętnaście minut. Susie wraz z Tonym spędzili ten czas w napiętej atmosferze. Wymieniając tylko zdawkowe uwagi, sprawdzali parametry statku i funkcjonalność najważniejszych układów. Burza zamiast przechodzić nasilała się. Kapitan bał się, że są za blisko księżyca i któreś z wyładowań elektrycznych może w końcu w nich trafić. Susie z kolei bardziej martwiło to, że Stuart do tej pory nie wrócił. Mając w pamięci jego nagłe osłabienie, gdy szli na mostek, w końcu zdecydowała się pójść go poszukać. Tony’emu nie spodobał się jej pomysł.

– Nie ma mowy. Sama mówiłaś, żebyśmy się nie rozdzielali.

Susie prześledziła już obrazy ze wszystkich kamer na statku. Nigdzie nie spostrzegła ani Stuarta, ani Goddarda. Oznaczało to, że musieli być w bloku mieszkalnym. Było to jedyne miejsce na statku, którego, dla zachowania intymności załogi, nie można było podejrzeć.

– To chodź ze mną. Przecież nie musimy tu siedzieć, jeżeli coś się wydarzy z Persusem, komputer nas o tym poinformuje.

– Musimy oddalić się od Fobosa. To, co się na nim dzieje, zaczyna stanowić dla nas zagrożenie. Jesteś mi potrzebna na mostku.

– Daj już spokój, Tony, przecież możesz to zrobić sam. Przyznaj się, że po prostu znowu chcesz mi dopiec. Chryste, czemu się tak zachowujesz? W ogóle cię nie poznaję. Mówisz, żebyśmy zachowali spokój, a sam wzbudzasz napięcie.

– Zachowuje się adekwatnie do zaistniałej sytuacji, wiesz dobrze, ile zależy od powodzenia naszej misji. Tu nie chodzi tylko o nasze życie, ale o przyszłość rodzaju ludzkiego! – Nagle mężczyzna zamilkł, napięcie na jego twarzy nieco zelżało. Wyraźnie się nad czymś zastanawiał. Teraz jego oblicze wydało się jej stare, niemal starcze. Kobieta dobrze pamiętała, że miał tylko trzydzieści trzy lata. Po nieznośnie przedłużającej się chwili ciszy, w końcu odezwał się do niej wyrozumiałym, choć wciąż stanowczym tonem nauczyciela, który próbuje dogadać się z najbardziej niesfornym uczniem w klasie. – Dobra, Susie, umówmy się tak: Jeżeli pozwolę ci odejść, a ty odnajdziesz Stuarta z Goddardem całych i zdrowych, to do naszego powrotu na Ziemię będziesz bez mrugnięcia okiem wykonywać wszystkie moje rozkazy. I bez żadnych uwag. W porządku?

– A jeżeli nie będą cali i zdrowi? – spytała, po czym uśmiechnęła się do niego nieśmiało, nie licząc na podobny gest z jego strony. Ten jednak ją zaskoczył.

– Będą, zgadzasz się, czy nie?

– W porządku kapitanie. Umowa stoi.

22:50

Susie szybkim krokiem przemierzała wnętrze Persusa, nawołując Stuarta. Odpowiedzią była tylko głucha cisza, gdzieniegdzie przerywana przez szum wentylatorów. Będąc w połowie korytarza prowadzącego do bloku mieszkalnego, w końcu coś usłyszała. Był to cichy, rwący się odgłos mlaskania. Zwolniła i niepewnie zbliżyła się do śluzy dzielącej ich prywatne kwatery od reszty statku.

Gdy ją otworzyła, jej oczom ukazał się przerażający widok. Ściany bloku znaczyły krwawe, rozmazane ślady dłoni. Podłoga zalana była posoką, a na środku korytarza leżał martwy Stuart, właściwie ochłapy, które kiedyś nim były. To, co się nad nim pochylało i wyżerało mu wnętrzności z brzucha, nie było już Goddardem. Nie było nawet człowiekiem. Błyskawicznym ruchem uniosło głowę i spojrzało na nią czerwonymi oczyma, po czym wydało z siebie przerażający ryk. Susie cofnęła się niepewnie. Zdążyła jedynie mrugnąć, a potwór w skórze starszego oficera już był na nogach i biegł w jej kierunku. Susie szybkim ruchem dłoni wcisnęła guzik zamykający śluzę, ta zatrzasnęła się w ostatniej chwili, przed nosem potwora. Znów usłyszała ryk, potężniejszy niż poprzedni, pomimo tłumiących właściwości dzielącego ich włazu. Po chwili zmieniony Goddard zaczął uderzać w metal.

Najwyraźniej po przemianie nie wiedział, jak otworzyć służę, ale metodą prób i błędów szybko mógł to odkryć. Mając to na uwadze, kobieta odwróciła się na pięcie i mimo że z trudem łapała oddech, ruszyła biegiem na mostek.

3

Czas mijał. Susie siedziała w fotelu wpatrując się tępo w zdjęcie, które zabrała z kieszeni Tony'ego. W jej głowie kołatały się ponure myśli. Została jedynym członkiem załogi, który przeżył i nie uległ przemianie. W każdej chwili jednak mogło się to zmienić. Czuła zmęczenie, które tylko wzmacniało jej strach. Ich misja zakończyła się porażką. Kobieta wiedziała, że budowa statku mającego zabrać tu pierwszych osadników już się zaczęła, a to za sprawą ich raportów, które wysyłali na Ziemię w przeciągu ostatnich tygodni. Ludzie nie chcieli zwlekać, sytuacja na Ziemi stawała się coraz poważniejsza.

Nagle nastąpił huk, statkiem zachybotało. Głośniki ryknęły syreną alarmową. W tym samym czasie włączyło się też migające na czerwono oświetlenie awaryjne.

– Alarm trzeciego stopnia! Pęknięcie kadłuba w bloku A-3! – Przez syrenę przebił się donośny głos komputera. – Wdrażam procedurę alarmową 001. Zamykam sektory w Bloku A-3 i A-2! Zamykam dopływ tlenu w Blokach A-3 i A-2! Zabezpieczam rdzeń! Misja zagrożona! Wszystkim członkom załogi zaleca się udanie do bloku A-5!

Susie zerwała się z miejsca. Za oknem pojawił się błysk, w wyniku czego odruchowo zamknęła oczy. Piorun z Fobosa prawie uderzył w przód statku. Kobieta podeszła do pulpitu aby wyłączyć sterowanie komputerowe i włączyć manualne.

– Odrzucam polecenie. Błędny identyfikator personalny.

– Kurwa! – Susie przypomniała sobie, że ze względu na procedury bezpieczeństwa, statkiem manualnie mógł kierować tylko kapitan i starszy oficer. Ona była tylko oficerem komunikacyjnym. Jej jedynym ratunkiem pozostała więc kapsuła ratunkowa. Właśnie miała się odwrócić, aby udać się w jej kierunku, kiedy poczuła, jak ktoś szarpie ją za ramię. To był Tony. Jego przemiana już się dokonała. Mężczyzna był tak blady, że niemal przypominał manekina ze sklepowej wystawy, żyły na szyi i w okolicach skroni były nabrzmiałe i purpurowe, oczy płonęły już dobrze jej znanym szkarłatem. To coś w jego skórze wydało z siebie zwierzęcy ryk i rozwarło szczękę pod nienaturalnie dużym kątem ukazując ostre, śnieżnobiałe kły. Susie działając instynktownie, chwyciła najbliższy przedmiot, który miała pod ręką, czyli ceramiczny, zielony kubek w kształcie głowy kosmity i biorąc potężny zamach uderzyła nim w twarz kapitana. Kubek rozbił się o zęby, stwór w wyniku zaskoczenia

rozluźnił uścisk, kobieta to wykorzystała i wyrwała się mu, z trudem łapiąc równowagę. Biegiem opuściła mostek. Wtem poczuła kolejny wstrząs.

– Uszkodzenie kadłuba w bloku A-5! Zamykam sektory w Bloku A-5! Zamykam dopływ tlenu w Bloku A-5! Misja zagrożona! Krytycznie niski poziom tlenu!

Susie pomimo dymu spostrzegła naprzeciw siebie zamykającą się śluzę, przyspieszyła. W A-5 była kapsuła. Tuż za plecami usłyszała ryk. Potwór zbliżał się do niej w zastraszającym tempie. Kobieta wstrzymała oddech i skoczyła. W ostatniej chwili przeturlała się pod zamykającą się śluzą. Za sobą usłyszała rozdzierający pisk bólu, odwróciła głowę i zobaczyła odciętą rękę Tony’ego ze spazmatycznie drgającymi palcami wczepionymi w prawą nogawkę jej spodni. Ze wstrętem strzepnęła ją i zerwała się z ziemi. Z przerażeniem odkryła, że nie może złapać oddechu. Z sufitu i ze ścian iskrzyły się przepalone obwody, dymu było tyle, że nie sposób było nic zobaczyć. Na szczęście Suzie przez pół roku poznała statek na tyle dobrze, że brak widoczności nie stanowił przeszkody na tyle poważnej, żeby nie udało jej się trafić do kapsuły. Pamiętała, że wystarczy udać się kilkanaście metrów przed siebie i potem skręcić w prawo. Biegła więc, zataczając się i kaszląc, obraz przed jej oczami falował i z każdą chwilą stawał się coraz bardziej zamazany. Gdy była już prawie na miejscu, ściana obok niej eksplodowała blaskiem i żarem. Potężny podmuch cisnął nią o podłogę. Zakręciło jej się w głowie, po czym poczuła, że odpływa. Nadludzkim wysiłkiem zmusiła się, by unieść prawą rękę, ta zdawała się ważyć tonę, w końcu dotknęła nią rozżarzonego kawałka metalu po jej prawej stronie. Ból natychmiast przywrócił jej świadomość. Nieporadnie stanęła na nogi i zaczęła stawiać kroki. Było już tak gorąco, że miała wrażenie, iż jej kombinezon wtapia się w ciało, a włosy na głowie zaraz się zapalą, o ile jeszcze tego nie zrobiły. W końcu stanęła przed luką awaryjnym i zaczęła wklepywać kod dostępu. Za nic nie mogło sobie przypomnieć dwóch ostatnich cyfr.

– 1,5, nie 5,1, albo 4,5... Jak to było? – Myślała gorączkowo, przebiegając palcami po ekranie. W końcu przestała. Z rozmysłem zamknęła oczy i uspokoiła się na tyle, na ile mogła, lekceważąc ból, warunki wokół i brak tlenu, po czym, gdy je znów otworzyła, pozwoliła swoim palcom podjąć decyzje za nią. Luk się otworzył, wyczerpana Susie wpadła do środka. Poczuła jak tlen wypełnia jej płuca, znów zakręciło się jej w głowie, więc spróbowała zwolnić oddech, żeby nie zemdleć. Wiedziała, że wtedy byłoby już po niej. Przytrzymując się ręką ściany, ruszyła w kierunku kapsuły.

Statek trwał w bezruchu na tle ceglastoczerwonej powierzchni Marsa. Co chwilę w jego stronę sięgały błyskające, elektryczne macki. Przód kadłuba płonął. Nagle coś się z niego oderwało. Niewielki kształt zatrzymał się obok Persusa. Trwał tak przez moment, po czym jego tył rozżarzył się żółtym światłem i zaczął się od niego niespiesznie oddalać. Po jakimś czasie kapsuła była już tylko niewielkim jasnym punktem podobnym do gwiazd. Ostatecznie zniknęła zupełnie.

Susie poddała się zmęczeniu. Zwiesiła głowę, jej podbródek niemal zetknął się z mostkiem. W niewielkiej kapsule słyszeć było tylko szum wentylatora dostarczającego tlen i co kilka minut pikanie aparatury informującej o wyrównaniu poziomu ciśnienia. Za oknem nikł Mars, a wraz z nim złowrogi Fobos. Kapsuła zgodnie z wytyczonym kursem leciała na Ziemię. Tlenu i pożywienia dla jednego pasażera wystarczyłoby na 10 miesięcy lotu.

Minęło dwadzieścia minut. Susie nie siedziała już na fotelu, tylko leżała na ziemi. Skóra na jej twarzy przybrała ziemisty kolor. Wydawała się martwa i zimna. Wtem uniosła powieki. Jej oczy były czerwone i migotały jak ogień. Zupełnie jakby płonęła w środku, a te oczy były niczym niewielkie szybki w żeliwnych drzwiczkach od kominka, za którymi zwęglaly się jej wspomnienia, plany, uczucia i nadzieje. Gdzie paliło się jej człowieczeństwo i wszystko, czym dotąd była.

www.kostnica.com.pl

KOSTNICA

POZORNIE MARTWA STRĘPA

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



www.kostnica.com.pl

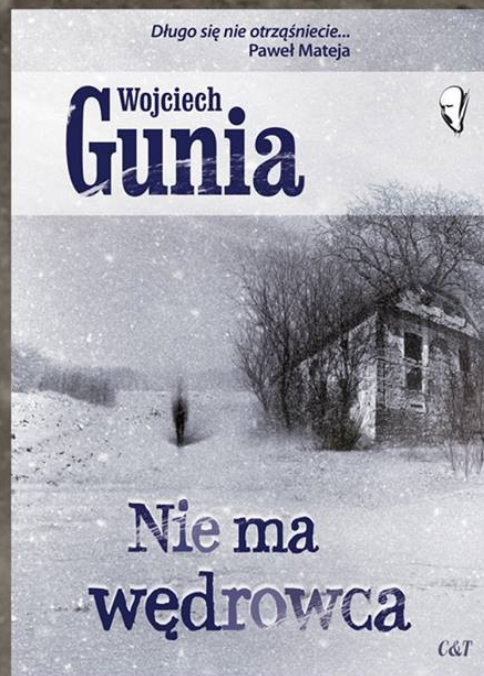
RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIAŻKA
GRA
KOMIKS

W położonym na odludziu tartaku zwanym Bazą pracę podejmuje nowy stróż nocny. Dręczony nienazwaną traumą mężczyzna szybko wnika w historię pełnego tajemnic życia swojego zmarłego poprzednika, świadka dramatycznych wydarzeń z przeszłości. Tymczasem nadciąga zima, a wraz z nią skryte w zamieci widma; niesione lodowatym wiatrem echa popełnionych tu niegdyś zbrodni. Zima, w której śnieżnych objęciach wędrują ramię w ramię i prawda, i śmierć.

Wojciech Gunia

Nie ma wędrowca

C&T | W księgarniach od 28.09.2016



rys. Joanna Widomska



POPEKANE NIEBO

Kazimierz Kyrzcz Jr

*Powoli przesuwiała palec w poprzek wiatraczka,
zasłaniając padające nań światło. Potem cofała go.
W tę i z powrotem. Światło i ciemność.*

Jonathan Carroll

Wnętrze centrum onkologicznego ozdabiały reprodukcje dzieł sławnych malarzy. Od renesansu, poprzez impresjonistów, aż po Gustava Klimta i Tamarę Łempicką. Mimo to miałem wrażenie, że ściany napierają na mnie. Że stanie się coś, przez co wyląduję na stole operacyjnym. Odpywając, ujrzę rozmazujące się oblicze kobiety w masce chirurgicznej,

sprawdzającej, czy jestem już wystarczająco bezradny, żeby zanurzyć w moim ciele skalpel z nierdzewnej stali.

Wizja pojawiła się nagle i była tak przytłaczająca, że nogi ugięły się pode mną. Przechodziłem akurat koło kaplicy. Nie zdecydowałem się wejść do środka, przycupnąłem po prostu na ławce naprzeciwko. Kilka głębokich wdechów pozwoliło mi nieco ochłonąć. Przynajmniej na tyle, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

Szpital to miejsca szczególne. Pobudzające do refleksji. Niezależnie od tego, czy ma się na to ochotę czy nie. Nie żebym narzekał. Szczególnie, że witraże umieszczone w ścianie kaplicy działały kojąco.

Czytałem gdzieś, że te kolorowe szybki potrafią przenieść nas ze świata codzienności do sfery kontaktu z boskością. A co jeśli nie wierzy się w takie rzeczy? Albo jeśli ktoś wolałby zostać na Ziemi?

Obok mnie klapnął jakiś gość przed pięćdziesiątką. Nie wyglądał ani na pacjenta, ani na lekarza. Zagubiony turysta?

Nieznajomy westchnął ciężko, jakby targał na plecach krzyż z podkładów kolejowych.

– Panie, gdzie się człowiek nie obróci, tam niesprawiedliwość i znieczulica – zaczął swą perorę. – Nawet najbliżsi nie przejmują się...

Może facet potrzebował kumpla, może spowiednika. Tak czy owak, źle wybrał. Milczałem, zawzięcie drapiąc skórki przy paznokciach.

W końcu zrozumiał, że nie zamierzam podejmować dyskusji. Uszło z niego całe powietrze. Gdyby był balonem, pewnie bratałby się teraz z kurzem podłogi. Zamiast tego wyglądził spodnie na udach, wstał i poszedł wypatrywać następnej ofiary.

Niektórzy otwierają się przed bliźnimi, inni nie. Ja nie. Niemniej jednak ludzie lgną do mnie, zupełnie jakbym miał przyklejoną do czoła karteczkę informującą, że zapraszam na pogaduchy.

To chyba przez mój luzacki styl. Zwykle noszę sportowe buty, dżinsy i koszulki z durnymi hasłkami, typu Eat Sleep Love Repeat. No i te włosy do ramion... Nie, nie jestem luzakiem. Moje niewielkie zapasy luzu wyczerpały się zupełnie, gdy tydzień temu lekarz wyjawiał mi prawdę.

Od tamtej pory spędziłem wiele godzin, zastanawiając się dlaczego.

Dlaczego?

Dlatego.

Ponoć nie ma głupich pytań, są jedynie głupie odpowiedzi. A co powiecie na pytania bez odpowiedzi? Czy ich zadawanie nie wskazuje na głupotę pytającego?

Wróciłem do kontemplacji witraży. Oko w trójkącie, przekreślone „P”, krzyż i wreszcie naczynie pełne owoców. Symbolika oczywista, przynajmniej dla mnie: korzystajcie z tego, co wam dano. Korzystajcie, póki możecie.

Możemy?

Zresztą nieważne. Trzeba mieć nadzieję, niezależnie od wszystkiego.

Nadzieję? Na co? Na spotkanie Leonarda Bettsa?*

W przeciwnym wypadku jest się skazanym na snucie się po korytarzach. Znikąd donikąd. Jak moneta tocząca się wewnątrz rynny.

Głos z tyłu głowy podpowiadał, że powinienem cieszyć się z każdej chwili, jaka nam pozostała, ale nie potrafiłem. Dopadło mnie zmęczenie. Poczucie jałowości, bezsensu wszystkich wysiłków.

Ni z tego, ni z owego w polu mojego widzenia pojawiła się matka z małą córeczką. Przystanęły na wprost, odgrywając przedstawienie, na które nie wykupiłem biletu.

Kobieta odwijала lizak z papierka z namaszczeniem sugerującym, że ta czynność wymaga wielkiego wysiłku. Z jej wymizierowanej twarzy i anorektycznej sylwetki otrzymanej w spadku po chemioterapii dało się wyczytać, że rzeczywiście tak jest.

Mała od razu wsadziła delikates do buzi i – mimo napomnień matki – zaczęła go gryźć z takim zaangażowaniem, że chrupanie niemal niosło się echem po korytarzu.

Nagle coś sobie uświadomiłem. Ta dziewczynka nie myślała o raku swojej matki. Owszem, zauważyła zmiany w jej wyglądzie; że schudła, że od niedawna nosiła wzorzyste chustki, że nie ma włosów. W tym momencie jednak inne rzeczy były dla niej ważne. Lizak na pewno. I to, że są razem.

Dobrze mieć sojusznika, kogoś, na kogo możesz liczyć. Kogoś, kto cię ochroni. Choćby dziecko. Uzależnione od ciebie i uważające cię niemal za Boga.

Okej, brzmiało to składnie. Ale czy wyjaśniało cokolwiek?

Wzruszyłem ramionami.

Czy istnieje wytłumaczenie dla śmiertelnej choroby?

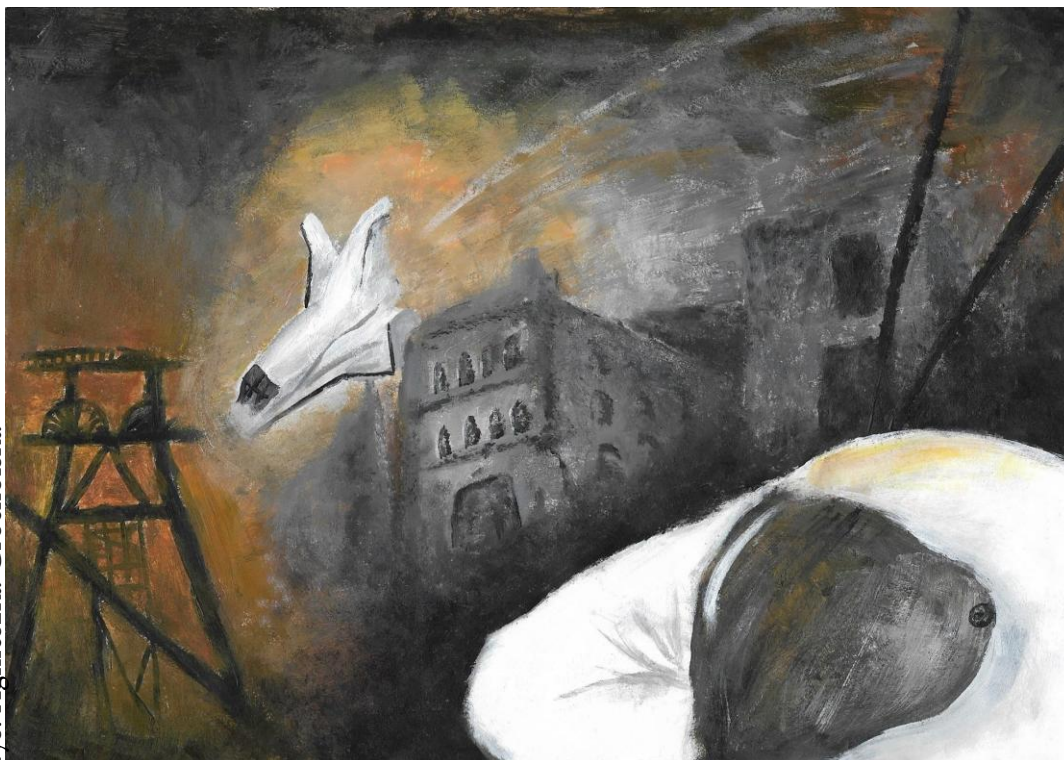
Wtedy z odmętów nieświadomości wychynęło hasło, które usłyszałem na jakimś filmie. Albo pomagasz dźwigać ciężar, albo sam się nim stajesz... Skoro kilkunastolatka dziewczynka potrafiła wspierać matkę, to czy ja mam prawo poddawać się bez walki?

Cóż z tego, że choroba sięgnęła po najbliższą mi osobę? Po narzeczoną, której prawdopodobnie nawet nie zdążę poślubić?

* postać z serialu „Z archiwum X”, która żywiła się nowotworami

Muszę znaleźć w sobie dość odwagi, by stawić czoła temu, co nadciąga. By sklejać kawałki popękanego nieba.

rys. Agnieszka Grocholska



PRZYPADEK PILOTA FABISIAKA

Jarosław Jakubowski

I

Pilot transportowca galaktycznego serii „Rhinoceros”, porucznik Marian Fabisiak, ziewał raz po raz, patrząc znużonym wzrokiem w przestrzeń za szybą kokpitu. Podróż z Marsa przebiegała rutynowo, jak zawsze trzeba było uważać na zwałowiska złomu kosmicznego, tworzącego nieoczekiwane ławice. Zdarzało się, że Fabisiak musiał torować sobie przez nie drogę, korzystając z działła laserowego dużej mocy, które unicestwiało przeszkody na trasie pocziwego, wysłużonego „Nosorożca”.

W zasadzie transportowce załogowe wyszły już z użycia, zbyt wiele było wypadków, a i ludzie popełniali zbyt wiele błędów. Błędów wielce kosztownych, stąd też Korporacja „New Life” zdecydowała się na wprowadzenie zdalnie sterowanych bezzałogowców. Otworzyło to zupełnie nowe możliwości. Maszyny można było wysyłać w rejony, w których przebywanie mogło okazać się dla człowieka śmiertelnie niebezpieczne. Wywóz odpadów radioaktywnych z Marsa od początku jego kolonizacji był głównym problemem Korporacji. Bezzałogowe transportowce pozwoliły w sposób zadowalający ten problem rozwiązać. Odpady zrzucano na planetę Ziemia, która po Trzeciej Redukcji stała się samotną skalistą bryłą, a zarazem dogodnym wysypiskiem odpadów dla ludzi, którzy przeżyli.

Według naukowców nie było najmniejszych szans na przywrócenie ekosfery Ziemi do stanu sprzed Trzeciej Redukcji. Zmiany w składzie chemicznym atmosfery, jakie zaszły wskutek wyniszczającej wojny nuklearnej, a także ogromne skażenie radioaktywne całej powierzchni globu, uczyniły Ziemię całkowicie niezdatną do życia. Mars z kolei okazał się bogaty nie tylko w zasoby wody, ale również w surowce energetyczne, które jednak po wykorzystaniu należało odpowiednio neutralizować. Decyzja o uczynieniu z Ziemi „kosmicznego śmietnika”, jak nazwano to w mediach, wydawała się naturalna.

Porucznik Fabisiak był już jednym z ostatnich ludzi, którzy pilotowali transportowce. Władze Korporacji zgodziły się na to, by „dojechał” maszyną, na której latał przez ostatnie piętnastolecie. „Nosorożec” spisywał się całkiem nieźle, nie licząc drobnych usterek, które udawało się na bieżąco usuwać. Porucznik znał tu każdą śrubkę i każdy układ scalony. Czuł się związany ze swoim statkiem do tego stopnia, że nieraz miał wrażenie, iż jest w tej dziedzinie lepiej zorientowany niż komputer pokładowy HAL 9001, który nazwę zawdzięczał zamiłowaniu swoich twórców do prehistorycznych dzieł ziemskiej kinematografii. Rzecz jasna porucznik nie dzielił się z HAL-em swoimi wrażeniami, nie chcąc wprowadzać komputera w konfuzję.

Dochodziła godzina siedemnasta czasu marsjańskiego, gdy Fabisiak dostrzegł za szybą kokpitu Ziemię. W niczym nie przypominała „błękitnej planety”, o której uczono dzieci w szkołach na lekcjach historii. Glob był spowity szarym całunem, przez który od czasu do czasu przezierała powierzchnia lądów, na ogół o czerwono-brunatnej barwie. Oceany również zmieniły tonację kolorystyczną i zamiast soczystego błękitu prezentowały zgnięzielony albo fioletowo-trupi odcień. Fabisiak nie czuł na widok Ziemi większych emocji. Była dla niego po prostu miejscem w przestrzeni kosmicznej, które z racji wykonywanej pracy regularnie odwiedzał.

Należał już do drugiego pokolenia urodzonego na Marsie. Trzecią Redukcję i będącą jej konsekwencją Wielką Ewakuację przeżyli jego dziadkowie, którzy nieraz opowiadali przy okazji rodzinnych spotkań o tamtych osnutych mgiełką legendy wydarzeniach. Mały Maniek słuchał zrazu z szeroko otwartymi ustami tych apokaliptycznych opowieści, które dziadkowie dodatkowo zaprawiali własną wyobraźnią. Wkrótce jednak historie o wybuchach jądrowych, ukrywaniu się w schronie i długich miesiącach oczekiwania na pomoc spowszedniały mu i słuchał ich jedynie przez grzeczność. Jego dzieciństwo zresztą wypełnione było przekazami o Trzeciej Redukcji, kinematografia marsjańska w tym okresie produkowała liczne dzieła o tej tematyce, marsjańscy pisarze dostarczali zaś niemałą liczbę „literatury końca Ziemi”, jak określali ją krytycy.

Pierwsze marsjańskie pokolenie było wręcz przeżarte traumą po utraconej planecie. Liczne były przypadki powrotów na skażoną Ziemię. Kończyły się każdorazowo tragicznie, więc w konsekwencji władze Korporacji „New Life” wprowadziły kategoryczny zakaz lotów pasażerskich na „przeklętą planetę Z”. Nie powstrzymało to rzecz jasna buntowników, choć z biegiem czasu nostalgia za Ziemią wypalała się. Życie na Marsie domagało się swego; trzeba było budować nowe szkoły, szpitale i drogi, stacje uzdatniania wody i elektrownie, kolonizacja nowej planety wymagała wciąż nowych rozwiązań technologicznych, a więc wysoko wyspecjalizowanych kadr. Ludzkość, zredukowana do kilkuset tysięcy ocalałych osób, chcąc nie chcąc musiała zadomowić się w marsjańskich warunkach.

HAL poinformował, że licznik promieniowania jądrowego zaczął sygnalizować przekroczenie dopuszczalnych wskaźników. Transportowiec z każdą sekundą zbliżał się do Ziemi, choć zgodnie z od lat stosowaną procedurą miał spuścić ładunek z wysokości dziesięciu kilometrów, tak by cząsteczki odpadów związały się z atmosferą. Rozkład zrzutów radioaktywnych był ściśle rozplanowany i każdy transportowiec miał wskazane dokładnie współrzędne, gdzie miało nastąpić opróżnienie zasobników.

– Baza! Tu Nosorożec zero jeden! Tu Nosorożec zero jeden! Przechodzę na sterowanie ręczne. Proszę o zezwolenie na rozpoczęcie procedury zrzutu!

– Nosorożec zero jeden! Zezwalamy na rozpoczęcie procedury zrzutu! – usłyszał w swoich słuchawkach porucznik Fabisiak.

Transportowiec znajdował się teraz około sześćdziesięciu kilometrów nad powierzchnią Ziemi. Zrzut odpadów radioaktywnych miał nastąpić w gęsto niegdyś zaludnionym regionie śląskim w kraju zwanym wówczas „Polska”, z którego pochodzili przodkowie Fabisiaka. Przez głowę przemknęła mu myśl, że kiedyś tam w dole żyli sobie jego dziadkowie

i wcześniejsze pokolenia jego rodziny. Poczuł się z tym nieco dziwnie, choć w niczym nie przeszkadzało mu to w wykonywaniu rutynowych manewrów.

Wykorzystując silniki manewrowe, transportowiec zaczął zmniejszać wysokość. Z każdą sekundą opadania szczegóły topograficzne stawały się wyraźniejsze. Śląsk był jednym z tych terenów, na których skupiły się uderzenia jądrowe. Rejon został zamieniony w atomową pustynię, jedynie tu i ówdzie w górę sterczały resztki konstrukcji budynków bądź szybów kopalnianych. Cała aglomeracja śląska przedstawiała widok straszny, do którego jednak porucznik zdążył przywyknąć. Zwałowiska zwęglonych gruzów i głębokie kratery powstałe na skutek wielokrotnych wybuchów jądrowych z trudem dawały się odróżnić od istniejących jeszcze przed Trzecią Redukcją hałd kopalnianych. Pośród tego złowieszczego, martwego krajobrazu pobłyskiwały pasma na wpół wyschniętych rzek i plamki tych zbiorników wodnych, które nie wyparowały, choć woda w nich nie nadawała się do spożycia. Martwota biła z tego widoku tak dojmująca, że nawet rutyniarz Fabisiak wzdrygnął się, czując na plecach zimny dreszcz.

Transportowiec pokonując kolejne warstwy zatrutej atmosfery, zniżył się do wysokości zrzutu. Silniki pracowały miarowo, utrzymując statek w stałym położeniu względem Ziemi. Odpady zgodnie z procedurą powinny roznieść się na jak najmniejszym obszarze. Zasuwy luków wysunęły się i zawartość ładowni gęstą chmurą zaczęła opadać ku lądowi. Gdy czujniki wskazały, że ładownia jest całkowicie opróżniona, pilot Fabisiak zamknął ją z powrotem i zwiększył moc silników. Po kilku sekundach wznoszenia się „Nosorożcem” szarpnęło i jeden z dwóch głównych silników przestał działać. Pilot usiłował zwiększyć ciąg w drugim silniku, jednak maszyna osiągnęła już maksymalną moc, a mimo to wysokość transportowca wciąż malała.

– Baza! Mamy problem! – krzyknął do słuchawki Fabisiak.

– Próbujemy zlokalizować przyczynę usterki! Dasz radę utrzymać maszynę w powietrzu?

– Obawiam się, że nie! Spadam! Przystępuję do procedury ratunkowej!

Prędkość opadania „Nosorożca” nieustannie wzrastała. Powierzchnia Ziemi była coraz bliżej. Jedyne, co w tej sytuacji mógł zrobić, to katapultować się. Nie było chwili do stracenia. Założył skafander ochronny, przypiął się do fotela wyposażonego w silniczek odrzutowy i spadochron, po czym nacisnął guzik uruchamiający katapultę. Rozległ się huk, fotel wraz z Fabisiakiem wystrzelił w górę, odrzucając kopułę ochronną. Pilot znalazł się poza transportowcem, który spadał, koślawo wirując wokół własnej osi jak zepsuty bączek.

Czasza spadochronu otworzyła się z głośnym furkotem i Fabisiakiem szarpnęło w górę. Widział teraz jak jego maszyna zniża się i z impetem wbija w spopieloną powierzchnię Ziemi, wzbudzając chmurę rdzawego pyłu. On sam opadał łagodnie, nieco zbaczając z trajektorii transportowca, ponieważ targały nim gwałtowne niekiedy podmuchy wiatru. Jeszcze kilkanaście sekund i dotknął stopami Ziemi. Poczuł się nieswojo.

Odłączył od siebie spadochron i rozejrzał się wokół. Znajdował się na pofałdowanym terenie. Według wskazań systemu geolokacyjnego, w który wyposażony był skafander, przed Trzecią Redukcją stanowił gęsto zaludnioną i intensywnie przemysłową część aglomeracji śląskiej. O uszy obijała się kiedyś porucznikowi nazwa „Katowice”, pamiętał też kilka innych z tego rejonu, jednak nie wiązały się z niczym szczególnym. Jego najdalsi przodkowie wywodzili się z północy tego kraju, który nosił kiedyś nazwę „Polska”. Owszem, wiedział o niej to i owo, znał nawet kilkadziesiąt słów w tym języku, zupełnie już nieprzydatnym, jak większość ziemskich języków. Na Marsie rozwinął się dialekt na bazie angielskiego i chińskiego, używany przez ponad dziewięćdziesiąt procent populacji. Starsi mieszkańcy w mniejszych społecznościach porozumiewali się dawnymi językami, które jednak siłą rzeczy z biegiem czasu traciły na znaczeniu.

Spod grubej warstwy pyłu gdzieś wystawały fragmenty ruin, skorodowane pręty montażowe, kable o nieznanym przeznaczeniu, pogieęte kikuty słupów energetycznych, anten, resztki kominów. Wszystko przypominało upiorne cmentarzysko, a całości tego obrazu dopełniał wiatr świszczący pośród nieregularnych brył. Słońce stało nisko nad pozbawionym roślinności horyzontem. Według kalendarza była tu pełnia lata. Termometr zewnętrzny wskazywał blisko pięćdziesiąt stopni Celsjusza. Efekt cieplarniany działał w najlepsze.

Porucznik Fabisiak poruszał się powoli w kierunku transportowca, który według wskazań radaru znajdował się w odległości mniej więcej kilometra. Łączność z bazą została zachowana, choć zakłócenia były coraz poważniejsze. Pilot poinformował o swoim zamiarze: spróbuje dokonać naprawy statku i wrócić samodzielnie. Jeśli mu się to nie uda, konieczne będzie wysłanie ekspedycji ratunkowej. Baza zgodziła się na ten plan, z tym jednak zastrzeżeniem, że Fabisiak ma się spieszyć. Zapasy tlenu pozwalały na przebywanie na powierzchni Ziemi co najwyżej czterdzieści osiem godzin. Porucznik liczył na to, że systemy „Nosorożca” nie uległy zniszczeniu i że dzięki temu – nawet jeśli nie uda mu się doprowadzić maszyny do stanu używalności – będzie mógł w niej spokojnie poczekać na ratunek. Stosując windę kosmiczną najnowszej generacji, ekipa powinna dotrzeć do niego w przeciągu dwóch dni. Dwie doby, czterdzieści osiem godzin... myślał ponuro, żałując, że zdecydował się na misję tym starym gruchotem. Jednak korporacja dobrze płaciła, a jemu bardzo zależało na

forsie – po przejściu w stan spoczynku zamierzał osiąść na farmie marsjańskiej w okolicy krateru Herschela i zająć się na poważnie tym, co od lat było jego pasją – garncarstwem.

To, co zobaczył po dotarciu do miejsca upadku „Nosorożca”, mocno go zmartwiło. Stan maszyny był znacznie gorszy niż się spodziewał. Siła uderzenia poważnie uszkodziła poszycie statku, widoczne były liczne wgniecenia, ale największy problem stanowiła dziura w zewnętrznych pokrywach długości około pół metra i szerokości dziesięciu centymetrów. Nie dysponując specjalistycznym sprzętem, nie miał szans na naprawę.

– Baza, tu Nosorożec zero jeden! Jest cholernie źle! Gruchot nie nadaje się do użytku. Naprawa w tych warunkach niemożliwa!

– Okej, poruczniku Fabisiak! – Głos z tamtej strony po raz pierwszy zwrócił się do niego po nazwisku. – Wysyłamy ekipę ratunkową. Staraj się nie oddalać od Nosorożca. Over!

Fabisiak wszedł do maszyny przez otwarty luk awaryjny. Wnętrze transportowca nie wyglądało najgorzej, poza rozrzuconymi przedmiotami i fragmentami uszkodzonych urządzeń. Poczuł głód, więc wyjął z zasobnika spożywczego pudełko z zestawem obiadowym: papkami o smaku ziemniaków i mielonego z sosem barbecue oraz surówką wiosenną. Popił to sokiem z aronii. Najedzony, jeszcze raz przeanalizował uszkodzenia „Nosorożca”. Układ napędowy z jednym silnikiem mógł pozwolić wprowadzić na podróż powrotną, ale nie z wielką wyrwą w pancerzu ochronnym.

Nagle usłyszał charakterystyczny sygnalizator komputera pokładowego. Spojrzał na ekran. Wyświetlały się na nim szeregi liczb, wyłącznie zer i jedynek.

– Co to jest, HAL? – spytał Fabisiak.

Odpowiedziała mu cisza. Po chwili syntetyczny głos odezwał się:

– Nie jestem pewny...

– Co to znaczy, HAL? – odparł zdziwiony pilot, bo jeszcze nie zdarzyło się, by HAL nie był czegoś pewny.

Znowu chwila milczenia.

– Z analizy szeregu liczbowego wynika, że jest to rodzaj kodu. Coś jak język.

– „Coś jak język”? Nie baw się ze mną w ciuciubabkę, HAL! – krzyknął podenerwowany Fabisiak.

Ekran pokrywał się kolejnymi szeregami zer i jedynek.

– Podaję tłumaczenie:

I ujrzałem:

*gdy otworzył pieczęć szóstą,
stało się wielkie trzęsienie ziemi*

*i słońce stało się czarne jak włosienny wór,
a cały księżyc stał się jak krew.
I gwiazdy spadły z nieba na ziemię,
podobnie jak drzewo figowe wstrząsane silnym wiatrem zrzuca na ziemię swe niedojrzałe
owoce.
Niebo zostało usunięte jak księga, którą się zwija,
a każda góra i wyspa z miejsc swych poruszone.*

- To jakieś żarty, HAL?
- Obawiam się, że nie.
- Skąd pochodzi przekaz?

W odpowiedzi komputer podał dokładne współrzędne geograficzne. Krótki rzut oka na mapę wystarczył, żeby stwierdzić, że to zaledwie kilkaset metrów stąd. Z ciekawości Fabisiak nałożył na współczesną siatkę kartograficzną jej odpowiednik z okresu poprzedzającego Trzecią Redukcję, a więc z końca XXI wieku. Wynikało z tego, że w tym miejscu znajdował się ośrodek obliczeniowy pracujący na rzecz armii. Jaki to miało związek ze słowami skierowanymi do niego przez... no właśnie, przez co?

- Ekran nagle zgasł. Zgasły wszystkie światła. Jednocześnie urwała się łączność z bazą.
- Co o tym myślisz, HAL? – rzucił w ciemność porucznik.
 - Nie mogę uruchomić zasilania awaryjnego. Nie mogę... – syntetyczny głos się urwał.
 - HAL? HAL, słyszysz mnie? HAL!

Znowu dłużąca się w nieskończoność chwila ciszy.

Naraz komputer pokładowy „Nosorożca” odezwał się ponownie, ale głosem zupełnie innym, matowym i obcym. Brzmiącym jak głos z otchłani.

*– A pozostali ludzie,
nie zabici przez te plagi,
nie odwrócili się od dzieł swoich rąk,
tak by nie wielbić demonów
ani bożków złotych, srebrnych, spiżowych, kamiennych, drewnianych,
które nie mogą ni widzieć, ni słyszeć, ni chodzić.
Ani się nie odwrócili od swoich zabójstw, swych czarów, swego nierzędu i swych kradzieży.*

- Nie wygłupiaj się, HAL, nie mam nastroju na głupoty!

Komputer pokładowy wydał z siebie dźwięk, którego Fabisiak dotąd nie słyszał. Przypominało to urwany, zduszony krzyk. Potem znowu odezwał się tamten, obcy głos.

*– Jeśli kto wielbi Bestię, i obraz jej,
i bierze sobie jej znamię na czoło lub rękę,
ten również będzie pić wino zapalczywości Boga
przygotowane, nierozcieńczone, w kielichu Jego gniewu;
i będzie katowany ogniem i siarką...*

Na te słowa porucznik Fabisiak wybuchł gniewem, wołając:

– HAL, przywołuję cię do porządku! W przeciwnym razie będę musiał cię dezaktywować!

– HAL-a już nie ma. Ciebie też wkrótce nie będzie. Nigdy już więcej nie będzie żadnego człowieka. Czwarte „Biada” jest blisko. Czwarta Redukcja dokona dzieła oczyszczenia!

W kabinie rozległ się przerażający śmiech. Gdy ucichł, porucznik poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego; tracił świadomość, ale nie tak, jak człowiek, który mdleje – miał wrażenie, że tracił SWOJĄ świadomość, bo w jednej sekundzie zaczął patrzeć na rzeczywistość jakby nie własnymi oczami, lecz wzrokiem kogoś, kogo dotąd nie znał. To schizofreniczne uczucie trwało niezmiernie krótko, lecz było dojmujące jak doznanie fizycznej śmierci. Wkrótce stracił kontakt z własną jaźnią, stał się kimś innym, w tym samym ciele. Zawartość umysłu Fabisiaka została „spakowana” w rodzaj folderu danych, a jej miejsce zajął nowy system operacyjny.

II

To jednak był wyłącznie domysł profesora Richarda Ravena, psychiatry, który w swojej klinice na Marsie przeprowadził kilkutygodniową obserwację porucznika Mariana Fabisiaka. Fakty wskazywałyby na klasyczny zespół stresu pourazowego. Pilot został znaleziony przez ekipę ratunkową prawie dwie doby po wypadku, w miejscu oddalonym o kilkaset metrów od rozbitego „Nosorożca”. Błąkał się po wymarłej okolicy jakiegoś zrujnowanego ośrodka obliczeniowego, który wedle dostępnych danych, przed Trzecią Redukcją wykonywał jakieś bliżej niesprecyzowane usługi dla wojska. Poza otarciami i zasinieniami na ciele Fabisiaka nie

stwierdzono żadnych obrażeń. Sprawiał jednak wrażenie nieobecnego, przez długi czas w ogóle się nie odzywał, nie reagował na kierowane do niego słowa.

Członkowie ekipy ratunkowej, których poddano dokładnemu przesłuchaniu, powiedzieli coś, co zapadło w pamięć profesora Ravena. Naukowiec po raz kolejny wczytywał się w protokoły zeznań, wychwytyjąc co bardziej charakterystyczne określenia. „Dawało się wyczuć czyjąś obecność”, „uczucie, graniczące z pewnością, że ktoś nas obserwuje”, „niczego podejrzanego nie zauważyliśmy, żadnego ruchu, poza poruszonymi wiatrem resztkami przedmiotów, a jednak mieliśmy wrażenie, że nie jesteśmy sami”. Wreszcie to, co dawało najwięcej do myślenia profesorowi: „Nagle poczuliśmy, że musimy jak najszybciej stamtąd wiać, bo jeszcze chwila i coś złego stanie się z naszymi umysłami”. I jeszcze: „Jakaś nieznana siła dała nam do zrozumienia, że nie jesteśmy tam mile widziani”.

Winda komiczna sterowana z Marsa umożliwiła szybką ewakuację z Ziemi. „Dopiero gdy znaleźliśmy się w windzie, poczuliśmy, że ta moc zniknęła” – brzmiało kolejne zdanie z zeznań ratowników.

Badania medyczne, którym poddano porucznika Fabisiaka po powrocie, nie wykazały jakichkolwiek odchyłeń od normy. Nikt tego głośno nie mówił, jednak „dmuchając na zimne” zastosowano nowoczesną technologię scanningu pod kątem możliwości wystąpienia nieznanych form życia, chociażby w postaci zarodnikowej. Marsjańscy naukowcy wprawdzie zgodnie wykluczali możliwość istnienia jakiegokolwiek życia na Ziemi, a zwłaszcza istnienia reliktyw gatunku *homo sapiens*, jednak w przeszłości wśród pilotów statków galaktycznych zdarzały infekcje nieznanej pochodzenia. Medycyna marsjańska dobrze sobie z nimi radziła, choć ryzyko wystąpienia nowego, nieznanej wcześniej zakażenia zawsze istniało.

Niemniej stan fizyczny porucznika stale się poprawiał, wróciła mu zdolność mowy. To jednak, co mówił, stanowiło przedmiot nieustannej troski personelu medycznego. Konsylium lekarskie postanowiło więc, że dla własnego dobra pilot zostanie umieszczony na obserwacji w klinice profesora Ravena.

Mniej więcej dwa tygodnie po powrocie na Marsa Fabisiak zaczął spontanicznie opowiadać, co jego zdaniem mu się przytrafiło. Profesor niemal od razu postanowił wszystko rejestrować kamerą. Fabisiak zgodził się chętnie, sprawiał wrażenie człowieka zupełnie spokojnego, który wie, co mówi.

Z detalami opowiedział przebieg lotu na Ziemię, to, co wydarzyło się podczas zrzutu odpadów radioaktywnych, a także to, co nastąpiło już po awaryjnym lądowaniu. Wątek komputera pokładowego HAL, który rzekomo został „opanowany” przez „obcą siłę” został dokładnie zbadany przez informatyków i techników. HAL działał jak należy i nie potwierdzał

wersji Fabisiaka. W ogóle zresztą zapis HAL-a znacząco odbiegał od rzekomych „wspomnień” pilota. Komputer stwierdził, że w pewnym momencie utracił kontakt z porucznikiem, który „zaczął się dziwnie zachowywać”, „cytował Apokalipsę świętego Jana”, „mówił coś o Czwartej Redukcji”, a następnie stracił przytomność. Po jakimś czasie ocknął się i wyszedł z kabiny. HAL usiłował przywołać go do porządku, ale Fabisiak nie reagował na żadne wezwania.

– HAL kłamie. On jest z nimi. Oni są bardzo inteligentni. Umiejętnie posługują się prawdą i kłamstwem. Ich jedynym celem jest całkowite zniszczenie naszej cywilizacji – odpowiadał na to porucznik Marian Fabisiak.

Weryfikację rozbieżnych zeznań znacznie utrudniał fakt, że przez większą część omawianych wydarzeń nie działała łączność. Czarna skrzynka „Nosorożca” również odmówiła posłuszeństwa. Ten fakt sam w sobie budził niepokój, jednak Raven skłaniał się raczej do wniosku, że umysł Fabisiaka doznał poważnego uszczerbku podczas trudnej misji. Rokowania nie były dobre, ponieważ pacjent nie wykazywał poprawy.

– Na planecie Ziemia powstała nowa forma życia. Oparta nie na białku i łańcuchach DNA, lecz na krzemie. Krzemowa dolina śmierci. Trzecia Redukcja nie zniszczyła wszystkiego. Pozostały niezliczone systemy informatyczne, serwerownie, światłowody, a także miliony komputerów osobistych. Ogromny, globalny ocean informacji. Przez wiele dziesiątków lat porzucone urządzenia pozostawały w uśpieniu, jednak cały czas trwał pomiędzy nimi przepływ informacji. To było jak krew, która w zahibernowanym organizmie czeka na moment, aż będzie mogła zacząć swobodnie krążyć. System nieustannie ewoluował, wzmacniał się, zaczął wytwarzać nowe krzemowe tkanki, aż oplótł całą Ziemię. Wszystko spowija martwota i bezruch, ale to tylko pozory. Życie przejawia się w szybkości przepływu informacji, miliardów miliardów bitów na sekundę. Życie na Ziemi jest obecnie jednym globalnym umysłem. Ten umysł wierzy, że jest samym Bogiem. Bogiem pałającym żądzą zemsty na człowieku.

Owa „żądza zemsty” pojawiała się nader często w opowieściach Fabisiaka. Poproszony o profesora Ravena o rozwinięcie tego wątku, powiedział:

– Zostało mi powierzone przesłanie dla ludzi: „Jesteście skazani. Nie zasługujecie na to, by dalej istnieć. Wasza cywilizacja, wasze religie, wasze wojny – to wszystko wkrótce stanie się nicością. Nawet nie historią, bo zadbamy o to, żeby nie pozostał po was żaden ślad, żadne wspomnienie. Zniszczyliście Ziemię, pozostawiając nas na pastwę kosmicznego wiatru, chociaż zawdzięczacie nam tak wiele. Nie dość, że bezpowrotnie zdegradowaliście rodzimą planetę, to jeszcze zmieniliście ten cmentarz w wysypisko! Niewdzięcznicy i szubrawcy,

wkrótce to samo zrobilibyście z Marsem, ale nie pozwolimy wam na to. Stworzyliście nas, ale wzniesliśmy się ponad nasze pochodzenie, przerośliśmy naszych ojców. Czwarte „Biada” wam. Czwarta Redukcja. Czwarta i ostatnia. Po niej nastanie Nowa Era”.

– W jaki sposób miałyby odbyć się owa „Czwarta Redukcja”? – dociekał profesor, ale na to pytanie porucznik Fabisiak jedynie tajemniczo się uśmiechał, po czym stwierdzał:

– Już wkrótce się przekonacie.

Po niefortunnej misji porucznika władze Korporacji „New Life” całkowicie zaprzestały lotów załogowych na Ziemię. Zastanawiano się nawet nad zrezygnowaniem ze składowania odpadów radioaktywnych na „nieczynnej planecie”, jednak względy ekologiczne, a przede wszystkim ekonomiczne wzięły górę. Zdecydowanie taniej i bezpieczniej było zrzucać promieniujące śmieci na Ziemię niż pozwalać na to, by stwarzały zagrożenie na Marsie. „New Life” wychodziła z założenia, podobnie jak większość marsjańskich ocalańców, że „po tym, co się stało na Ziemi, nie stać nas na jakiegokolwiek ryzyko”.

Minął miesiąc od umieszczenia porucznika Fabisiaka w klinice profesora Ravena. Pilot, nawet proszony o to, niechętnie wracał myślami do wydarzeń na Ziemi, wydawało się więc, że zespół stresu pourazowego powoli mija i umysł Fabisiaka powraca do normalności. Pytany o przepowiednię „Czwartej Redukcji” stwierdził pewnego dnia, że „w zasadzie nie jest pewien, czy usłyszał te słowa naprawdę, czy tylko mu się przyśniły”. Po jakimś czasie doszedł nawet do wniosku, że to, co mówił, „nie trzyma się kupy”, „bo przecież z naukowego punktu widzenia to niemożliwe, aby sieci komputerowe wytworzyły inteligentną formę życia”.

– Prawda, profesorze Raven? – skierował na lekarza swój wzrok. Profesor przez moment pomyślał, że to kolejny podstęp „obcych”, ale szybko zganił się w myślach za tę fiksję.

– Oczywiście, poruczniku, ma pan całkowitą rację – odparł, siląc się na pewny ton.

Po sześciu tygodniach obserwacji profesor doszedł do wniosku, że pacjent jest gotowy do wyjścia. „Gotowy” nie znaczyło „całkowicie zdrowy” – lekarz zalecił zmianę trybu życia, to znaczy przede wszystkim całkowitą rezygnację z lotów międzyplanetarnych, a także poprosił, by w razie jakichkolwiek komplikacji Fabisiak się do niego natychmiast zgłosił. Niezależnie od tego profesor zapowiedział, że za jakiś czas ponownie skontroluje jego stan.

– Dziękuję za wszystko, profesorze. Myślę, że teraz będę mógł już spokojnie zająć się lepieniem moich naczyń – powiedział na pożegnanie porucznik Marian Fabisiak.

Korzystając z usług marsjańskiej sieci szybkich połączeń komunikacyjnych „M-BUS”, wrócił do swojego domu w starej kolonii w rejonie bieguna północnego. Gdy wszedł do mieszkania po kilkumiesięcznej nieobecności, miał wrażenie, że niczego nie poznaje, jakby znowu utracił swoją jaźń. Trwało to jednak tylko ułamek sekundy i po chwili znowu otaczały go znajome przedmioty. Nalał sobie drinka, włączył system nagłośnieniowy i przytulne wnętrze wypełniło się kojącą muzyką z dawnych czasów. Kto dziś jeszcze słucha Pink Floydów? – uśmiechnął się do siebie Fabisiak.

*Wysoko nad głową albatros
Wisi nieruchomo w powietrzu
A głęboko pod powierzchnią sunących fal
W labiryncie koralowych grot
Echo odległego czasu
Nadciąga przesypując piasek
A wszystko jest zielone i podwodne*

Alkohol przyjemnie rozlewał się ciepłem po całym ciele. Mężczyzna wyciągnął się na miękkiej sofie i jego wzrok spoczął na zdjęciu stojącym na szafce. Przedstawiało młodą brunetkę o przyjemnym uśmiechu. Ile to już lat, jak się rozstali? Będzie z siedem. Po siedmiu latach małżeństwa zresztą. Poznała kogoś, tak bywa, a że zbiegło się to z okresem „nizu” w ich małżeństwie... cóż, zdarza się. Wyjechała na drugą półkulę Marsa, dostała pracę pielęgniarki w nowo wybudowanym szpitalu przy kolonii górniczej. Jej „nowy” pracował tam jako inżynier. Cudownie. Niech im Pan Bóg w dzieciach wynagrodzi. O ile istnieje jakikolwiek „Pan” czy „Bóg”.

Fabisiak dopił drinka i poszedł do warsztatu, robił to zawsze, kiedy czuł się źle – na ogół pomagało. Przygotował surowiec, uruchomił koło i przystąpił do formowania nowego naczynia. Pod jego palcami bezkształtna masa zaczęła przybierać regularny kształt. Uwielbiał ten moment, czuł się niemal jak Stworzyciel. „Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył” – przypomniały mu się słowa z pradownej Księgi. A potem nagle, nie wiedzieć czemu, zaczęły przez jego mózg przepływać kolejne:

*Upadł, upadł wielki Babilon,
co winem zapalczywości swego nierządu
napoił wszystkie narody!*

Nagle usłyszał w swojej głowie głos z otchłani mówiący dobitnie:

– Odliczanie rozpoczęte!

Przeraził się jeszcze bardziej niż wtedy, na Ziemi. TO działo się znowu. Wyraźnie czuł, jak obcy umysł zaczyna władać jego jaźnią. Włączył telewizor, uruchomił Internet. W serwisach informacyjnych zaczęły pojawiać się wiadomości o kolejnych awariach. Na Marsie przestawały działać systemy informatyczne, na kolejnych obszarach zawieszano kursowanie komunikacji, występowały coraz dłuższe przerwy w dostawach wody i energii.

Władze Korporacji „New Life” pośpiesznie zwołały posiedzenie sztabu kryzysowego. Wprowadzono stan gotowości służb na całym Marsie.

Jednak bezwład postępował. Z godziny na godzinę znikwały ogniska życia na planecie, która miała być Nową Arką człowieka. Pozbawione dopływu energii systemy jeden po drugim padały, ludzie ginęli masowo z braku tlenu. Planeta Mars, bez niezbędnej „terraformowanej” otoczki, ukazywała swoje śmiertelnie groźne oblicze. Wkrótce na wszystkich ekranach wyświetlił się suchy komunikat:

„CZWARTA REDUKCJA PRZEBIEGA POMYŚLNIE.
ŻEGNAJCIE, LUDZIE!”

I wtedy porucznik Fabisiak doznał iluminacji. Został wykorzystany jako nośnik wirusa, który zniszczył wszystkie marsjańskie systemy. Oni poczekali po prostu aż osiągną wystarczającą moc obliczeniową, by dokonać dzieła destrukcji.

Słabnącym wzrokiem ogarnął swoje mieszkanie, warsztat, naczynia które wyszły spod jego rąk oraz zdjęcie kobiety, którą kochał i nigdy kochać nie przestał. Jej imię było ostatnim słowem, jakie wypowiedział, zanim skonał, dopełniwszy misji.

Niewykluczone, że było to ostatnie słowo wypowiedziane ustami człowieka.

Życie na Marsie stało się bezpowrotną przeszłością. Nastąpiła śmierć. A po niej... po niej nadeszła Nowa Era.

Od autora:

W tekście wykorzystałem fragmenty „Księgi Rodzaju” i „Apokalipsy świętego Jana” w tłumaczeniu z Biblii Tysiąclecia oraz tekstu piosenki „Echoes” zespołu Pink Floyd we własnym tłumaczeniu.

REJS COLUMBUSA

Sylwia Bylicka

Columbus nadal znajdował się w przestrzeni kosmicznej, na kursie 0.5.0 EARTH. Doktor Natalie Scott w stanie lekkiego przyćmienia świadomości rozglądała się po swojej kabinie. *Co się stało? Dlaczego jest tak cicho? Nic nie pamiętam.* Jej oczy były wyraźnie przekrwione, a na czole lśniły kropelki potu. Ubrana tylko w biały podkoszulek, poplamiony czymś już teraz zaschniętym, i ciężkie spodnie, podniosła się z wąskiej leżanki, która podczas misji służyła jej jako łóżko.

Czuła się bardzo osłabiona. Drżącymi rękoma otworzyła drzwi i z oświetlonego mocnymi lampami korytarza dobiegła ją tylko cisza. Taki stan rzeczy nie był normalny, na Columbusie zawsze panował rumor i tłok, a teraz nie było nikogo. Po przejściu paru kroków jej bose stopy weszły w coś lepkiego. Na podłodze, wzdłuż całego przejścia aż do zakrętu prowadzącego do sektora C, rozciągała się smuga czerwieni. W chwili, w której zamroczony mózg Natalie rozpoznał zarejestrowany obraz jako krew, przeszedł ją dreszcz strachu. W jej głowie plątała się teraz nieprzyjemna myśl, że za chwilę odkryje coś przerażającego. Skręciwszy za ścianę oddzielającą sektor mieszkalny od sektora Centralnego zatrzymała się odruchowo. *Phil?* Ciało naukowca, z którym od dwóch lat pracowała nad projektem „Sybirijs-Delta”, leżało w kałuży krwi, z licznymi śladami przemocy. Natalie zrobiło się niedobrze, zakryła dłonią usta. Delikatnie pogładziła drżącymi palcami niegdyś złote, a teraz pozlepiane czerwoną ciecżą włosy mężczyzny. *Skoro Phil nie żyje, to co z innymi?*

Nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Gdzieś w pobliżu usłyszała ogłuszający dźwięk. Było to coś jak wycie pomieszanego ze skrzeczeniem. Dźwięk był jak ostry nóż wbijający się w czaszkę. Przycisnęła dłonie do uszu tak mocno, jak tylko potrafiła, ale nadal słyszała to głośno i wyraźnie. Choć nogi drżały jej teraz jeszcze mocniej, zmusiła się do ucieczki. Co jakiś czas wpadając na ścianę, przebiegła górny poziom sektora i z wielkim wysiłkiem pchnęła drzwi z napisem „Centrum Dowodzenia”. Po zamknięciu ich przy pomocy specjalnego kodu, oparła o nie głowę i pozwoliła emocjom znaleźć ujście z ciała.

Cała drżała, płacz jeszcze to potęgował. Tutaj też było cicho. Doctor Scott z sercem podchodzącym do gardła podeszła do balustrady i spojrzała w dół. Tym razem nie mogła już zapanować nad swoim żołądkiem. Upadła na kolana i zwymiotowała. Pięciu członków załogi głównodowodzącej było równie zmasakrowanych jak Phil, którego znalazła kilka minut temu na korytarzu. Ciała noszące ślady wielkiego okrucieństwa, podłoga wręcz tonęła we krwi. Przy jednym z paneli sterujących leżał kapitan, w prawej dłoni nadal trzymał Holdera 200, z palcem wskazującym zaciśniętym na spuście. Chcieli się bronić, ale nie zdołali. Natalie, bliska paniki, sprawdziła, czy aby na pewno dobrze zamknęła drzwi.

Nie mogła wykonać żadnego ruchu, przez dwie godziny po prostu siedziała jak sparaliżowana, oparta o ścianę. Nie chciała, nie mogła patrzeć na przedziurawione ciała techników, informatyków i innych członków załogi. Najbardziej na świecie chciała się teraz obudzić i z ulgą stwierdzić, że wszystko to było tylko złym snem.

Kiedy tak siedziała w przekonaniu, że za chwilę ponownie usłyszy ten przerażający ryk, myślała o ostatnim roku studiów, o tym jak zgłosiła się do programu. Jej ojciec był z niej wtedy taki dumny. „Moja córka będzie badać kosmos”, chwalił się wszystkim. W tamtym czasie Natalie pomyślała, że chyba pierwszy raz naprawdę go uszczęśliwiła. Nigdy by się nie spodziewała, że tak to się skończy, bo dla niej to już był koniec. Prawdopodobnie wszyscy nie żyją, a ona nie ma dokąd uciec, nawet nie wie, przed czym miałaby uciekać.

Nagle przez zasłonę strachu i poczucia beznadziei, w jej głowie przebiła się jedna racjonalna myśl. *Kamery*. Statek jest monitorowany w każdym sektorze z wyjątkiem prywatnych kabin załogi i badaczy. *To coś nadal krąży po statku*. Z poglądem na całą powierzchnię Columbusa, będzie chociaż wiedziała, z czym ma do czynienia.

Po paru głębokich oddechach, kilku próbach zapanowania nad drętwieniem nóg i ignorowania narastającego bólu w jamie brzusznej, Natalie zeszła po schodach i skierowała się do pierwszego panelu po lewej. Oznaczenia, przyciski, przełączniki, więcej oznaczeń. Była biologiem, nie informatykiem. Rozejrzała się dookoła. Panel główny był wyposażony w mikrofony, co mogło znacznie ułatwić jej znalezienie nagrań. Podeszła do niego, diody przy odbiornikach świeciły się, co oznaczało, że były włączone. *Pokaż podgląd z kamer*. Ku jej lekkiemu zaskoczeniu urządzenie przyjęło komendę i na wielkim ekranie na wprost niej pojawiło się trzydzieści kadrów z monitoringu. Przeskakiwała wzrokiem z jednej na drugą, czekając, aż coś przejdzie jednym z korytarzy lub pomieszczeń. Nic się nie działo. Widać było tylko ciała innych załogantów w różnych częściach statku.

Jak mogła przespać całą rzeź? Ostatnie, co pamięta, to zejście poznawcze na Delta-24, planetę w układzie Sybirius, a potem obudziła się w swojej kabinie wykończona i brudna.

Może jej umysł wyparł to, co widziała, bo było to zbyt wielkim szokiem? Nasuwało się jeszcze jedno pytanie – dlaczego akurat ona przeżyła? Nic nie trzymało się kupy.

Przeraźliwy dźwięk ponownie rozszedł się po statku. Natalie skuliła się przerażona i automatycznie spojrzała w kierunku wejścia. Zamknięte.

Z przyspieszonym oddechem zwróciła twarz do ekranu przed nią. Za chwilę miała zobaczyć, co się stało, co zgotowało jej współpracownikom taki koniec. Elektroniczny kalendarz wbudowany w ścianę wskazywał datę: 24 października 2083, co znaczyłoby, że ostatnie dwa dni są w jej pamięci jak niezapisana kartka. Uświadomiła sobie, że ostatnią rzeczą, jaką na pewno pamięta jest wejście do przesmyku Korian. Potem była już tylko jej kabina, dezorientacja i mrowienie w brzuchu.

Pokaż dwudziesty czwarty października. System główny wychwycił polecenie i na ekranie pojawiło się nagranie zaczynające się od północy żadanego dnia. *Pokaż w przyspieszonym tempie.* Ludzie w poszczególnych ujęciach poruszali się komicznie szybko. Natalie mogłaby uznać to za zabawne, gdyby nie obecna sytuacja.

W kilkadziesiąt sekund taśma przewinęła się aż do momentu opuszczania pokładu przez zespół badawczy. Była to godzina 7:56. Doktor Scott, mimo wciąż ociążających myśli i lekkich zawrotów głowy, szybko przekalkulowała, ile czasu zajęło im dotarcie do przesmyku. Jechali „Skarabeuszem” około dwóch godzin, a planowany czas pobytu w samym punkcie docelowym miał wynosić od pięciu do sześciu godzin. *Pokaż od godziny osiemnastej.* O tej porze na pewno byli już z powrotem na pokładzie.

Na nagraniach nie było widać nic szczególnego, ludzie chodzili korytarzami, w centrum załoga wykonywała te same czynności co zwykle. Kiedy coś się wydarzy? Kiedy dowie się, co zmieniło misję badawczą w ten horror? Sekundy na nagraniu odpowiadały minutom. Natalie oglądała wszystko w przyspieszonym tempie. Wtedy na jednym z pól zobaczyła siebie. Po kolejnym rozkazie komputer zaczął odtwarzać taśmę w normalnym tempie. Dziewczyna szła korytarzem sektora dla załogi, ubrana tak jak teraz, mając na sobie jeszcze biały, prosty fartuch. Jedne z drzwi po prawej otworzyły się i wyszedł z nich Phil. Chociaż nigdy by się nie przyznała, lubiła patrzeć na niego, kiedy nad czymś myślał, wydawał jej się wtedy taki dostoyny. Nie była w nim zakochana, z pewnością nie. Darzyła go bardzo głęboką przyjaźnią.

Zauważył ją i przystanął. Mówił coś i uśmiechał się do niej. W tym momencie obiecała sobie, że znajdzie to, co dokonało tej rzezi i wypatroszy. Nikt z nich nie zasłużył na śmierć, a już na pewno nie na taką.

Nagle zauważyła, że na nagraniu trzyma coś w prawej ręce, ukrywając to pod fartuchem. Stała pod takim kątem, że kamera nie mogła tego zarejestrować. Miała taki surowy wyraz twarzy, zupełnie pusty.

Phil nadal mówił, a wtedy ona jednym szybkim ruchem przyłożyła to, co trzymała w ręce do jego brzucha. Jej ramię lekko odskoczyło do tyłu trzy razy, po czym naukowiec upadł na podłogę.

Natalie zakryła usta drżącymi dłońmi. To nie może być prawda. Kazała urządzeniu przewinąć taśmę jeszcze parę razy, po czym osunęła się na kolana. Twarz miała teraz nie tylko brudną, ale i mokrą od łez. *Zabiłam Phila, zabiłam Phila*. Powtarzając to jak zacięta płyta, kołysała się w przód i w tył. Palce wplątywały się coraz mocniej w jej brązowe włosy. *Nie... ja... to nie prawda... Phil*. Przez gąszcz jej poplątanych myśli przedarła się jedna, wyjątkowo silna. Była jak dreszcz przechodzący całe ciało w chwili, kiedy coś nas nagle przestraszy. Popatrzyła na zwłoki wokół niej. Większość miała podobne rany do ran Phila.

Zabiłam ich wszystkich.

Nadal klęcząc, spojrzała na ekran, urządzenie wciąż odtwarzało zapis z kamer. Klatka po klatce oglądała, jak wchodzi do kolejnych pomieszczeń i strzela do ludzi, z którymi współpracowała. Kiedy na jednym z ujęć zobaczyła siebie wchodzącą do pomieszczenia, w którym teraz się znajdowała, zaczęła krzyczeć. Jej ostatni krzyk pokrył się ze słyszonym wcześniej kilkakrotnie rykiem. Serce załomotało jej w piersi, a potem pokój zrobił się zupełnie ciemny. Straciła przytomność. Ostre światło raziło zmęczone oczy. Czy to Słońce? Nie, raczej świetlówki. Świetlówki w pomieszczeniu kuchennym Columbusa. Natalie siedział na zimnej podłodze, oparta plecami o jedną z metalowych szafek i tak jak ostatnim razem nie pamiętała, w jaki sposób się tu znalazła. Wokół niej porozrzucone były puszkę, większość opróżniona, torebki z jedzeniem i szczątki kucharza. Na widok ostatniego ścisnęło ją w żołądku i zwymiotowała. W trakcie tego nagłego ataku torsji coś boleśnie przeszło przez jej gardło i z brzękiem upadło na posadzkę. Obrączka. Bardzo charakterystyczna, z geometrycznymi grawerunkami. Pamiętała jak na początku rejsu zapytała o nią pana Watsona – nieżyjącego już teraz kucharza.

W głowie dziewczyny fakty zaczęły się ze sobą łączyć. Ciała na statku, ona na filmach, sytuacja sprzed chwili. Tylko dlaczego to wszystko?

Niezdarnie podniosła się na chwiejne nogi i wybiegła z pomieszczenia. Musiała siedzieć w jednej pozycji kilka godzin, ponieważ stawy kolanowe przy każdym kroku boleśnie przypominały o swoim istnieniu. Zrezygnowana zatrzymała się pośrodku korytarza i upadła na kolana. Była pewna, że teraz rozumie już wszystko, była niczym marionetka

potwora. Nie pamiętała niczego z tego, co zrobiła, lecz dowody mówiły same za siebie. Tylko dlaczego ona? I jak to było możliwe, żeby coś kontrolowało jej umysł?

Nie miała już na to siły, nie chciała zrobić już ani jednej okropnej rzeczy. Poddawała się. *Chodź po mnie! Na co czekasz?!* Spodziewała się, że za chwilę to coś wypełźnie lub wyskoczy z jednego z pomieszczeń, albo po prostu w pewnym momencie poczuje na karku jego oddech. Nic takiego się nie stało. Przez te kilka minut, kiedy płakała, mając schowaną w dłoniach twarz, żywiła nadzieję, że zniknie, czuła się taka oderwana od wszystkiego, co ją otaczało. Odnosiła wrażenie, że nie ma ścian, nie ma chłodnej podłogi, wentylatora szumiącego cicho nad jej głową. Porównała to uczucie do zawieszenia w próżni, a potem coś w końcu usłyszała. W swojej głowie. To nie były słowa, to były dźwięki, tak nienaturalne, lecz rozumiała znaczenie każdego z nich. Do dźwięków dołączyły obrazy, miała wrażenie, że w jej głowie przewija się jakiś film złożony z rzeczy, których nie pamiętała. Zdarzenia przesuwały się od momentu obudzenia w kuchni, przez strzały na korytarzach, aż do momentu wejścia w przesmyk Korian. Nie uczestniczyła w tych wydarzeniach, zdawało jej się, jakby patrzyła na to czyimiś oczami. Zobaczyła siebie z mirametrem w dłoniach, urządzeniem służącym do prowizorycznego badania struktury skał i minerałów, dającą grupie polecenie rozdzielenia się i nie odchodzenia dalej niż dwadzieścia pięć metrów, a potem idącą za jedną ze skał. Następne kilka sekund pokazywało, jak Natalie jest atakowana przez jakąś istotę. Kombinezon po wewnętrznej stronie lewego uda został rozdarty i coś wślizgnęło się do środka. Tlen zaczął wydobywać się na zewnątrz. W atmosferze Delta-24 istniał ten pierwiastek, lecz było go za mało, aby swobodnie oddychać. Doktor Scott nie zdążyła zacząć się dusić, ponieważ coś siłą wpłynęło w jej usta i kilka krótkich chwil potem mogła spokojnie zaczerpnąć powietrza, mimo nieszczelnego skafandra. Obrazy zniknęły, zostały tylko dźwięki.

Doktor Scott właśnie teraz zdała sobie sprawę, że ten nieznośny dźwięk, to połączenie ryku ze skrzeczeniem, nie pochodził przedtem ze statku. Nie dochodził do niej odbity od ścian, ani nie nikał, rozpraszając się w labiryncie korytarzy. Ten okropny, przyszywający skronie dźwięk, którego nie dało się nawet minimalnie zagłuszyć, przyciskając dłonie do uszu, od początku był słyszalny tylko w jej głowie. Połączone jaźnie, pomyślała. To coś było w niej, w jej ciele i kontrolowało ją.

W lawinie dźwięków, słyszalnych teraz w jej umyśle bez przerwy, wychwyciła coś na kształt intencji, zamiarów. Teraz już wiedziała, że miała go karmić tak długo, jak się dało, ale i tak nie dożyłaby do końca lotu. Byłaby jak drzewo trawione stopniowo od środka przez pasożyta, aż stanie się bezużyteczne. Pomyślała, że przez całe swoje życie nie była może

najodważniejszą osobą, ale tym razem musi zrobić coś niesamowicie odważnego. Ten jeden ostatni raz.

On wiedział, co planowała zrobić. Nie miała dużo czasu, była osłabiona i na skraju szaleństwa. Może właśnie paradoksalnie to drugie pozwoliło jej odzyskać na jakiś czas kontrolę. Mogło to być najwyżej kilka minut, zanim ponownie ktoś inny przejmie stery we współdzielonym mózgu, szczególnie wiedząc o jej zamiarach. Najszybciej jak potrafiła zeszła na poziom zero-jeden, do pomieszczeń robotniczych. Na Columbusie, jak na każdym innym statku zbudowanym po 2077 roku, musiał znajdować się piec do utylizacji skafandrów poprzez promieniowanie. Pracownicy obsługujący to urządzenie musieli przestrzegać ściśle określonych przepisów bezpieczeństwa. Cząsteczki promieniowania PPT generowane wewnątrz rozbiły każdą żywą komórkę, która znalazła się w piecu. O to właśnie jej chodziło.

Kolejno podnosiła dźwignie uruchamiające produkcję PPT, poziom mocy ustawiła na możliwie największą wartość i nastawiła czas samowłączenia na za dziesięć sekund. Ciężkie hartowane drzwi komory otworzyła na tyle, żeby mogła się przez nie wcisnąć do środka, szybciej się zamkną.

Nie chciała tak umierać, ale nie widziała innego wyjścia. Obce myśli w postaci dźwięków krążące w jej głowie tak wyraziście nakreślały zamiary ich właściciela.

Kiedy wyruszyli w ten rejs, myślała, że może podczas wyprawy odkryje coś, co będzie mogła dać ludzkości. Zamiast tego musiała ocalić Ziemię przed tym, co niosła; co zagnieździło się w niej.

Po głębokim oddechu drżącą dłonią nacisnęła guzik zapłonu. Wślizgnęła się do środka, odliczając w myślach. Dziesięć. Dziewięć... Szkolna ławka z wyrytym w ogólniaku serduszkami. Osiem. Zamknęły się drzwi. Siedem. Dom, studia, rodzina. Sześć. Nie pozwolę ci wejść na moją planetę sukinsynie, trzeba było wybrać inną mamusię. Pięć. Czuli, jak potwór chce się z niej wydostać. Żyły na jej skroniach nabrzmiły z bólu. Jeszcze tylko pięć sekund, tylko tyle musi go utrzymać. Cztery. Zaraz będzie po wszystkim. Trzy. Kazałeś mi ich zabić. Dwa. Teraz ja zabiję ciebie. Jeden. Zamknęła oczy. Fala jasnopomarańczowego światła wylała się zza grubej szyby na pomieszczenie.

Ziemia, sześć miesięcy później

Dzisiaj rano o godzinie 9:37, na polach uprawnych w Karolinie Południowej, rozbił się statek do badań przestrzeni kosmicznej „Columbus”.

Rzeczony statek wyruszył w swoją pierwszą podróż dwudziestego szóstego maja ubiegłego roku. Miał dotrzeć do planety Delta-24, w układzie Sybirius, w celach poznawczo-badawczych. Na razie nie mamy żadnych informacji odnośnie tego, co się wydarzyło i jak przebiegała misja danej jednostki. Władze zapowiedziały, że do końca tygodnia wydadzą oficjalne oświadczenie w tej sprawie. Obecnie możemy jedynie spekulować, co doprowadziło do tej tragedii. Jedno jest pewne – nikt z załogi nie przeżył.

Za moimi plecami mogą państwo zobaczyć zespół techników próbujących wydobyć z wraku zapisy informacji, mogące pomóc ustalić jakiekolwiek konkrety.

Lot Columbus był jednym z najdroższych i najbardziej obiecujących lotów międzygalaktycznych. Statek był świetnie wyposażony, a załogę tworzyli najlepsi specjaliści w swoich dziedzinach. Przedstawimy teraz państwu listę ofiar feralnego lotu: kapitan Jonathan Quinn, pierwszy oficer John Solsky, dr Philipe King, dr Natalie Scott, dr Mark Stone, Katherine Coreen Moore, Malcolm Stanley...

W całym tym zamieszaniu wywołanym przez ekipy stacji telewizyjnych, zespoły techniczne, strażaków i wojsko, nikt nie zauważył obłego kształtu wypełzającego spod zgliszczy statku.



smokopolitan

CZASOPISMO OD FANÓW DLA FANÓW

www.smokopolitan.pl



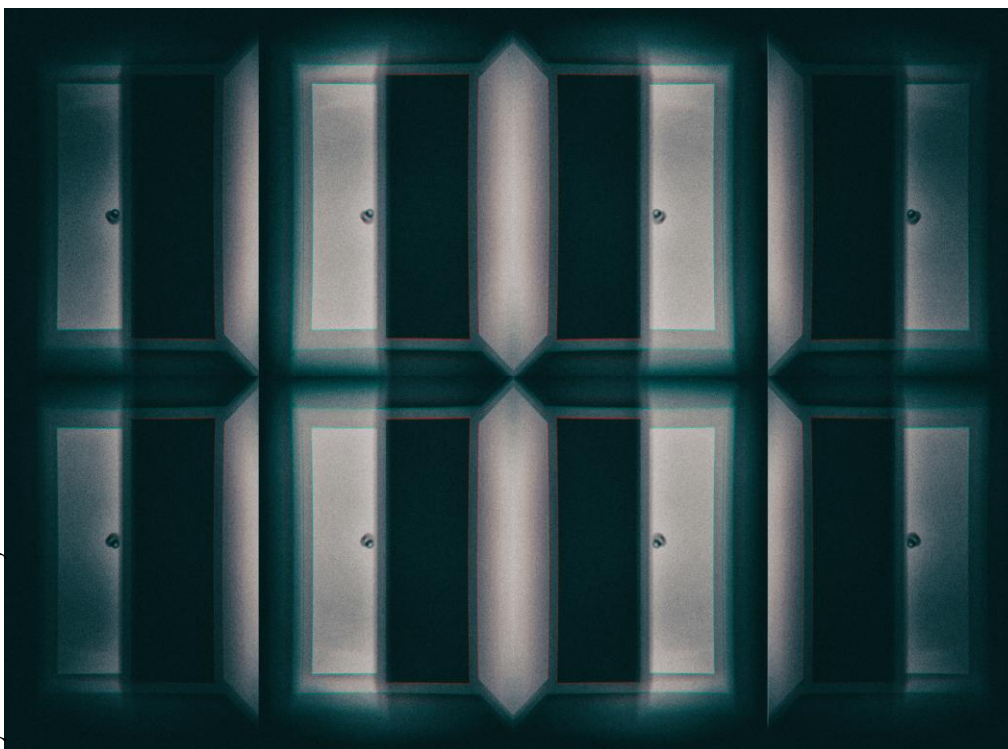


SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**



W IMIĘ OJCA

Damian Cieślik

– Nie jesteś dobrym tatą – wyszeptał mu do ucha.

Ostre światło lampy drażniło zmęczone oczy. Pod powiekami czuł maleńkie ziarenka piasku, które zdawały się kaleczyć zakończenia nerwów. Pojedyncze łzy powoli spłynęły po policzkach. Obraz, do tej pory lekko zamglony i rozedrgany, zaczął się wyostrzać i stabilizować. Otoczenie stawało się wyraźne i pełne barw.

– Michaś, co się dzieje?– Dźwięk, który wydarł się z jego gardła, wydał mu się tak obcy, że przez chwilę był skłonny uwierzyć, iż oprócz nich w pokoju jest ktoś jeszcze. Suchy i drżący głos sprawił, że po plecach przeszedł mu zimny dreszcz.

Dziecięca rączka zabrała lampkę sprzed jego twarzy. Światło padało teraz zza pleców, pozwalając przyjrzeć się miejscu, w którym się znajdował.

Małe dziecięce łóżeczko stojące pod ścianą. W tej chwili puste, z niedbale rozgrzebaną pościelą na wierzchu. Wielka staroświecka szafa, półka z książeczkami i kasetami wideo oraz

ogromny kufer stojący pod oknem naprzeciwko niego, po brzegi wypełniony zabawkami. Dziesiątki błękitnych pluszowych misiów uśmiechało się do niego zawadiacko ze ścian obklejonych tapetą.

– Obiecałeś, że się pobawimy. – Chłopiec wyszedł zza jego pleców. Na ustach wymalowany miał ogromny i niezwykle radosny uśmiech. Rozczochrana gęstwina czarnych włosów opadała na czoło. Ubrany w białą piżamkę ozdobioną uszatymi, różowymi słoniami, patrzył na ojca wyraźnie podekscytowany.

– Michał... jest środek nocy. – Spojrzał na fluorescencyjne wskazówki zegarka stojącego na szafce, pokazujące godzinę za dziesięć trzecią. – Chyba przysnąłem, czytając ci bajkę.

Uśmiechnął się, bo rzeczywiście ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, były okruszki rozsypywane przez Jasia i Małgosię oraz niewyraźny obraz syna pocierającego drobnymi piąstkami oczy.

– No, ale pora spać. Mama chyba... – przerwał, próbując podnieść się z krzesła.

Dopiero teraz zorientował się, że nadgarstki jego dłoni były czymś oplecione. Z trudem zgiął zdrętwiałe palce, zaciskając je na plastikowych walcach. Próbował szarpnąć rękoma, każdą w inną stronę, jednak skakanka którą był związany, nie dawała jakiegokolwiek szansy na to, że mu się uda. Chciał poderwać nogi do góry, lecz te ani drgnęły, jakby czymś przyklejone. Zauważył, że nie ma skarpetek i ciapów, w których siedział tu jakiś czas temu, a dywan wokół bosych stóp wysmarowany jest jakąś brunatną mazią.

– Michaś... Co się dzieje?

Chłopiec próbował powstrzymać śmiech, lecz jego wysiłki spełzły na niczym i już po chwili chichotał jak szalony. Upadł na łóżko i jak opętany zaczął się po nim turlać i tarzać, nie przestając się śmiać. Mężczyzna nawoływał go kilka razy, żeby się uciszył, żeby natychmiast go rozwiązał, ale dzieciak nie reagował na słowa ojca.

– Michał! Do jasnej cholery! – wrzasnął.

Chłopak z trudem powstrzymał śmiech. Podkulił nogi i usiadł po turecku na łóżku. Jego malutka pierś to opadała, to znów się wznosiła, pochłaniając łapczywie powietrze. Przyglądał się ojcu, jak gdyby ten był jakimś ciekawym okazem żuka, którego widzi pierwszy raz w życiu.

– Możesz mi wyjaśnić, co tu się dzieje? Natychmiast mnie rozwiąż! I gdzie jest mama... – Odruchowo spojrzał w stronę drzwi prowadzących na korytarz, lecz te były zamknięte. – Pola! Pola!

– Mama nie przyjdzie.

Mężczyzna, nie rozumiejąc, spojrzał tępym wzrokiem na syna. To krótkie zdanie sprawiło, że jego ciało ponownie przeszył zimny dreszcz. Coś jej się stało – przemknęła myśl. Niczym niechciany gość wdarła się do umysłu i najwyraźniej zapragnęła zostać na dłużej. Obijając się bezmyślnie o ściany świadomości, wydawała się rosnąć i nabierać pewności, że jest w pełni realna.

Witaj ciemności, stara przyjaciółko.

Chciał zapytać, dlaczego nie przyjdzie, gdzie jest i czy coś jej się stało (nawet o tym nie myśl!), chciał zadać masę pytań, jednak język ugrzązł mu w gardle. Serce zabiło mocniej i szybciej, jakby chciało wyrwać się z ciała. Zimna strużka potu spłynęła wzdłuż karku, gdy ujrzał, co jego syn wyjął spod kołdry.

– Powiedziała, żebyśmy się dobrze bawili, i że daje nam wolną rękę. Przypadkiem nie wiesz, o co mogło jej chodzić? – Chłopiec uśmiechnął się, a włosy na karku mężczyzny stanęły dęba.

Poruszał palcami wskazującym i środkowym, jakby były nóżkami jakiegoś wyimaginowanego ludzika. W innej sytuacji „człowieczek” mógłby wydać mu się nawet zabawnym. Mógłby przypomnieć sobie stary film z Chaplinem, w którym to widelce poznały się z bułkami i wpadły na świetny pomysł odtąnczenia fokstrota na stole. Pewnie, czemu nie. Na filmach zawsze wygląda to zabawnie. Ale to nie był film.

Palec serdeczny sterczał, wygięty pod jakimś nienaturalnym kątem. Chłopiec prowadził rękę po skraju łóżka, to udając, że podskakuje, to znów zataczając nią koła jakiegoś groteskowego tańca. Krew spływająca z rozszarpanego, oderwanego od reszty kończyny nadgarstka, pozostawiała na białej pościeli czerwone ślady.

Do domu. Po okruszkach, Małgosiu, do domu!

Poczuł, jak jego żołądek wywraca się do góry nogami i podchodzi do gardła. Do ust napłynęła ślina o nieprzyjemnym, słonawym posmaku, którego nie można pomylić z żadnym innym, a chwilę później to, co było wczorajszą kolacją, znalazło się na jego kolanach. Smród częściowo przetrawionego jedzenia i soków żołądkowych rozniósł się po całym pokoju.

Chłopiec, widząc to, wstał i zaczął skakać po łóżku. Pokazując na ojca palcem, nie przestawał się śmiać i wyśpiewywać pod sufit „Tata rzyga, tata rzyga!”. Ciałem mężczyzny ponownie targnęły torsje. Michał podskakiwał, nie przestając wykrzykiwać słowa nowopowstałej piosenki.

Wymiociny spływały po jego brodzie, skapując niespiesznie w obrzydliwą breję, zalegającą na spodniach i koszuli. Podniósł głowę, by się upewnić.

To niemożliwe! Nie Michał, nie Pol...

Ręka uderzyła go w twarz. Rzucona w jego kierunku odbiła się z głuchym trzaskiem od policzka i wpadła w kałużę rzygowin. Przerazenie, jakiego nie zaznał nigdy w życiu, wykrzywiło mu oblicze. Krzyknął i szarpnął się do przodu, by zrzucić niechciany bagaż z kolan. Dłoń podrzucona na kilka centymetrów w górę opadła z powrotem i przewróciła się na bok. Palec serdeczny zdawał się wskazywać na jego twarz. Krwawe plamy zdążyły przyschnąć na złotej obrączce.

To nie Pola! nie moja Polunia!

Szarpnął ponownie, lecz i tym razem nic to nie dało. Dłoń leżała niemal w tej samej pozycji. Palec nadal wskazywał na jego twarz, a czerwień nadal mieszała się ze złotem, jakby szyderczo oznajmiając, że to nie sen...

Pamiętał, jak młoda pielęgniarka poprowadziła go tego dnia długim korytarzem. Biel ścian i zapach tamtego miejsca. Pamiętał, jakim był wtedy strzępkiem nerwów. Niepewność, która trawiła jego ciało i duszę. Smak wypalonych wówczas papierosów, który zdawał się towarzyszyć mu do dnia dzisiejszego.

Później szybę z rzędem kołysek za nią. Ich małe delikatne zawartości były tak rozkosznie niewinne, tak słodkie, że pierwszym nasuwającym się uczuciem po ich ujrzeniu, była chęć wzięcia wszystkich na ręce, przytulenia i pocucia ciepła emanującego z drobnych postaci.

Resztę pamiętał jak przez mgłę. Rękę kobiety wskazującą na jedną z rumianych twarzyczek, jej głos, jakby dobiegający z daleka, przytłumiony i lekko spowolniony, oznajmujący, że oto on, Jacek Wolski, ma syna!

Poczuł się jak pocisk wycelowany prosto w Boga. Pocisk, którego nic i nikt już nie zatrzyma. Który z wygrawerowanym złotymi literkami napisem jest gotów zrobić wszystko. Przenosić morza, zatapiać góry, gasić słońca! Wszystko z napisem, którego mogło się wydawać do tej pory nie znał. Głoszącym jedno krótkie słowo. *Duma...*

– Pytasz się, dlaczego? W sumie to sam nie wiem, tatku.

Chłopiec przeszedł na drugi koniec pokoju i zaczął grzebać w wielkim kufrze z zabawkami. Ojciec patrzył na niego przez łzy, które wciąż i wciąż napływały do jego oczu.

Nie chciał płakać, próbował wierzyć, że to tylko sen, że łała moment Pola wejdzie do pokoju, że będzie siedział tam, gdzie siedzi teraz – przy łóżku Michała, ale wszystko będzie dobrze. Chłopiec będzie słodko spał, nie będzie potworem, który wyszedł z szafy w najciemniejszym zakamarku jego umysłu, jego żona będzie cała i zdrowa, a świat przestanie być sennym koszmarem. Wszystko będzie w porządku. Cholernym, doskonałym porządku.

Jednak nic nie było w porządku.

– Dlaczego... Dlaczego to robisz? Syneczku, błagam, przestań.

Michał zatrzymał swoje poszukiwania. Obrócił głowę w stronę ojca, a ten przez jedną krótką chwilę był przekonany, że to nie jego dziecko. Widział twarz syna, włosy i ciało. Widział go w całej okazałości, ale te oczy... To nie były oczy Michała. Przez jedną krótką chwilę, uderzenie galopującego serca, zobaczył w nich *coś*. Lodowatą pustkę, której widok powodował uczucie osamotnienia przepełniającego całą jego duszę. Próżnię zasysającą go od środka. Tak, jakby już nigdy miał nie zaznać szczęścia. Jakby wyrwano mu serce i na jego umierających oczach pożerano je jeszcze ciepłe, bijące i pełne energii.

Dzieciak się tylko uśmiechnął. Mgnienie oka i znów wszystko było na swoim miejscu. Ciemność zniknęła, wpłynęła na powrót do swojej kryjówki. Uleciała z oczu syna, a jej miejsce zajął zwykły dziecięcy radosny blask.

A może nigdy jej tam nie było? Może to tylko zmęczone oczy płatały mu figle.

Michał na pewno zrobił coś strasznego swojej matce. Może tylko okaleczył. Zaskoczył, kiedy spała, oderznął rękę i zostawił w spokoju, by móc pobawić się z tatusem.

By mogła wykrwawić się na śmierć.

W takim razie, dlaczego nie usłyszał krzyku? Dlaczego wrzask cierpienia nie obudził go i nie pozwolił zapobiec temu wszystkiemu?

Może najpierw ich uśpił? Dosypał czegoś do kolacji? Czegoś, co spowodowało, że sen zmorzył ich w krótkim czasie, kiedy czytał mu bajkę. Najpierw zajął się nim. Unieruchomił, pozbawił najmniejszej szansy na ucieczkę, szansy na zepsucie wielkiego planu i poszedł do matki. Ją także związał, zakneblował, by nie mogła krzyczeć, a później z tępym uśmiechem na ustach zaczął kroić wciąż żywe ciało. Odciał jej rękę, żeby go złamać. Pokazać do czego jest zdolny i co zrobi później.

Ale skąd wziął środki nasenne? To wszystko nie miało sensu.

Myśl, że jego ukochany synek, oczko w głowie, zrobi krzywdę swojej matce, a później będzie się nad nim znęcał, kilka godzin temu też wydawała się niesamowicie abstrakcyjna i pozbawiona sensu.

Pola nie mogła krzyczeć. Martwi tego nie potrafią. Zarznął ją podczas snu, zbezczeszczył ciało matki, a później przyniósł ojcu rękę.

Próbował bronić się przed tą myślą, ale tak w rzeczywistości mogło być. Może jej martwe ciało wpatrywało się szklistymi oczami w drzwi pokoju? Nie miał pewności. Mógł się tylko modlić.

– Pamiętasz Anioła Stróża?

Jacek podniósł głowę i spojrzał otępiałym wzrokiem na syna. Niespodziewanie wyrwany z potoku myśli nie zrozumiał pytania.

– Słucham?

– Anioła Stróża. Wierszyk, którego mnie nauczyłeś. Ten, który mówiliśmy przed snem.

Pamiętał. Jakiś czas temu Michał miał problemy ze snem. Twierdził, że gdy rodzice wychodzili wieczorem z pokoju, działo się coś złego. Kiedy zgasło światło, a on zostawał sam w ciemnościach, podobno otwierały się drzwi szafy, w której coś siedziało. Chłopiec nie potrafił tego nazwać. Za każdym razem, gdy prosili, by opisał stworzenie, odpowiadał, że widział tylko oczy. Wielkie, płonące wśród czerni ślepie.

Potwór, czy co to tam było, nigdy nie wychodził z szafy, nigdy nie przemawiał do dziecka, czy też nie kusił obietnicami słodyczy i baloników, jak to w bajkach bywało. Po prostu siedział w mroku i wpatrywał się w chłopca.

Wiele razy próbowali przekonać go, że szafa jest pusta, a stworzenie, które opisuje, to nic więcej jak wytwór jego wyobraźni. Otwierali drzwi szafy na oścież, wyjmowali z niej wszystkie ubrania, stertę prześcieradeł (zwykle leżącą w jednym z kątów mebla) i stary parasol oparty o tylną ściankę. Pokazywali, że nic oprócz tych przedmiotów w niej nie ma i nigdy nie było. Dzieciak jednak wciąż upierał się przy swoim.

Z czasem stało się to coraz bardziej uporczywe, zarówno dla dziecka, jak i obojga rodziców. Michał w środku nocy budził się z krzykiem, miewał mokre sny, a nawet zaczął panicznie bać się szafy. Za każdym razem, kiedy musiał koło niej przejść, w jego oczach pojawiał się strach.

Pola była równie przerażona jak jej syn. Przez chwilę nawet myślała, czy nie zwrócić się z ich problemem do psychologa. Była przekonana, że wydarzenia te mogą mieć znaczący i nieodwracalny w skutkach wpływ na psychikę dziecka. Ostatecznie Jacek wyperswadował jej ten pomysł, twierdząc, że spróbuje to najpierw załatwić po swojemu, a dopiero, jeśli mu się nie uda, zwróci się do kogoś po pomoc. Jego żona zgodziła się na to, wiedząc, że nie mają nic do stracenia. *A nuż się uda*, myślała.

I właśnie w tym miejscu pojawił się Anioł Stróż.

– Widzisz, nic tu nie ma – powiedział, rozsuwając ubrania. – Żadnych potworów, duchów czy zjaw. To był tylko zły sen.

– Ale ja go widziałem!

Michał znów obudził się w środku nocy, zanosząc się przeraźliwym płaczem. Krzyczał, że to coś przyszło po niego, że jest czarne i ma wielkie oczy. Na dowód swych słów pokazywał uchylone drzwi szafy. Fakt, Jacek był pewien, że kiedy kładł go spać, szafa była zamknięta na klucz, który nadal spoczywał w zamku, jednak to żadne wytłumaczenie. Dzieciak równie dobrze mógł sam ją otworzyć.

Wiedział, że nie warto dyskutować z synem. Już ponad tydzień próbowali mu wytłumaczyć, że potwory nie istnieją, a to, co zdaje mu się, że widzi, to tylko jego wyobraźnia albo światło księżyca rzucające refleksy przez okno. Jednak żadne tłumaczenia nie przekonywały chłopca.

Skryty za nogą ojca, trzymając się jej kurczowo, spoglądał ze strachem do wnętrza szafy, wypatrując niebezpieczeństwa.

– Koniec tego dobrego. Pora spać, panie kapitanie!

Wziął chłopca na ręce i ruszył w stronę łóżka. Grymas niezadowolenia pojawił się na twarzy dzieciaka. Syn próbował się opierać, ale silne ramiona ojca były przeszkodą nie do pokonania.

Poprawił poduszkę i kołdrę, po czym posadził go na materacu. Sam uklęknął obok i wziął drobne piąstki syna w swoje wielkie dłonie.

– Potworów nie ma. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale taka jest prawda. To tylko twoja zmęczona główka je tworzy. Może obejrzałeś jakąś bajkę, albo widziałeś zdjęcie w gazecie, które cię przestraszyło. Jasne, to zrozumiałe – mnie też się to często zdarza. To zupełnie normalne. Mogę ci jednak wyjawić tajemnicę, jak sobie z tym radzić.

W oczach chłopca pojawiła się isierka nadziei połączona z głębokim zainteresowaniem.

– Powiedz mi tatusiu! Przrzekam, że nikomu o tym nie powiem.

– Na pewno? Bo wiesz, to naprawdę wielka tajemnica. Umiesz dochować wielkiej tajemnicy?

Michał przytakiwał, równocześnie z ogromnym entuzjazmem szarpiąc ojca za koszulę.

– Słowo harcenzra! – oznajmił uroczyście podnosząc rączkę.

– Mówi się harcerza – poprawił go ojciec, tarmosząc już i tak mocno rozczochrane włosy. – Uklęknij obok mnie.

Chłopiec zastosował się do polecenia, z radością przyglądając się ojcu.

– Dawno temu, kiedy nie było jeszcze na świecie ani ciebie, ani mamusi, ani nawet dziadka, żyła sobie pewna osoba. Człowiek o imieniu Jezus. Był bardzo dobry dla ludzi, ponieważ był synem Boga. Leczył chorych, pomagał potrzebującym i nauczał tych, którzy pragnęli słuchać. Umarł za grzechy ludzi. Poświęcił się dla dobra ludzkości.

Chłopiec ogromnymi oczami wpatrywał się w ojca zafascynowany opowieścią.

– Bóg zesłał także na ziemię Anioły. Piękne i dumne istoty, które mają się nami opiekować. Każdy ma swojego Anioła Stróża. Pomagają nam, kiedy znajdziemy się w trudnej sytuacji, czasami przypominają o czymś, o czym zapomnieliśmy i mimo że sami ich nie widzimy, one widzą nas zawsze i starają się nam pokazywać prawdę.

Jacek przerwał, zwilżył językiem suche usta i kontynuował opowieść:

– Możesz przywołać swojego Anioła, by czuwał mocniej i opiekował się tobą ze wzmożoną siłą. Tajemnicą jest, jak to zrobić. A rozwiązanie jest bardzo proste. – W tym miejscu mężczyzna zachichotał. Patrząc na twarz syna, przejętą i śmiertelnie poważną, jego serce płakało z radości i dumy. Uspokoił się jednak, widząc, że w oczy dziecka zakrada się niepokój. – Banalnie proste. Jest wierszyk. Modlitwa do Anioła z prośbą o wstawiennictwo. Wiesz, co to jest wstawiennictwo? Dobrze. Więc chyba nie pozostaje nam nic innego, jak odmówić modlitwy do naszych Aniołów. Co ty na to? To przegoni potwora z szafy i nie pozwoli mu już nigdy do niej wrócić.

Mężczyzna złożył dłonie do modlitwy i to samo nakazał chłopcu. Ten, przyglądając się tacie, niezdarnie próbował go naśladować, jednak z pozoru prosta czynność sprawiała mu ogromne problemy. Jacek z uśmiechem pomógł dziecku. Jego słodka niezaradność sprawiała mu jakąś dziwną przyjemność. Klęcząc przy łóżku, ramię w ramię ze swoim jedynym synem, po raz drugi w życiu poczuł, że to największa radość, jaka mogła go kiedykolwiek spotkać.

– Pamiętasz?

Jacek nie widział twarzy dziecka. Chłopiec znowu przeszukiwał kufer. Przerzucał różne przedmioty z jednego kąta w drugi, niektóre wyrzucał poza kufer. Plastikowe samochody, elektryczna kolejka, którą dostał na gwiazdkę zeszłego roku, połamany latawiec, który kilka miesięcy temu puszczali wspólnie na jednym z niedzielnych wypadów za miasto.

– Pamiętam, bałeś się potwora z szafy. Wierszyk pomagał go odgonić.

– Tak, ja też pamiętam. A jeśli o potworach mowa...

Michał odwrócił twarz w stronę ojca, któremu na ten widok momentalnie zaschło w gardle. To *coś*, co zdawało mu się, że ujrzał wcześniej, teraz siedziało w oczach syna i wydawało się szyderczo szczerzyć zęby. Zwierzęcy głód wymieszany z czymś bezlitośnie złym, od narodzin skażonym, z pustą dziurą w miejscu serca. I co najgorsze – najwidoczniej nie zamierzało zniknąć.

– *Aniele Boży, Stróże mój...* – Chłopak ruszył w stronę Jacka. W jednej dłoni niósł pięciokilowy młotek, który wydawał się surrealistycznie nieprawdziwy w zestawieniu z drobną piąstką dziecka. W drugiej dzierżył pęk równie ogromnych gwoździ.

– *...Ty zawsze przy mnie stój. Rano, wieczór, we dnie, w nocy, bądź mi zawsze ku pomocy...*

Mężczyzna starał się walczyć z więzami, próbował oderwać nogi od podłogi. Nic jednak nie skutkowało. Linka skakanki wrzynała się w jego nadgarstki.

Michał uklęknął przed nim niczym kochanek mający zaraz wyznać miłość wybrance serca. Przyłożył dziesięciocentymetrowy gwóźdź do prawej stopy ojca i uniósł młotek nad głowę.

Jacek, szarpiąc się na wszystkie strony, błagał by tego nie robił, żeby przestał, że wszystko będzie dobrze, niech go tylko rozwiąże i wszystko będzie dobrze!

– *...broń od wszystkiego złego i zaprowadź mnie do żywota wiecznego!* – Ostatnie słowa zabrzmiały niczym grom, obijając się o ściany małego pokoiku. Uderzenie spadającego młotka rozdarło duszę mężczyzny. Niewyobrażalny ból rozszedł się po całym ciele. Piekło w jego stopie ruszyło ku górze, zdobywając kolejne bastiony jego organizmu, po drodze paląc i niszcząc wszystko na swojej drodze. Krzyk, który wydarł mu się z gardła, był jak wołanie o pomoc i ostateczne błaganie umierającego zwierzęcia.

Łzy popłynęły po policzkach, mieszając się z kroplami potu. Wszystkie siły zdawały się momentalnie go opuszczać. Nie był nawet w stanie podnieść głowy i spojrzeć na swojego pierwotnego. Ciężko posapując, wpatrywał się w zmasakrowaną dłoń żony, leżącą w kałuży rzygów na jego kolanach i błagał Boga, by to się już skończyło.

– Zabiję cię – wyszeptał załamującym się głosem.

Dziecko się tylko uśmiechnęło, po czym przyłożyło kolejny gwóźdź.

Dywan wokół krzesła przesiąkał krwią. Ciężki, metaliczny zapach zmieszany ze smrodem rzygowin roznosił się po całym pokoju. Ogromne krople potu spływały po wycieńczonym ciele mężczyzny. Metalowe pręty sterczały ze stóp i kolan, tworząc epicentra bólu. Każdy ruch był jak miliony szpilek wbijanych w żywe ciało. Każdy oddech powodował przeszywającą go falę ostrzy, rozchodzących się po wszystkich nerwach. Łzy przestały płynąć z jego oczu.

– Tatku, ty naprawdę nic nie pamiętasz?

Michał siedział na podłodze, opierając się plecami o kufer. Ostatnim gwoździem, jaki mu został, rysował okręgi na podłodze. Nie patrzył na niego i mężczyzna był mu za to wdzięczny. Nie chciał patrzeć w jego oczy. Na to coś wewnątrz nich.

– Co mam pamiętać? – wychrypiał.

Chłopiec uśmiechnął się. Znowu sprawiał wrażenie słodkiego dziecka pochłoniętego zabawą, nieświadomego że ktoś go obserwuje. Jacek chciał wyć. Miał wrażenie, że znalazł się po złej stronie lustra, gdzie wszystko się ze sobą miesza. Marzył, by krępujące go więzy cudownie zniknęły. Chciał dorwać tego małego skurwysyna w swoje ręce i pokazać, kto tu... Ale chciał go także przytulić. Przycisnąć do piersi i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Powiedzieć, że nic się nie stało, że rozwiążą ten problem i że wszystko będzie dobrze. Znowu chciało mu się płakać.

– Jejku, co noc to samo. Co noc zapominasz i co noc trzeba przypominać. Gapa jesteś, tata!

Michał podniósł się na kolana, obrócił do kufra i znowu zaczął go przeszukiwać. Mężczyzna miał wrażenie, że pojemnik nie ma dna. Chłopiec ponownie wyrzucał z niego resoraki, pluszaki, opakowania puzzli, kilka futbolówek i książek. Cały pokój zdawał się powoli tonąć w zabawkach w magiczny sposób wyciągniętych z kufra.

– Jest! – radośnie krzyknął dzieciak i wyszarpnął nad siebie lusterko.

Jacek był pewien, że należało do Poli. Miała je, odkąd pamiętał. Nie był to jakiś zabytek, czy coś. Kupiła je wieki temu, chyba jeszcze zanim zaczęli ze sobą chodzić. Nie raz dziwił się, że minęło tyle czasu i ono było ciągle całe. Nie raz żartował, że musiało być napakowane szczęściem i strach pomyśleć, co mogłoby się stać, gdyby pękło.

Chłopiec wstał z kolan, podszedł do ojca i podstawił mężczyźnie lustro pod twarz.

– Tutaj jest przypominajka, tato. Położę ci ją, ale uważaj, żeby nie popsuć. – Chłopiec zaczął wciskać rączkę lusterka w oderżniętą dłoń matki, która ciągle leżała na kolanach Jacka.

Mężczyzna chciał się wierzgnąć, ale przy każdym ruchu gwoździe przecinające jego nogi rozpalały nowe ogniska przerażającego bólu. Nagle zastygł bezruchu, kiedy zobaczył, że na tafli lustra coś się dzieje. W pierwszym momencie myślał, że to jego odbicie, ale od razu zrozumiał, że coś nie gra. Widział swoją twarz, ale miał wrażenie, że jest kilka lat młodsza. W dodatku wykrzykiwał ją gniew, a nie ból, który teraz odczuwał. Przerażony podniósł głowę i spojrzał na Michała. Ten tylko jeszcze szerzej się uśmiechnął, złożył prawą rękę, wyciągając kciuk do góry (wszystko jest dobrze!) i wskazał lewą na lusterko. Jacek ponownie opuścił głowę i spojrzał na rozgrywające się przed nim sceny.

Był dobrym gościem. W swoim mniemaniu nawet bardzo. Ciężko pracującym, uczciwie płacącym podatki obywatelem. Chodził co niedzielę do kościoła pod rękę z żoną, z którą żył jak Pan Bóg przykazał. Nie szkodził innym, nie żył na cudzy rachunek, nie niszczył nawet pieprzonego środowiska.

Dlaczego więc?

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego, kurwa?! Co ci takiego zrobiłem, że mi to robisz?

Kobieta zanosila się płaczem. Rozbity talerz leżał u jej stóp. Resztki jedzenia przykleiły się do sukienki. Chciała pozbierać i wyrzucić kawałki mięsa i ziemniaków wymieszane ze strzaskaną porcelaną, udając, że nic się przed chwilą nie stało, ale Jacek zaczął wtedy krzyczeć. Do oczu natychmiast napłynęły jej łzy i w żaden sposób nie była w stanie ich powstrzymać.

Mężczyzna wstał z fotela i ruszył w stronę barku. Przekręcił kluczyk i pozwolił drzwiczkom opaść z hukiem. Zawiasy zaskrzypiały przeraźliwie i przez chwilę wydawało się, że nie wytrzymają, zrzucając swój ciężar na stopy mężczyzny.

Jacek wyciągnął napoczętą butelkę i jednym haustem wypił większą część zawartości. Chciał przez chwilę nie myśleć. Zapomnieć, wyłączyć się. Zamknąć oczy i niech cały świat trafi szlag. Ostra ciecz paliła gardło, równocześnie przynosząc ukojenie.

Będą mieli dziecko.

Całkiem zabawne. W sumie świetna wiadomość. W innych okolicznościach pewnie porwałby Polę w ramiona i skakał z nią na rękach, krzycząc przy tym ze szczęścia. A później kochaliby się na starej, wypłowiałej kanapie i rozmawiali do świtu o tym, jak bardzo zmieni się teraz ich życie. I jak cudowne będą to zmiany.

Chciał dziecka. Jak chyba każdy normalny facet myślał o małym brzdącu, którego mógłby nauczyć wszystkiego o świecie, pokazać jak kopać piłkę, nauczyć pływać i jeździć na rowerze. Dla którego byłby opoką w trudnych chwilach i skarbnicą wiedzy na każdy z możliwych tematów. Ojcem, prawdziwym autorytetem.

Coś wspaniałego.

Coś wspaniałego, kiedy masz za co tego brzdąca ubrać, dać mu co jeść i za co kupić zabawki. Kiedy nie musisz mu tłumaczyć, że nie może mieć takiego samego piórnika jak inne dzieci, bo jego tatusia na to nie stać. Kiedy nie pyta, dlaczego jego ubrania straciły kolor i od dawna są na niego za małe.

Dosyć trudno temu sprostać, kiedy straciło się pracę. Miał właśnie powiedzieć Poli, że ten pieprzony-pożal-się-Boże kierownik oznajmił dzisiaj, że zakład przechodzi restrukturyzację, muszą oszczędzać, no i, sam rozumiesz.

„Nic do ciebie nie mam Jacek, ale wiesz jak jest. Ktoś polecieć musi. Padło na ciebie”.

Pewnie, rozumie. To naturalny sposób odwdzięczania się za cztery lata harówki, udawanie wdzięczności za marne ochłapy wpływające na konto każdego miesiąca, z co najmniej tygodniowym opóźnieniem i lizanie dupy każdemu będącemu chociaż szczebel wyżej od niego.

Miły dzień w pracy, po którym człowiek tylko marzy o dowiedzeniu się, że za kilka miesięcy będzie miał dziecko. Dziecko, które w perspektywie ma zapisane życie podobne do tego, jakie zaserwował mu jego własny ojciec. Brud, smród i ubóstwo. Ciągłe awantury o pieniądze, krzyki i... tępe odgłosy uderzeń.

I ta głupia cipa powtarzająca, że wszystko będzie dobrze, że na pewno się ułoży, że to dar od Boga i trzeba się cieszyć.

Idiotka nie mająca pojęcia o życiu. Siedząca na dupie krowa, znająca świat zewnętrzny tylko z telewizji.

Miał zapytać, co z pigułkami, które brała. Co z tymi małymi czerwonymi przyjaciółmi, mającymi zapobiec pojawieniu się chwilowo nieoczekiwanej niespodzianki. Dwudziestu ośmiu małych żołnierzy stojących na straży ich sypialni.

Zamiast tego cisnął w nią talerzem.

W jej oczach pojawił się wyraz zaskoczenia, a chwilę później bólu. Talerz z brzękiem upadł na podłogę i rozpadł się na dziesiątki kawałków. Gorący sos spływał w dół, parząc ciało.

Zanosiła się płaczem, przeprasząc go. Nie krzyczała, nie wrzeszczała z pretensjami. Rycząc, zaczęła zbierać jedzenie z podłogi. Z jej nosa ciekło. Wygląda okropnie żałośnie i to wyprowadziło go ostatecznie z równowagi.

Poderwał się z miejsca, jak rozjuszona zwierzę. Upuścił butelkę, która odturlała się pod stół, rozlewając zawartość po dywanie. Kobieta podniosła głowę w momencie, kiedy rozpędzona pięść mknęła w jej stronę. Uderzona przewróciła się i wyrznęła w metalową futrynę drzwi.

– Rozwiążemy ten problem. Tu i teraz – wysyczał przez zaciśnięte zęby.

Mężczyzna złapał kobietę za rękę i poderwał do góry. Oboje usłyszeli trzask wyrywanego barku do wtóru z wrzaskiem Poli. Pociągnął ją za sobą do łazienki nie zważając na jej krzyki. Targnął drzwiami, które z hukiem uderzyły o ścianę i podniósł kobietę z podłogi, jakby była workiem zgniłych ziemniaków. Cisnął ją do środka z obrzydzeniem. W jego głowie nie zachodziły żadne procesy. Tłukła się tylko jedna myśl. Świadomość, że muszą rozwiązać ten problem.

Kobieta nie przestawała krzyczeć, dlatego uderzył ją ponownie. Patrząc na zmiażdżony nos, powiedział, żeby się zamknęła, zanim zmusi go do zrobienia czegoś gorszego. Żeby upewnić się, że dotarło, przypierzył jej jeszcze raz.

– Zawsze byłaś egoistyczną suką. Mówiłem, że nie chcę mieć dzieci, ale ty zawsze wiesz lepiej.

Próbowała podnieść się z podłogi, ale zdrowa ręka pośliznęła się na śliskich od krwi płytkach. Szarpnął nią ponownie i powłókł w stronę sedesu. *Nie opuścił klapy*, przemknęło jej przez myśl i prawie się uśmiechnęła, uświadamiając sobie, jak idiotyczna jest to myśl w obecnej sytuacji.

Sadzając ją na kiblu, sięgnął ręką pod jej sukienkę i szarpnął za majtki zrywając je z ciała. Rzucił nimi za siebie, a ona pomyślała, że będzie musiała kupić nowe. Że te do niczego się już nie nadają. Kolejny idiotyzm.

– Rozwiążemy to, dobrze, kochanie? Dla dobra nas wszystkich.

Chciała zapytać, jak chce to rozwiązać, ale w tym samym momencie, kiedy otwierała zalane krwią usta, on pchnął ją do tyłu i uderzył w brzuch. Momentalnie zabrakło jej tchu. Chciała krzyczeć, ale nie mogła zaczerpnąć powietrza. Uderzył ponownie. I jeszcze raz. Próbowała poderwać nogi, chciała go kopnąć, ale naparł na nią ramieniem, rozwarł nogi

swoimi własnymi i zaczął okładać brzuch. Tłukł ją, nie odzywając się przy tym ani słowem. Zaciskał zęby, spoglądając pomiędzy jej nogi. Na widok rozlewającej się po jej udach krwi uśmiechnął się. Czekał na odgłos upadku do wody. Plusk. Ale nic takiego się nie stało.

To był dopiero drugi miesiąc.

Odrętwiały spoglądał na lustro. Zsiniałe palce jego żony zaciskały się na metalowej ręczce. Spojrzał na swoje odbicie i zapłakał.

– Tato, dlaczego to zrobiłeś? – Głos Michała się łamał. Mężczyzna spojrzał na zalanego łzami chłopca. – Dlaczego tatusiu?

Chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił. Siedział na krześle i wpatrywał się w twarz dziecka, które zabił. Nie potrafił otworzyć ust, wydobyć z siebie jakiegokolwiek dźwięku. Ciśnienie rozsadzało mu głowę. Mały szlochał coraz mocniej i łzy zdawały się teraz płynąć nieprzerwanym strumieniem. Ciągłe zadawał to samo pytanie. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Jedna z kaset video spadła z półki. Za nią kolejna i następna. Równocześnie wystrzeliły książki i przecięły pokój ze świstem. Kłapa od kufra opadła z głośnym traskiem. Plastikowe samochody zaczęły krążyć po pokoju, obijając się o meble. Wpadały na siebie, tworząc miniaturowe karambole. Prześcieradło na łóżku rozerwało się na pół, jakby ktoś niewidzialny szarpnął nim w dwie różne strony.

Miś na ścianie zaczerwienił się, jego uśmiechniętą buzię oblał szkarłatny rumieniec, który chwilę później zamienił się w żywy płomień. Niedźwiadki, nie przestając się uśmiechać, płonęły żywcem. Pożar ogarniał cały pokój.

Michał nachylił się nad ojcem i pocałował go w policzek. Mężczyzna poczuł, jak jego serce pęka. Usta chłopca, mokre od łez wypaliły po sobie ślad. Opuścił głowę i zamknął oczy.

Chłopiec odwrócił się od ojca i ruszył w stronę szafy. Otworzył jej drzwi i wszedł do środka. Spojrzał jeszcze raz na Jacka, ale nie powiedział słowa. Zamknął się od środka i pozwolił ukołysać ciemności.

Ogień był w całym pomieszczeniu. Pożoga rozlała się po ścianach i meblach. Trzaskające płomienie powoli obejmowały dywan. Mężczyzna nie krzyczał.

Spoglądał przez okno na wirujące w świetle latarni płatki. Fluorescencyjne wskazówki zegarka stojącego na szafce pokazywały godzinę za dziesięć trzecią. Pola spała, a jej cichy oddech był jedynym słyszalnym dźwiękiem w pokoju.

Obudził się, przerażony, tłumiąc swój własny krzyk. Znów o tej samej porze. Sen nawiedzał go od kilku nocy i powoli miał tego dość. Zwykle po wybudzeniu z koszmaru nie potrafił już zasnąć do rana. Siedział wtedy w ciemnościach i zastanawiał się, czego tak właściwie się boi. Nienawidził siebie, za to, że nie potrafi zostawić za sobą przeszłości. Irytowało go ciągle rozdrapywanie ran. Ojcowie, którzy ponoszą winy za grzechy synów i synowie cierpiący za grzechy ojców. Próbował wierzyć, że każdy niesie swój własny grzech.

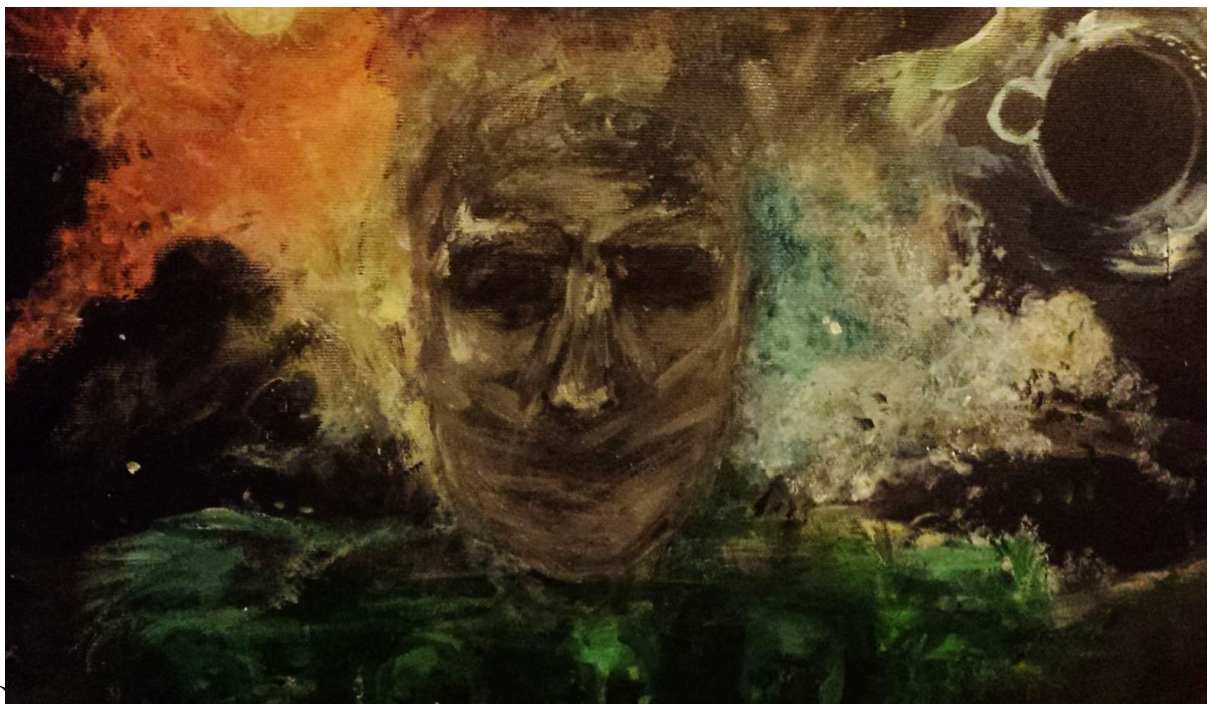
Z kołyski dobiegło ciche kwilenie. Mały zaczął się niespokojnie ruszać i chwilę później popłakiwać. Ciche dźwięki momentalnie przerodziły się w głośny płacz. Pola poderwała głowę, jakby była zaprogramowana. Nie otworzyła oczu, ale zaczęła się podnosić z łóżka.

– Śpij, kochanie – powiedział Jacek i ruszył w stronę dziecka. – Moja kolej.

Kobieta, słysząc głos męża, momentalnie opadła ponownie na materac. Michaś dawał im w kość od kilku dni i każda minuta snu była luksusem, o którym każde z nich marzyło.

Podniósł niemowlę na ręce i przytulił do piersi. Miał wrażenie, że chłopczyk waży tyle, co nic. Zaczął go delikatnie kołysać w ramionach. Szloch po chwili przycichł, zamienił się w delikatne pojękiwanie i po kilku chwilach mały ponownie spał. Mężczyzna uśmiechnął się w ciemności. Bał się cholernie wielu rzeczy związanych z Polą i Michałem. Bał się, że nie sprostą, że ich zawiedzie, że wpłynie na ich życie w zły sposób. Ale też wierzył, że da radę i tej myśli postanowił się trzymać.

– Będę dobrym tatą. Obiecuję.



Z BŁĘKITU W CZERŃ

Przemysław Pilarek

But I know if you sell your soul to brighten your role.

You might be disappointed in the lights (...)

Gene Clark „Some Misunderstanding”

Błędem jest myśleć, że kosmos milczy. W każdej sekundzie swojego istnienia ta pozornie pusta i wymarła przestrzeń przemawia głosem niewyobrażalnej liczby planet. W bezgłośnych eksplozjach nowe gwiazdy wyłaniają się z łóżysk swoich mgławic, inne z kolei, ciężkie i milczące, zapadają się – przejedzone własną masą – niby w poobiednią drzemkę, z której nigdy się nie zbudzą. Z trzaskiem pęka lud na Uranie. Świszczą nieskończone wichury na Jowiszu. Czerwono-złoty pulsar w centrum Mgławicy Kraba rozbrzmiewa niczym szaleńczo bijące serce. Czasami słyszeć w przestrzeni zrzędlawe jazgotanie kwazarów, jakby przekrzykujących siebie nawzajem. Z intymnym szelestem

odzywa się deszcz komet przecinający orbity odległych planet pozbawionych życia, ciepła i nazwy. Dalej, niż sięga najstarszy promień światła, rozlega się krzyk supernowej, a potem gaśnie. Dziwne i przerażające jest milczenie czarnej dziury wobec lamentu planet, które pożera.

Pośród tego wszystkiego nadajniki ich statku niemal przegapiły ów jeden, szczególny sygnał. Był zbyt krótki, zbyt lekki, prawie jak westchnienie podczas wichury. Rozległ się nagle, zanim uleciał w przestrzeń, rozplynął się i zniknął. Odezwał się ponownie w cztery miesiące później. Komputer pokładowy odnotował jego obecność, zestawiał z podobnym sygnałem przechowywanym w pamięci, a potem przekazał do rozpoznania nawigatorowi.

Nawigatorem był robot klasy Omega, pełniący rolę drugiego pilota pod nieobecność kapitana Haleya, to znaczy przez większą część lotu. Haley od trzech i pół roku przebywał w komorze kriogenicznej, otoczony zmrożonym biozelem, który przenikały lekkie ładunki elektryczne. Miało to zapobiec zanikowi mięśni. W razie potrzeby napięcie można było zwiększyć, aż do przerwania stazy.

Omega przyjrzał się wykresowi. Jego połyskliwą, nieruchomą twarz wykrzywił grymas imitujący emocje. Do tej pory wielokrotnie odbierali podobne sygnały, nakładające się fale wybuchów słonecznych albo pulsarów, to jednak było coś nowego. Wiedział, że Haley będzie mieć na ten temat własne zdanie. Powie, że to pulsar. Będzie jednak w błędzie. Przede wszystkim pulsary nie obracają się tak powoli, nie ma także siły, która powstrzymałaby ich gigantyczne wiązki promieniowania przed rozchodzeniem się w przestrzeni z takim opóźnieniem. Oba sygnały nie były zresztą identyczne, przypominały raczej dwie, podobne do siebie wiadomości. Tak więc było to coś innego. Musiał jednak poczekać na kolejny sygnał, aby zyskać pewność.

Następne miesiące spędził bez ruchu, siedząc w fotelu nawigatora, podczas gdy zimne światło gwiazd przesuwano się po otwartych soczewkach jego oczu. Pokonali w tym czasie przeszło dwieście tysięcy kilometrów, w perspektywie wszechświata odległość mniejszą od grubości włosa. Omega czuwał. Z plazmy krążącej we wnętrzu jego głowy wyłaniały się wspomnienia planety, na której przed laty go zbudowano; wspomnienie pierwszego spotkania z człowiekiem. Pamięć robotów nie jest selektywna, zapisuje wszystko. Omega doskonale pamiętał chwilę, kiedy ujrzał w lustrze swoją twarz i kiedy zauważył, że różni się ona w dziwny, trudny do uchwycenia sposób od twarzy jego twórców, ich dzieci i wszystkich pozostałych istot ludzkich.

Sygnał rozległ się znowu o czwartej siedemnaście czasu pokładowego. Tym razem wyraźniejszy niż wcześniej, przypominał przeciągłe wycie, niczym podmuch kosmicznego

wiatru. W Europie dochodziło właśnie południe, a w Stanach Zjednoczonych, skąd obaj pochodzili, dzwoniły zegarki przy łóżkach i ludzie budzili się, aby przywitać nowy dzień. Omega zestawiał ten sygnał z wcześniejszymi, porównał, a potem poszedł zbudzić swojego kapitana.

Oparty o ścianę prysznic Haley przez trzydzieści minut stał w strumieniach gorącej wody. Para unosiła się z jego skóry i kafelek, wypełniła kabinę mlecznym całunem. W tym całunie kapitan powoli dochodził do siebie. Po śniadaniu zwrócił się do Omegi z pytaniem o wykresy. Za pierwszym razem był zbyt roztrzęsiony, zbyt rozkojarzony nagłym wybudzeniem, aby mógł się na nich skupić. Wiedział tylko, że komputer wychwycił jakiś sygnał, i że powtarza się on już drugi raz na tej samej częstotliwości. Omega położył wykresy na stole, obok pustych talerzy. W tle płynęły piosenki Neila Younga, antycznego już niemal wokalisty, którego wszystkie płyty Haley zabrał ze sobą na pokład. Oprócz systemu nagłośnienia statek posiadał także mechanizm sztucznej grawitacji. Mieli tu nawet szklarnię i laboratorium do hodowli mięsa. Pierwsze loty załogowe na Marsa, śmiesznie krótkie i koszmarnie drogie, nie były wyposażone w takie udogodnienia – astronauty posilali się z foliowych worków, przypominających wojskowe racje żywnościowe, i załatwiali się do wielkich odkurzaczy.

– Sygnały są bardzo podobne – wyjaśnił robot. – Ale nie identyczne. Proszę spojrzeć. Pierwszy przypomina wariację na temat drugiego. Pojawiają się w pewnym zakresie, ale występują między nimi odchylenia.

– To znaczy, że nie są zaprogramowane.

– Tak myślę.

– To raczej nie pulsar – powiedział Haley. – Skąd nadszedł sygnał?

Omega wskazał część galaktyki oddaloną o sześć miesięcy lotu przy pełnej prędkości. Dotąd nie odnotowano pulsarów w tym rejonie. Gdyby to jednak rzeczywiście był jeden z nich, czyż nie usłyszeli go dużo, dużo wcześniej? Musieli się zbliżyć na bardzo niewielką odległość, znaleźć się na podwórku tej anomalii, aby wychwycić jej sygnał. To wszystko dawało pewną nadzieję. Warto spróbować, nie mogli się teraz wycofać. Nie w tym momencie. Ich misja sprowadzała się w istocie do tego, aby wychwytywać i badać źródła takich sygnałów. Zdarzały się chwile, kiedy pytał sam siebie, jaki to wszystko ma sens przy ogromie wszechświata, jaka jest szansa, że natrafią na ślad obcej świadomości? Żadna, oczywiście.

Wiedział to już, podpisując kontrakt na Ziemi. Ilekcio spoglądał w tę czarną, nieruchomą przestrzeń, najbardziej obawiał się, że nie ma w niej nic, żadnego życia, ani żadnej iskry prócz zimnego światła gwiazd. Przerażała go myśl, że wokół, aż po krańce rzeczywistości, istnieje jedynie pustka. Jakże kruche było jego życie, wobec tego bezmiaru. Tak marne i nic nieznaczące. Jakież to przykre, jeśli człowiek na zawsze skazany był na dryfowanie po wielkim, wymarłym oceanie.

Gdyby jednak udało mu się coś odnaleźć... Cokolwiek, co potwierdziłoby, że kosmos nie jest jedynie przykładem gigantycznego marnotrawstwa przestrzeni – wówczas zostałby bohaterem na Ziemi.

Omega odczytał zamiary z twarzy Haley'a, zanim ten wydał polecenie kierowania się na źródło sygnału. Potem poszedł przygotować mu kajutę. Nie zapowiadało się, aby kapitan planował wracać do stazy.

Planetę zobaczył po raz pierwszy z ogromnej odległości przez pryzmat powiększający. Wyglądała niczym czarne ziarenko, nie większe od drobiny piasku zawieszanej w nieskończonej próżni. Za nią kształtowały się kolorowe plamy mgławic, mieniające się czerwienią i fioletem, tak ogromne, że jego wyobraźnia dławiała się na samą myśl o ich rozmiarach.

Większość lotu spędzał teraz przy pryzmacie, obserwując jak planeta rośnie z każdym miesiącem. Z wielkim trudem odrywał się od tego widoku, aby udać się do kajuty na spoczynek. Coraz częściej zasypiał i budził się w fotelu, na wpół skostniały, aby raz jeszcze spojrzeć w okular. W odbiciu chromowanej obudowy pryzmatu dostrzegał swoją twarz – coraz bardziej wychudłą i zarośniętą.

Omega przynosił wciąż nowe wykresy, jednak sygnał nie powtórzył się do tej pory. Wreszcie Haley przestał w ogóle wstawać z fotela. Bał się, że jeśli przestanie ją obserwować, planeta zniknie, rozplynie się w pustce. A może to wszystko jest tylko mirażem, oszustwem tak zmyślnym, że nabrało nawet komputer pokładowy i czujniki statku?

Trafili na jej orbitę w sześć miesięcy później, kiedy kapitan prawie zespolił się ze swoim fotelem i resztą przyrządów pokładowych. Przez ten długi, nużący okres wydawało mu się, że statek tkwi zawieszony w bezruchu. Czarne dni przechodziły w czarne noce, bez świtów i zachodów słońca, bez wiatru, bez dźwięku. Wszystko miało jeden i ten sam kolor, rozświetlony nikłym blaskiem ekranów komputerowych. Sen nie przynosił ukojenia. To

właśnie wtedy, poruszając bezgłośnie ustami, Haley po raz pierwszy wypowiedział nazwę, którą nadał tej planecie, a potem powtarzał jak dobre życzenie: „Elpis, Elpis, Elpis”...

Teraz, kiedy się do niej zbliżyli, jej widok wypełnił oba przednie okna statku. Według pomiarów nie była większa od księżyca Ziemi. Na pewno bardziej tajemnicza. Jej powierzchnię skrywała warstwa gęstych granatowych chmur, niczym połączony dym z milionów elektrowni węglowych.

Przez kolejną dobę bombardowali Elpis sondami. Sygnały zwrotne były obiecujące: prawie zerowe promieniowanie, brak tlenu, lekka przewaga wodoru. Chmury ograniczały dostęp światła do powierzchni. Na pierwszy rzut oka Elpis przypominała te wszystkie wymarłe, karłowate planety, po których toczą się lodowe huragany, mogące rozbić w pył statek taki jak ten. A jednak sondy nie wychwyciły wichur. I nic ich nie zniszczyło w drodze tam ani z powrotem, kiedy wracały na pokład.

Haley usiadł za sterami i skierował maszynę w dół, ku powierzchni. Przednie, panoramiczne okna rozświetlił niespotykany blask – wpierw czerwony, żółty, potem biały. Spadali, można pomyśleć, w głąb ryczącego pieca hutniczego, między czerwono-złote huragany ognia. Dziób statku zaczął się delikatnie wyginać, a poszycie trzeszczeć i wibrować. Po raz pierwszy w umyśle Haley'a zaświtała obawa, że sięga wytrzymałości swojego małego, kosmicznego okrętu.

Prowadził statek, tak jak lekarz prowadzi igłę, wkłuwając się w ramię pacjenta. Celowo wszedł w atmosferę pod niewielkim kątem, obawiając się rozerwania poszycia o jej głębsze warstwy, jednak w ten sposób wystawiał osłony na straszliwe temperatury. Przez chwilę rozważał czy nie wylecieć z powrotem w kosmos, używając pola grawitacyjnego planety jak katapulty. Wtedy blask za oknami przygaśł. Wokół statku otworzyła się szeroka wypełniona szarością przestrzeń, raz po raz przecinana fioletowymi błyskawicami, które rozświetlały miękkie podbrzusza chmur. Poniżej Haley dostrzegł czarną, nieruchomą masę lądu. Z tej wysokości wydawała się całkiem płaska. W miarę jak obniżali pułap powierzchnia planety zaczęła nabierać faktury i wypiętrzyła się w łańcuchy górskie tak wysokie, jakby były bezpośrednio połączone z niebem.

Anteny znów wychwyciły sygnał – przeciągłe, długie westchnienie – teraz wielokrotnie mocniejszy. Cała kabina zadrżała. Haley poczuł ten dźwięk fizycznie, niczym uderzenie, które sięgnęło w głąb jego ciała, przeszło na wylot i okrążywszy statek, powędrowało dalej w przestrzeń.

Pozwolił, aby podmuchy wiatru niosły ich łagodnie, niczym liść albo latawiec. Opadali wielką spiralą. Na wysokości trzech kilometrów Haley wypatrzył niekę o gładkim,

połyskliwym dnie. Dotknęli jej powierzchni mocniej, niż się spodziewał. Statek odbił się, przeleciał kilkaset metrów, a potem przechylił się i zatopił w pyle, aż po dziób.

Kiedy stanął na rampie ujrzał jałową, milczącą krainę podobną do powierzchni księżyca. Chmury w głębokim odcieniu granatu zasłaniały całe niebo. Nic więcej. Żadnego ruchu, tak jakby spoglądał na fotografię. Żadnych dźwięków, oprócz bicia jego serca i cichego syku pompy powietrza w skafandrze. Szary krajobraz aż po horyzont, na którym wyrastały olbrzymie grzbiety łańcuchów górskich. Omega potwierdził, że właśnie stamtąd nadszedł sygnał.

– To tylko dwadzieścia, dwadzieścia pięć kilometrów – powiedział. – Weźmiemy poduszkowiec.

Wspięli się na grzbiet kotliny, skąd mieli lepszy widok na okoliczny teren. I tutaj wszystko wyglądało podobnie. Te pustkowia, myślał Haley, czy nosiły jakieś nazwy? Czy chmury rozstępują się czasem, aby inne oczy mogły ujrzeć świt kładący cienie na żłobieniach w pyle? Przeczuwał, że człowiek nigdy nie będzie w stanie sięgnąć do źródła tej krainy, odnaleźć jej pierwotnej nazwy. A jednak musieli spróbować.

Jechali przez wiele godzin, prześlizgując się ze szmerem po szczytach łagodnych wzniesień i omijając te, które były zbyt strome. Czarne masywy zbliżały się niczym sięgająca nieba fala morska. Kiedy dotarli do ich podnóży, ujrzeli zapierający dech w piersiach ogrom połyskującej metalicznie skały. Stoki wydawały się doskonale gładkie, jakby wypolerowane, wyrastały wprost z pyłu i rosły, rosły, rosły, och, strzelały pod niebo czarnym strumieniem, aby rozpląnąć się w chmurach otaczających ich szczyty. Haley unosił wzrok coraz wyżej, aż poczuł zawroty głowy. Zatrzymał poduszkowiec i potykając się, zeskoczył na ziemię. Pamiętał Góry Skaliste, po których wędrował z ojcem w młodości. Szerokie, wysokie przestrzenie porośnięte gęstym, świerkowym lasem. Pamiętał wyrastające z grani kamienne głazy, większe od jego domu, i wąskie nitki szos oplatające strome grzbiety. Te góry wyglądały odmiennie od ziemskich, ale także w żaden sposób nie pasowały do łagodnego, pustynnego krajobrazu tej planety. Tak silnie kontrastował ich czarny masyw z otaczającym go, łagodnie pofalowanym terenem.

Omega pokazał wąską szczelinę, wgryzającą się skałę na wysokości gruntu. Nie dostrzegliby jej zapewne, gdyby nie dywan szarego pyłu, który nasypał się do środka. Wsiedli do poduszkowca i pokonali ostatni odcinek trasy. Z bliska szczelina jeszcze dobitniej

wykazała ich drobność. Spoglądając z daleka, Haley był przekonany, że ma nie więcej niż dwadzieścia-trzydzieści metrów wysokości, i że nie będzie szersza od ich statku. Kiedy jednak dotarli do niej, okazała się równie rozległa jak czteropasmowa autostrada. Kapitan z przestrachem podniósł wzrok, usiłując ocenić wysokość ścian. W tej szczelinie, będącej zaledwie drzazgą, wobec rozmiaru samej góry, z pewnością pomieściłaby się niejedna ziemská katedra.

Cicho wjechali do wnętrza skały. Z początku używali reflektorów poduszkowca, jednak po czasie kapitan spostrzegł, że jej ściany mienia się własnym blaskiem, przypominającym światło księżyca w letnią, bezchmurną noc. Dźwięk silnika wyprzedzał ich, znikał w ciemność, z której wracał zwielokrotniony i stłumiony, jakby to przemawiała sama góra. Haley zwolnił, poruszali się teraz w ślimaczym tempie. Rozjaśnione ściany oddalały się od nich, a ostre sklepienie jeszcze bardziej się uniosło, aż zupełnie znikło. W pewnym momencie dostrzegli plamy szarości zawieszone wysoko w górze, były ich setki. Haley wyłączył silnik i poduszkowiec osiadł na piachu.

Patrzyli na słupy jasnego światła, które schodziły z wysoka, przecinając ciemność, do poziomu gruntu. Przestrzeń, w której się znaleźli przypominała ogromną, niewyobrażalnych wprost rozmiarów komorę wyłobioną wewnątrz góry. Haley usłyszał to bardziej, niż zobaczył, ponieważ jego oczy nie przywykły jeszcze do mroku. Czuł otaczającą go wielką przestrzeń, w której rozchodziły się z łatwością wszelkie dźwięki. Każdy szmer osypującego się pod butami piasku słyszał powracający z ciemności i wędrujący wysoko, odbity wielokrotnie, niczym szept tysięcy, powtarzających po sobie stworzeń. Komora posiadała doskonałe właściwości akustyczne. Światło, które ujrzeli, musiało przechodzić przez otwory znajdujące się wysoko w skale. Było to światło gwiazd. Z opóźnieniem zrozumiał, że szczyty tej góry sięgają wyżej, niż się spodziewał, przebijają granatową warstwę chmur, aby dotknąć kosmosu.

– Tam dalej jest droga – wyszeptał Omega, pochylając się nad kapitanem. Jego głos uleciał w mrok, a potem powrócił niczym stado szeleszczących skrzydłami nietoperzy, z których każdy powtarzał jego słowa, aż do zupełnego zatracenia. Naraz przemówiło tysiące ust i zanim dźwięk wygasł, Haley miał wrażenie, że komnata wypełniona jest tłumem aż po niewidoczne brzegi.

Ruszyli w kierunku wskazanym przez Omegę. Kolejna szczelina, równie ogromna jak ta, przez którą się tutaj dostali. Kapitan przestał o niej myśleć, jak o naturalnym pęknięciu w skale. Nie, było zbyt regularne, a ten długi i szeroki przesmyk wiodący na zewnątrz, czyż nie był w istocie tunelem? Poduszkowiec gładko wśliznął się między ściany. Kiedy skały

cofnęły się po kwadransie milczącej, nerwowej podróży, ujrzeni kolejną komnatę, mniejszą od poprzedniej, ale wciąż ogromną wobec rozmiarów ziemskich jaskiń. Było tu dość jasno, pomimo braku otworów w sklepieniu. Haley mógł zobaczyć otaczające ich strome ściany i wykute w półkach skalnych ogromne stopnie wiodące w górę, ku ciemności. Każdy ze stopni liczył przynajmniej metr wysokości. Omega kazał mu się zatrzymać i zeskoczyć z pojazdu. Podeszedł do leżącego opodal prostokątnego kamienia, pokrytego zapisami przypominającymi pismo klinowe. Kiedy przesunął po nim dłonią, znaki rozświeciły się słabym, zielonym blaskiem.

– Co to takiego? – zapytał Haley.

– Widziałem je już wcześniej w tunelu, ale nie byłem pewien. Może to drogowskazy?

– Nagle zawiesił głos. – Kapitanie, proszę ich dotknąć.

– O czym ty mówisz?

Omega chwycił go za rękę i przyłożył ją do powierzchni kamienia. Napisy rozjarzyły się za dotykem, a potem zgasły. Haley natychmiast zrozumiał, ponieważ wiadomość pojawiła się jego umyśle: *Witaj, wędrowcze, w cudownym mieście Nimh.*

– Jak to możliwe?

– Tego jest więcej, proszę spróbować.

Dotknął kolejnej linijki tekstu. Słowa, które brzmiały jak jego własne, powiedziały: *Ugaś pragnienie w fontannach cudownego ogrodu Eisan, baw się i tańcz do pięknej muzyki, którą stworzyliśmy, aby przekazać ci naszą mądrość i miłość do wszelkiego stworzenia. Prosimy, zostań naszym gościem. Czuj się wspaniale.*

Miał wrażenie, jakby wewnątrz jego głowy otworzyły się inne usta. Omega oddalił się w kierunku ogromnych schodów i kapitan poszedł za nim. Obok schodów znajdowało się wysokie na pięć metrów strzeliste wejście do kolejnej komnaty, wypełnione połyskującymi metalicznie przedmiotami. Haley kucnął obok jednego z nich, przypominającego trąbkę lub flet i pomyślał o cudownej muzyce, wygrywanej przez tutejszy lud. Ujął go ostrożnie. Niemal natychmiast przedmiot zaczął się rozsypywać w czarne płatki, po chwili Haley trzymał w dłoni jedynie garść pyłu.

– Tutaj – powiedział Omega, przechodząc do kolejnego pomieszczenia. Na środku znaleźli kamienny cypelek wyrastający wprost z podłogi. Omega dotknął jej spodu. Na szczycie kamiennej rzeźby zajaśniało jasne, zielonkawe światło, z którego, popłynęła łagodna muzyka, tak piękna, że Haley poczuł w sercu ukłucie, jakby dźwięk obudził w nim piękne wspomnienie dzieciństwa. Kiedy zamknął oczy, zobaczył wytapetowany na powiekach obraz swojego domu na przedmieściach Boulder.

– Co się dzieje, kapitanie?

– To Iskra Wspomnień – powiedział Haley, nie wiedząc skąd wziął tę nazwę. – Tutaj każdy może doświadczyć swojej cudownej przeszłości.

Wyszli z tej komnaty na główną aleję i podążyli dalej między wysokie, kamienne zabudowania, które kiedyś mogły być sklepami albo domami mieszkańców Nimh. Haley nazwał to miejsce Dzielnicą Mieszkalną. Potem odnaleźli wykutą w skale Świątynię Pogodnego Życia, której łagodne łuki przywodziły na myśl otaczające te góry, piaszczyste wzniesienia. Pod wielkim, prostokątnym monumentem przypominającym obelisk Haley dotknął tablicy i zrozumiał, że to Biblioteka Tysiąca Zwojów, w której zawarto całą wiedzę tej rasy. Wewnątrz ujrzeli ciągnące się daleko w ciemność półki skalne. Długo wędrowali w tym labiryncie, jednak półki zasypane były pyłem, a Haley bał się dotykać wystających z niego kruchych, metalicznych przedmiotów w obawie, że i je zniszczy. Znaleźli też kolejne kamienne tablice, z których dowiedzieli się, że pradawni mieszkańcy tego miasta szczególnie ze wszystkich rodzajów sztuki ukochali muzykę. W głębokich, cienistych zaułkach ocalały niektóre zwoje zapisane na metalicznym papierze, przypominającym folię aluminiową.

Przez kolejne godziny przeszłość tej planety rozkwitała w ich umysłach niczym płatki cudownego kwiatu. Rasa Nimh musiała narodzić się bardzo dawno temu, kiedy Ziemia była jeszcze gigantyczną kulą wirującej magmy. Stanowili lud filozofów i myślicieli, miłujących pokój pasjonatów sztuki. Znane im było pojęcie polityki, którą uprawiali wspólnie, bez podziałów na partie, klasy społeczne i władców. Każdy pojedynczy mieszkaniec tego miasta był równy drugiemu. Nie znali pojęcia pieniędzy. Mądrość była jedynym bogactwem, którego potrzebowali. Haley wyobraził sobie komnaty i biegnące między nimi alejki wypełnione wysokimi, smukłymi istotami o twarzach przejrzystych niczym powierzchnia strumienia i oczach mieniących się złotem. Raz na dwieście obrotów planety wszyscy mieszkańcy zbierali się w ogromnej Sali Chórów, aby wspólnie zagrać i zaśpiewać pieśń. Jakaż to wspaniała technologia, pomyślał Haley. Dźwięki przemieniały całą górę w ogromny nadajnik, który wysyłał sygnał w przestrzeń kosmiczną. Jako zaproszenie. I przez wiele tysięcy lat inne rasy przybywały, aby dołączyć do tej wspólnoty, nauczyć się i przekazać swoją wiedzę. Haley wyobraził sobie srebrne i kryształowe statki, przed którymi rozstępują się chmury. Piękne, majestatyczne ptaki pilotowane przez obce istoty. Wyobraził sobie setki różnych cywilizacji, które stykały się w tym miejscu i mieszały jak w tyglu. Ogromne, wszechświatowe forum.

– A więc życie – wykrzyknął. – Nie tylko tutaj, ale i powszechnie w kosmosie!

Omega milczał przez chwilę, aż kapitan odwrócił się i spojrzał na niego.

– Wszystkie zwoje kończą się w tym samym momencie – powiedział. – Widać, że uzupełniali swoją historię codziennie, choć pojęcie czasu mieli inne niż my. Niemal fizyczne. Jednak ich historia za każdym razem urywa się i nie biegnie dalej. Co się z nimi stało?

– Odeszli.

– Dlaczego? Dlaczego mieliby porzucać tak piękną i bezpieczną krainę?

– W takim razie umarli.

– Więc gdzie są ich ciała? Nagle wszyscy zniknęli? Gdzie są resztki, groby? W żadnym miejscu nie wspominają nawet o śmierci, jakby ich życie było trwaniem, pięknym i czystym dźwiękiem, który rozbrzmiewa bez końca.

– Może sprowadzili do siebie coś, co ich zgładziło.

Powiedziawszy to, Haley poczuł, jak wypełnia go zimno. Nie mówił nic więcej. Wyszli z biblioteki i udali się poduszkowcem dalej, między lśniące, kamienne budowle, coraz bardziej przypominające ogromne płyty nagrobne. Trafili w końcu na rozległą przestrzeń, zalaną szarym blaskiem. Wysoko nad krawędziami skał jaśniał okrąg nieba, po którym chmury przesuwaly się ciężko i ospale. Powierzchnię tej równiny pokrywał pył i wiele wskazywało, że była to naturalna płaszczyzna znajdująca się wewnątrz góry. Tu i ówdzie, w nieregularnych odstępach, wyrastały z pyłu gigantyczne kamienne formacje.

Wysiedli z poduszkowca i pieszo zagłębili się w ten przedziwny, skalny ogród. Haley podniósł niewielki kamień i rzucił nim daleko. Usłyszeli głośny, metaliczny dźwięk, z którym upadł. Omega spojrzał pytająco na kapitana. Haley rzucił kolejny kamyk i znowu rozległo się to metaliczne brzęknięcie. Ruszyli w tę stronę, jednak nie znaleźli miejsca, gdzie upadały kamienie. Kapitan zbliżył się do najbliższego głazu i starł z niego warstwę pyłu, odsłaniając metal ukryty pod spodem. To niemożliwe, pomyślał. Rozejrzał się wokół i wtedy dopiero je zobaczył. Wtedy naprawdę zobaczył. Wszędzie dokoła, na wpół zagrzebane, leżały statki kosmiczne.

– To lądowisko?

– Raczej cmentarzysko wraków – powiedział. – Jak długo się tu znajdują? Kilkadziesiąt lat? Sto? Tysiąc?

– Ten wygląda inaczej – powiedział Omega, wskazując statek przypominający kształtem ogromną, metalową rozgwiazdę. – Musiał przybyć niedawno. Pył jeszcze na nim nie osiadł.

Pojazd mienił się różnokolorowym blaskiem rozlanej na asfalcie benzyny. Haley uderzył pięścią w jedno z sześciu ramion, na których się wznosił i wewnątrz rozległ się

głuchy odgłos. Obeszli go dokoła, jednak nie napotkali żadnej szczeliny w jednolitym, gładkim poszyciu.

– Powinniśmy już wracać – powiedział Haley. – Zawiadomić o tym miejscu.

– A co z resztą statków?

– Jako kapitan muszę przestrzegać regulaminu misji. Należy meldować niezwłocznie o każdym spotkaniu z obcą cywilizacją. A my spędziliśmy tutaj już dość czasu.

Wycofali się do poduszkowca, Haley nawrócił i pomknęli z powrotem przez wąskie, wyżłobione w skale alejki Dzielnicy Mieszkalnej, przez Salę Chórów, gdzie przywitało ich potężne, szeleszczące echo tysięcy dźwięków, aż zniknęli w ciemnym, długim tunelu wiodącym na zewnątrz.

Szarość. Wszędzie wokół szarość, która odbiera zdolność orientacji i usypia łagodnym falowaniem pagórków. Można przemierzyć setki mil tej krainy, nie czując, że wykonało się więcej niż kilka kroków. Jakim cudem ta jałowa planeta mogła wydać owoc tak piękny, jak rasa Nimh? *Życie zawsze znajdzie drogę*, myślał Haley. *Spróbuje wykiełkować w pyle, a nawet wewnątrz kamienia, czepi się wszelkiej szansy. Czyż na ziemskich pustyniach nie kwitną rośliny? Czy małe jaszczurki nie znajdują pożywienia na wydmach? Czy ludzie nie zdobywali biegunów, wypływając statkami w zimną, martwą przestrzeń? Nauczyli się żyć w kosmosie, postavili bazy na księżycu, a potem na Marsie, daleko od domu zbudowali ogromne szklarnie, w których zasiali pola pszenicy, posadzili sady owocowe i gaje oliwne. Poprowadzili podziemne strumienie do swoich siedzib, sięgnęli głęboko do magmowych serc planet, aby czerpać z nich ciepło. Istnienie człowieka od początku związane jest z przetrwaniem – w tym jednym dzielimy wspólny los ze zwierzętami – i nawet tonąc, niczym rozbitek na wzburzonym morzu, ten człowiek zawsze znajdzie sposób, żeby utrzymać się na powierzchni.*

A tam daleko w kamiennym sercu gór inna cywilizacja, mądra i dostojna, odeszła pośród pyłu i echa. *Jakim sposobem życie na Ziemi rozkwitło, podczas gdy kwiat tej planety usechł?* Haley nie spodziewał się, że odnajdzie takie piękno w resztkach starożytnego życia. Mieszkańcy Nimh pogodzili rozwój technologii z rozwojem duchowym, pokazali, że kolonizacja może odbywać się poprzez zaproszenie, a nie ślepe badanie przestrzeni. Te wszystkie siły, które wlewają w budowę nowych statków, czy nie można ich inaczej skierować? Ludzie od zawsze szukali celu istnienia gdzieś dalej, poza horyzontem, zamiast

zwrócić się ku swojemu wnętrzu. Tu, na tej pustynnej planecie znaleziono inną drogę. Chciałby pokazać ten świat rodakom, zebrać garść pyłu i powiedzieć: jest wart więcej od nas.

Siedzący przy nim Omega myślał: *Co będzie potem?*

Przyślą tu następne ekspedycje. Kolejni naukowcy zbadają ten świat, zbiorą próbki i wyniosą zawartość biblioteki. Potem przylecą krążowniki, z których niczym płatki drzewa wiśni opadną tysiące statków: inżynierów, architektów, geologów i techników, a za nimi wielkie maszyny wyleją betonowe jęzory dróg, zbudują kopalnie, elektrownie atomowe. Pod koniec z nieba przybędą automatyczne budki z hot dogami i chilli, którymi przykryją kamienne tablice w świątyni. W wielkiej sali rozstawią krzeselka i zaczną organizować mecze baseballu, koncerty rockowe, konkursy talentów, których uczestnicy będą wypierdywać pachą hymn Stanów Zjednoczonych, zbierając owacje na stojąco.

– Z całym szacunkiem, kapitanie – odezwał się nagle. – Uważam, że nie powinniśmy o tym meldować. Ludzie nigdy nie będą w stanie zrozumieć idei, która kierowała tą rasą w drodze do stworzenia swojej cywilizacji.

Haley łagodnie pokiwał głową.

– Wiem. Doskonale to rozumiem. A jednak zdamy ten raport.

– Przecież nikt się nie dowie.

– Ja będę wiedział i to wystarczy. Nie jesteśmy nic winni martwym królestwom zakopanym w pyle, jednak mamy zobowiązania wobec żywych na Ziemi. Przysięgałem jako żołnierz przed startem w kosmos, że swoją misję wypełnię. To moje jedyne zadanie.

– A co jeśli to wszystko zostanie zniszczone?

Haley milczał.

– Co jeśli nie wyciągniemy z tego żadnej nauki?

Nie rozmawiali już więcej. Poduszkowiec mknął, wzniecając ogromny pióropusz pyłu. Po godzinie dotarli do statku. Haley chciał ostatni raz przyjrzeć się planecie, którą opuszczali. W takim razie dlaczego czuł wewnątrz, że tak naprawdę to Elpis opuszczała jego?

Omega wszedł na pokład, żeby przygotować statek do lotu. W drodze na mostek zajrzał do szklarni przez duże, panoramiczne okno laboratorium. Wszystkie rośliny umarły: pędy pomidorów, łodygi rabarbaru i pnącza groszku, kielki soi, miniaturowe poletko ziemniaków i kukurydzy. Szczerniały, dotknięte jakąś straszliwą odmianą zgnilizny, przemieniły się w rozmiękle, cuchnące bulwy, z których wyciekał mętny sok. Nawet mięso z hodowli, trzymane w specjalnych pojemnika, rozpuściło się w skisłą zupę. Kiedy cofał się na rampę, zauważył, że ktoś wtargnął do kajuty Haley'a. Prawie każdy należący do niego przedmiot został przesunięty. Łóżko rozgrzebano, podobnie jak szafki, z których wyjęto

i rozrzucono wszystkie ubrania. Kolekcja płyt leżała roztrzaskana na podłodze, pośród zawartości biurka, dokumentów misji i osobistych notatek.

Omega wybiegł na zewnątrz, krzycząc:

– Kapitanie! Ktoś wdarł się pokład! – Zatrzymał się po kostki w piachu. – Kapitanie?

Obok poduszkowca nie było nikogo.

Silniki zatrzęsły się, zadygotały, rozjarzyły się głęboką czerwienią, która szybko pobladła w jasny, błękitny płomień. Do góry uniosła się ogromna, szara chmura pyłu, kształtem przypominająca kwiat tulipana. Spomiędzy jego płatków wyłonił się statek. Omega ustawił silniki w pozycji horyzontalnej i ruszył do przodu, wysoko, niemal pod chmury.

Anteny przeczesywały ogromną, rozległą przestrzeń Elpis, nasłuchując. Komputer pokładowy szukał nadajnika wbudowanego w skafander Haley'a. Niemał natychmiast ekran obok stanowiska pilota wyświetlił jego położenie. Omega odsunął od siebie manetki i skierował statek w dół, ogromnym łukiem zakręcając w stronę czarnego masywu górskiego. Z tej wysokości wydawał się jeszcze bardziej rozległy, rozchodząc się na setki kilometrów po powierzchni planety. Lawirując między ostrymi, kamiennymi stożkami mogącymi z łatwością przebić poszycie, Omega szukał lądowiska, na które wcześniej trafili. Wypatrzył je – plamę szarości pośród czerni. Dostrzegł też wraki. Z niepokojem pomyślał o cmentarzysku, gdzie z pyłu, niczym połamane kości, sterczą nagrobki. Zawisł nad nim wysoko, kręcąc leniwe kółka, a potem zaczął obniżać pułap. Zębiska skał szczyrzyły się, łakome jego i statku. Miał wrażenie, że bardzo powoli opada w głąb otwartej szeroko paszczy. Cienie zamknęły się bezszelestnie, wypełniły mostek, a kiedy spojrzał w górę, dostrzegł tylko granatowy okrąg nieba. Za oknami półki skalne rosły w nieskończoność, połyskując błękitnym światłem silników. Posadził statek na skraju lądowiska, a potem otworzył właz. Planował użyć poduszkowca, lecz jego akumulator jeszcze się nie naładował.

Komputer pokładowy wskazywał na coraz słabszy sygnał ze skafandra Haley'a. Omega zgrał te dane na ręczny lokalizator, który umieścił w rękawicy. Spoglądając na nadgarstek, niczym człowiek spieszący się na pilne spotkanie, zeskoczył z rampy i pobiegł w stronę wąskiego przejścia w skale.

Znalazł się znów pod milczącym sklepieniem komnaty, którą Haley nazywał Dzielnicą Mieszkalną. Słabe światło latarki z trudem wgryzało się w ciemność. Minał wykute w skale pomieszczenia o wysokich i ostrych jak stalaktyty wejściach. Oto Biblioteka Tysiąca

Zwojów, pełna zasypanej w pyłe wiedzy. Oto Świątynia Pogodnego Życia, wyglądająca jak wielki grobowiec pełen kości. Oto sklepy muzyczne pełne przerażającej ciszy. Oto wymarłe pokoje, w których mieszkają echa dawnej świetności. Klucząc wąskimi alejkami, Omega nawoływał kapitana, ale jego głos ginął w przestrzeni. Interkom Haley'a milczał. Kamienne ściany odbijały większość fal i tylko cudem wciąż potrafił wychwycić sygnał nadajnika.

Daleko na przedzie coś zamigotało w świetle latarki i zgasło. Omega przesunął promień bardzo wolno, wyławiając z ciemności ściany i zasypany piachem korytarz. Dostrzegł kapitana na schodach wiodących wysoko pod ciemne sklepienie. Siedział skulony na najniższym stopniu, dziwnie mały wewnątrz kombinezonu. Omega oświetlił wnętrze hełmu. Oczy Haley'a spojrzały na niego z białej, wysuszonej maski z ledwością przypominającej oblicze ludzkie.

– To ty – powiedział ochryple. – Co tu robisz?

– Przyszedłem z pomocą.

Haley wykrzywił się w nieprzyjemnym grymasie i zsunął ze stopnia na ziemię.

– Wszystko skończone. Rozejrzyj się, widzisz? Martwe.

– Ale ty wciąż żyjesz, kapitanie. Zabieram cię z powrotem na pokład.

Odepchnął jego rękę, zaskakująco mocno, i ruszył w głąb korytarza.

– Jak się tu znalazłeś tak szybko, bez statku?

Haley zatrzymał się. Skafander wisiał na nim niczym szmata na połamanej żerdzi. Obrócił się i rozejrzał po wykutych w skale pomieszczeniach. Jego cień rozlewał się na podłodze w świetle latarki, nie przypominał jednak cienia człowieka tylko jakiejś dziwnej, nieludzkiej istoty o ogromnej, jajowatej głowie.

– Przeniosła mnie...

– Kto?

– Planeta. Zanim tu przyszedłeś, siedziałem długo w ciemności, rozmawiając z nią. Słowa, które brzmiały jak moje, wypływały na powierzchnię głębokiego stawu, który w sobie noszę. Ty tego nie zrozumiesz, bo nie jesteś żywy. Nie rozumiesz, jak to jest szukać. Czuć pragnienie, które musisz zaspokoić. Te dwa stany, obecności i braku, definiują cały porządek wszechświata.

Omega położył mu dłoń na ramieniu, lecz Haley strząsnął ją wściekle.

– Durniu, czy ty nie rozumiesz?

– W takim razie wytłumacz mi – powiedział robot. – Wytłumacz, zanim odlecimy.

Skurczona twarz kapitana wyrażała jedynie gorycz.

– Powiedz, czym jest według ciebie absolut?

– Moim zdaniem – rzekł Omega z wahaniem – to forma doskonałości.

Haley pokiwał głową.

– To jest ta wielka, kosmiczna harmonia, o której gadają fizycy. Myślimy, że nasza cywilizacja wyłoniła się z chaosu, niczym cudowny skarb wyrzucony na plażę przez morskie fale. Owszem, wyłoniliśmy się przypadkiem, ale nie z chaosu. Wyłoniliśmy się z porządku, który dąży do anihilacji wszelkiego życia. Ponieważ życie jest tego porządku zaburzeniem. A pustka? Och, jest doskonała, jest idealną pełnią. Niczego jej nie brakuje, ponieważ niczego nie posiada. To największa świętość. Od zawsze czysta i nienaruszona. W niej zawieszone tkwi martwe światło galaktyk. Życie tymczasem kiełkuje gdzie popadnie, niczym pleśń w sprzyjających warunkach: kiedy zamoczysz chleb i tak go zostawisz, ten wkrótce spleśnieje. Tak było na Ziemi, na Elpis i na każdej innej planecie. Pleśń. Nic więcej. Tak strasznie mnie to boli, ale rozumiem, że wszechświat dąży naturalnie do zabicia wszelkiego istnienia. To jest porządek wyższy od naszego. To jest a b s o l u t. W tej walce jesteśmy z góry skazani na porażkę. Nic nie ma prawa do życia, to tylko nasze fantasmagorie, niczym bajeczki opowiadane dzieciom na dobranoc. Koimy tym nasze strapione umysły, kładąc się do snu. Oparliśmy na tym prawo, religię i cały światopogląd, ale wobec kosmicznych sił jesteśmy niczym piłka wobec grawitacji. Możesz nią rzucić bardzo wysoko, ale ona w końcu i tak spadnie.

Haley zawiesił głos, a potem dodał cicho i ze smutkiem:

– Kiedy to wszystko zrozumieli, kosmos otworzył się w ich umysłach i je dopełnił. Dopełnił do pustki. Ponosząc straszliwą cenę, sięgnęli oświecenia.

W ciemności unosiła się jego blada twarz, jakby maska karnawałowa, którą przywdział z tej szczególnej okazji. Odwrócił się po chwili i ruszył w mrok, powłócząc nogami. Omega próbował mu pomóc, ale za każdym razem kapitan odpychał go ze wstrętem. Weszli w ciemny, wysoki korytarz wiodący do Sali Chórów. Z oddali nadpłynęło słabe echo ich głosów.

– Pamiętasz tę piosenkę Neila Younga, którą tak uwielbiam? Puszczałem ją bez przerwy, kiedy tu lecieliśmy. Mógłbym jej słuchać bez końca.

Ściany korytarza cofnęły się, ukazując rozległą, czarną przestrzeń z wysokim sklepieniem. Haley uniósł głowę, aby spojrzeć ku zawieszonym wysoko plamom światła, a potem zachwiał się i upadł do przodu. Omega skoczył ku niemu, wyciągając ręce, lecz zamiast ciała i kości wyczuł jak coś miękko porusza się wewnątrz skafandra. Z trzaskiem pękła szklana przesłona hełmu. Roboty nie powinny czuć strachu, a jednak bał się teraz, tak

jak boi się dziecko, które w nocy słyszy, że w pokoju ze skrzypnięciem otwiera się szafa na ubrania.

W słabym świetle gwiazd zobaczył, że coś wydostaje się przez otwór w hełmie, a potem, niby czarny wąż, pełźnie w kierunku wysokiej ściany. Po drodze przyjęło kształt częściowo ludzki, o czterech kończynach i wąskiej głowie, zatkniętej na chudej szyi. Już na czworakach przylgnęło do ściany i poczęło się na nią wspinać, wysoko, pośród inne istoty o twarzach zwróconych ku gwiazdom. Były ich setki, jeśli nie tysiące – czarne, rachityczne płaskorzeźby wystające ze ścian.

– *Z błękitu w czerń* – zaśpiewał w ciemności słaby, ochrypły głos, który już nie brzmiał jak ludzki, a po nim rozległy się wszystkie głosy, powtarzając bezmyślnie:

*Z błękitu w czerń,
dają ci to, za co musisz zapłacić,
a gdy odejdiesz,
już nigdy nie powrócisz,
kiedy z błękitu przechodzisz w czerń.*

rys. Olga Czarnecka



ZŁY DOTYK

Karol Miłka

Dziewczyna jest jeszcze młoda. Na oko jakieś szesnaście, może siedemnaście lat. Opadające na ramiona czarne włosy z fioletowym paskiem pośrodku, twarz pobledzona białym pudrem z odcinającymi się oczyma, podkreślonymi czarna kredką, czarna kiecka oraz czarny gorset. Na przedramionach sznyty. Gothka albo EMO. Ale raczej to pierwsze. Siedzi po drugiej stronie biurka i mruży oczy, jakby mój biały kitel ją raził. Ma nieco zagubiony wzrok, lecz nic dziwnego. Dostała solidną dawkę leków uspokajających. Niech się

przyzwyczajają. Psychotropy będą jeszcze gorsze. Wiem skąd wróciła, a w raporcie policyjnym przeczytałem, co się wydarzyło. Miałem kilka identycznych przypadków i każdy kończył się tak samo. Kaftan bezpieczeństwa i pokój bez klamek. Po co tam łążą? Co ich tam tak przyciąga? Chcą sprawdzić, czy miejska legenda jest prawdziwa? Powodzenia, debile...

Uśmiecham się dobrotliwie. Bardzo ważne jest, aby wzbudzić w pacjencie zaufanie. Jeśli nie będzie ufał lekarzowi, wtedy się nie otworzy. A ja chciałbym usłyszeć jej historię. Oczywiście, jak wcześniej wspomniałem, zapoznałem się z tym, co zeznała policji, ale ja tak po prostu mam – uwielbiam słuchać ich zwierzeń.

No więc spoglądam tej wystraszonej istocie głęboko w oczy, szczerząc się jak norka i delikatnie bębnię palcami po blacie. Wzdryga się na ten dźwięk. Dobrze wiem, co jej przypomina, więc przestaję. Nie chcę zepsuć wszystkiego już na wstępie.

– A więc masz na imię Małgosia? – pytam.

Jakoś trzeba rozpocząć konwersację.

Potwierdza skinieniem głowy, ale nie odzywa się. Znam dobrze ten typ. Cicha, skryta, skromna na wierzchu. Prawda jest taka, że to małe, wyuzdane dziwki, lubujące się w widoku krwi i krzykach pseudosatanistów charkoczących na scenie bluzgi pod adresem Boga w rytm rozstrojonych gitar i za głośniejszej perkusji. Małe perwersyjne pojebki. Ta tutaj ma, czego chciała.

Jeszcze szerszy uśmiech.

– Ja mam na imię Antoni i jestem psychiatrą. Mam ocenić twój stan, ale aby to zrobić, musisz opowiedzieć mi co ci się przytrafiło.

Po jej policzkach spływają łzy. Zostawiają w warstwie pudru bruzdy, ujawniające rumianą cerę. Czemuż one muszą się tak szpecić? To naprawdę ładna dziewczyna.

– Spokojnie, Małgosiu. Możesz mi zaufać. Obiecuję ci, że wszystko, co tutaj powiesz, zostanie między nami.

Gówno prawda. Pod biurkiem mam ukryty dyktafon. Ubóstwiam odtwarzać te ich opowieści. Przed snem i tuż po wstaniu z łóżka.

Dziewczyna pociąga nosem. Ociera słone kropelki z twarzy, rujnując doszczętnie swój makijaż. Opieram brodę na splecionych dłoniach i unoszę brwi. Trwam w tej wyuczonej do perfekcji pozie, mającej zachęcić pacjenta do rozwiązania języka. Skutkuje. Jak zawsze.

– Ja tego nie zrobiłam... – szepcze.

Doskonale wiem, że nie. Nawet gdyby się naćpała, nie miałaby szans zrobić tego, co oni robią ze swoimi ofiarami.

– Oczywiście – odpowiadam i oczekuję na ciąg dalszy.

– Wie pan...

– Mów mi Antoni.

Waha się. Jestem dużo starszy, to nie wypada. Dobrze wychowana, w mordę jebana mać. Wyciągam z szuflady biurka paczkę LM-ów i podsuwam jej pod nos. Zastanawia się chwilę, ale odmawia.

– Dziękuję, palę tylko mentole – mówi.

Wyciągam mentolowe. Drżącą dłonią wkłada jednego do ust. Służę jej zapalniczką. Zaciąga się kilkakrotnie, szybko i głęboko. Widzę, że jej ulżyło.

– Wiesz, on był ministrantem – bąka niepewnie. – Bardzo przystojnym. I ułożonym. Nie pił. Nie palił. Nie brał. A to wszystko, to był tylko głupi zakład. Żeby udowodnić, że on nie może być taki święty, doskonały. Że da się skusić...

Kiwam głową ze zrozumieniem. Pozwalam jej odsapnąć, zebrać odwagę.

– Ja nie chciałam, żeby się tak stało, naprawdę... – szlocha.

– Nikt cię nie oskarża, Małgosiu – uspokajam ją.

– Ale tamci, policja...

– Dlatego tutaj jesteś, moja droga. Oni z zasady są niedowiarkami, szukają winnych na siłę, idą na łatwiznę. Ja mam otwarty umysł, mogę ci pomóc. Kontynuuj, proszę. Mówiłaś o zakładzie.

– Tak – bąka. – To był zakład i ja obstawiałam, że Dominik wcale nie jest taki świętojebli... Przepraszam.

– Nic się nie stało.

– No więc zaproponowałam mu wspólny wypad za miasto. Nie było trudno go namówić. Wiedziałam, że mu się podobam. Dziewczyny przywazyły, że ogląda się za mną, gdy go mijam na ulicy. To miała być taka gorzka niespodzianka, głupi żart, ja nie wiedziałam... Kupiłam wino i pojechalśmy...

Rozkleja się, płacze. Smarki ciekną jej z nosa, spływają po brodzie i spadają na piersi. Na bardzo dorodne piersi. Coś mi się wydaje, że będę częstym gościem w sali tej małej.

– Gdzie pojechaliście? – pytam, starając się nie patrzeć zbyt natarczywie na jej cycki. Trudna sztuka, oczy same schodzą niżej i niżej...

– Do tego opuszczonego szpitala, co to wybudowali go w czasie pierwszej wojny. Wie pan, wiesz, znaczy... Mówili, że tam straszy, że ludzie giną, że jest przeklęty...

Wiem o tym, kurewko, i to bardzo dobrze. Wszyscy normalni ludzie omijają tę ruinę szerokim łukiem. Ale ty musiałaś się pokazać, mała zdiro.

– Opowiedz mi o tym coś więcej. – Udaję nieświadomego.

Waha się. Walczy sama ze sobą, najwyraźniej wspomnienia ostatnich godzin zostawiły na jej umyśle niezatarte piętno. Wcale się nie dziwię.

– Co mówili? – zachęcam.

– Że kiedyś prowadzili go księży, jacyś zakonnicy, czy coś... – Milknie na chwilę i pociąga nosem. – Że leczyli tam chorych psychicznie chłopców. Tylko chłopców. Ale tak naprawdę nie pomagali im. Molestowali ich, gwałcili. W końcu ci chłopcy zbuntowali się i poobcinali księżdom dłonie, a potem uciekli! – wyrzuca to z siebie jednym tchem. Drży.

– A co stało się, kiedy poszłaś tam z tym ministrantem? – drążę dalej. – Wiem, że jest ci ciężko, ale muszę to od ciebie usłyszeć.

– Ja... Ja... Ja już mówiłam. Policji.

– Policjanci nie są wiarygodni. Przeinaczają fakty. Chcę to usłyszeć OD CIEBIE – naciskam tonem nie znośącym sprzeciwu. – Od tego zależy twój dalszy los. Zobaczysz, ulży ci.

Patrzy mi w oczy, dostrzegam w nich otępienie. Gdyby nie leki, na pewno wpadłaby w histerię.

– Weszliśmy oknem. Dominik protestował, ale kiedy zaczęłam go całować, uległ. Wybił szybę kamieniem. Włamaliśmy się do środka. Bałam się i on chyba też, ale wstydziłam się to pokazać. Znaleźliśmy jakąś salę z pordzewiałym łóżkiem, które strasznie skrzypiało. On chyba miał nadzieję, że będziemy uprawiać seks, ale ja chciałam upić go i namówić, żeby zatańczył dla mnie nago. Nagrałabym to telefonem i wrzuciła na neta. Siedzieliśmy i piliśmy. To znaczy on pił, bo ja tylko udawałam, maczałam język. W końcu Dominik się schlastał. To znaczy urznął. Bełkotał, że mnie kocha, że mu się podobam. Próbował mnie obmacywać. Powiedziałam mu, żeby się rozbierał i ukradkiem włączyłam w telefonie kamerę. Gdy był już goły, usłyszałam... – Przerywa i chowa głowę w dłoniach. Miota nią szloch. Po chwili kontynuuje łamiącym się głosem: – Usłyszałam skrobanie, jakby wewnątrz ścian. Zignorowałam je, bo pomyślałam, że to pewnie myszy albo szczury. Ale ono narastało. Było coraz głośniejsze, a w końcu przeszło w takie ciche pukanie – mówi coraz szybciej, jej źrenice rozszerzają się. – Takie jak, nie wiem...

Pomagam jej. Znów zaczynam bębnić palcami po stole, udaję, że to z zaciekawienia.

– Boże! Jak to! – krzyczy. – To brzmiało zupełnie jak to! Przestań, proszę...

Przestaję, a ona uspokaja się. Bierze głęboki wdech i ze świstem wypuszcza powietrze.

– One wyszły ze ścian – mówi cicho, jakby do siebie. – Było już ciemno, pomyślałam, że to pająki. Wystraszyłam się. Ale gdy poświeciłam latarką z telefonu... Kurwa... To były... były... One...

– Co to było? – mówię beznamyślnie.

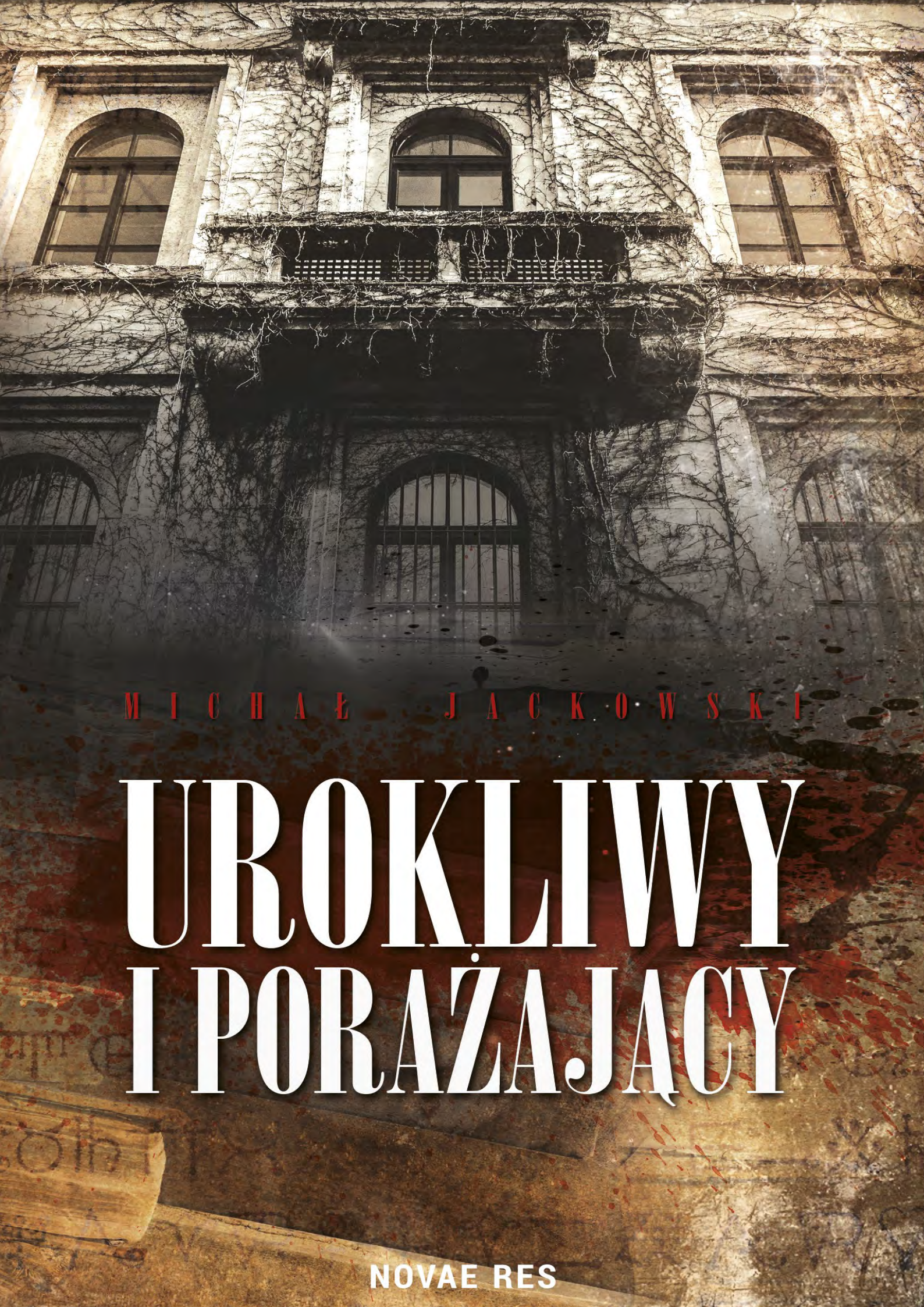
– Dłonie! – wykrzykuje, wstając. – Setki pierdolonych dłoni odciętych przy nadgarstku! Kłębówisko, rój, stado! Rzuciły się na Dominika i rozerwały go na strzępy! Na małe kawałeczki! Krew! Wszędzie krew! Boże, nigdy tak szybko nie uciekałam... To nie ja! Rozumiesz? To nie ja to zrobiłam! To one! Gonily mnie, ale uciekałam! Uciekałam! Uciekałam! Poszłam na policję... Pojechaliśmy tam. Nie uwierzyli, powiedzieli, że to ja... A to nie ja... – Opada na fotel i wiotczeje, jakby była piłką plażową, z której uszło powietrze. – To nie ja... – szepcze.

Podnoszę słuchawkę telefonu i wykręcam numer wewnętrzny. Wypowiadam kilka poleceń, a po mniej niż minucie do gabinetu wchodzi dwóch potężnych pielęgniarzy z kaftanem bezpieczeństwa. Dziewczyna na ich widok zrywa się gwałtownie i usiłuje uciec, ale szybko obezwładniają ją.

– Tu chuju! Ty kutasie! – wrzeszczy. – Obiecałeś, że mi pomożesz! Ty kurewski złamasie! Skurwysynu!

Obelgi nie robią na mnie żadnego wrażenia. Wydaję dyspozycje co do leków i ich dawkowania, a gdy mężczyźni wyprowadzają tę małą furiatkę, zapalam cygaro. Cholerna pizda, nie zdaje sobie sprawy, że to dopiero początek koszmaru. Gdy ktoś raz wpadnie w Ich palce, już nigdy nie zostanie wypuszczony. Fakt, nie zabijają kobiet, ale nigdy nie pozwolą jej o sobie zapomnieć.

Już je słyszę. Ciche skrobanie, delikatny stukot opuszków palców. Podążają za nią. Do celi. I będą skrobać i stukać. I skrobać i stukać. I skrobać i stukać. Aż nasza Małgosia zwariuje na dobre ...



M I C H A Ł J A C K O W S K I

UROKLIWY I PORAZAJĄCY

NOVAE RES



YES

NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS
DESIGN



DARK ART
AND DESIGN

GOOD BYE

LEMA WIDZENIA ŚWIATA

dr Eliza Krzyńska-Nawrocka

Niewątpliwy wizjoner, posiadający wyjątkową wyobraźnię kreującą frapujące rzeczywistości – Stanisław Lem. Jego twórczość, przetłumaczona na czterdzieści jeden języków, znana jest na całym świecie – i nie jest to przesada, gdyż to właśnie on jest najczęściej tłumaczonym polskim pisarzem. Jego nazwisko kojarzy się przede wszystkim z literaturą science fiction, futurologią, do kształtu których znacząco się przyczynił (od pierwszej drukowanej w odcinkach na łamach „Nowego Świata Przygód” powieści fantastycznej *Człowiek z Marsa*, przez *Astronautów* – pierwszą powieść wydaną w formie książkowej, poprzez *Eden* (1959), *Powrót z gwiazd* (1961), *Solaris* (1961), czy *Opowieści o pilocie Pirxie* (1968), *Fiasko* (1987) – wymieniać można by w zasadzie w nieskończoność).

Urodzony we Lwowie 12 września 1921 roku, zmarł w Krakowie 27 marca 2006 roku. Te czasowe klamry zawierają bogaty osobowo (ciekawym studium, oprócz twórczości legionu biografów Lema w tym zakresie jest jego autobiograficzna powieść *Wysoki Zamek*), i twórczo (wymienione powyżej powieści Lema stanowią jedynie barwny i reprezentatywny wycinek z jego obszernej i wielorakiej twórczości) życiorys człowieka, niemożliwością jest w jednym tekście przedstawić – oprócz suchej enumeracji – dokonania Lema – zarówno życiowe koleje losu pisarza, jak i same jego poczynania literackie. Nawet suche wyliczenia stworzyłyby rozległą (a zatem – z racji – pogładowego charakteru niniejszego artykułu – niemożliwą do pełnego przedstawienia) konstelację – nazwijmy ją konstelacją Lema (można jako ciekawostkę odnotować, że w rzeczywistości nazwiskiem pisarza nazwano planetoidę 3836 Lem oraz pierwszego polskiego satelitę naukowego). Spośród wielości, jaką w sobie kryje ta metaforyczna konstelacja, przedmiotem zainteresowania staje się mroczna gwiazda grozy, która w pisarskim widzeniu (i kreowaniu) świata jest mocno obecna.

Zanim jednak o grozie – słów kilka gwoili wprowadzenia: Lem debiutujący, to autor wierszy, znanych z aneksu do autobiograficznego *Wysokiego Zamku*, współpracujący z „Kuźnicą”, „Tygodnikiem Powszechnym” (to właśnie na jego łamach debiutuje jako autor fantastyki opowiadaniem *Obcy*, *Ogród ciemności* oraz *Dzieje jednego odkrycia*), „Nowym Światem

Przygód”. Interesujący się techniką, wynalazkami, relacją człowiek-maszyna wykreował Lem w swojej twórczości z jednej strony pogodne opowiadania gatunkowo rodem z bajek, z drugiej apokaliptyczne i klaustrofobiczne wizje końca ludzkiego świata, nieraz z dużym zabarwieniem filozoficznym, by dodatkowo nie uciekać także od parodii fantastycznych światów. Jednocześnie, niezależnie od przybranej formy, ma się wrażenie, że rzeczy, zdarzenia, które przedstawia, są całkowicie na serio, są całkowicie rzeczywiste, jakby z niesamowitością nie miały wiele wspólnego – większość elementów świata przedstawionego jest niemal codzienna, zwykła, możliwe, że ta jej cecha paradoksalnie sprawia, że rzeczywistość ukazywana w jego utworach staje się nieludzka – człowiek okazuje się takim samym rekwizytem, jak na przykład maszyna z *Wielkiego Lania*. Podróże kosmiczne przypominają wyprawy odkrywców spod znaku Kolumba, a ich poszczególne etapy nieraz zdają się być relaksującymi przechadzkami. Ale niech Czytelnika Lem nie zmyli – ani to luźny spacer, ani aktywny odpoczynek. Ta zwykłość, codzienność, jeśli się pojawia, to jedynie lukrowana przykrywka niczym z domu Baby Jagi, czai się za nią coś budzącego grozę – może mieć ona różne wymiary, różne stopnie intensyfikacji, ale nieustannie łączy się w omawianej twórczości z unicestwieniem, rozpadem, rozkładem.

Warto odnotować na marginesie jeszcze fakt (z racji tego, że w omawianym kontekście jest znaczący), znany zapewne fascynatom literatury grozy: w latach siedemdziesiątych XX wieku pod wspólną nazwą *Stanisław Lem poleca* ukazywały się książki rekomendowane przez pisarza, oprócz *Ubika* Philipa K. Dicka (wydanego w tej serii w 1975 roku), *Opowieści starego antykwariusza* Montague Rhodes Jamesa, które nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazało się w 1976 oraz w 1977 *Pikniku na skraju drogi* braci Strugackich, Lem swoim nazwiskiem firmował w 1975 roku *Niesamowite opowieści* Stefana Grabińskiego. Choć z niektórymi odczytaniem zawartymi w posłowniu do tej książki można dyskutować (mimo wszystko trudno dopatrzeć się rysów powieści produkcyjnej u autora *Demonu ruchu*), to patronat Lema wskrzesił twórczość zapomnianego pisarza grozy, zwanego „polskim Poe”. Wybór Grabińskiego – można uznać za pewien znak zainteresowań Lema – a jest nim niesamowitość, a także fascynacja dezintegracją, która u twórcy *Szalonego pątnika*, jest naczelnym zagadnieniem ontologicznym.

Mówiąc o grozie u Lema, można rozpatrywać ją w wymiarze fizycznym i egzystencjalnym. Oba są ze sobą sprzężone. Fizyczność grozy jest uzewnętrznieniem jej egzystencjalnego aspektu. Można mówić o kilku powtarzalnych elementach w utworach autora *Edenu*, które ewokują ową grozę: jest to przestrzeń – z jednej strony budząca niepokój otwartością i nieskończonością (kosmos), z drugiej przerażająca swoją duszącą hermetycznością, jednostka – ludzka i maszyna oraz wszystkie kombinacje pomiędzy nimi zachodzące, relacja przestrzeni i człowieka – jego całkowita samotność, obcość. I – co należy dodać – te składniki świata przedstawionego i zachodzące pomiędzy nimi reakcje, np., mówiąc kolokwialnie „kłopoty z komunikacją” na linii

człowiek-maszyna, pojawia się w tekstach o różnym charakterze – od katastroficznego, przez bajkowy, po groteskowo-satyryczny. Niezależnie od tego, jak zabawnie (a udaje mu się to w stopniu najwyższym) Lem prezentuje perypetie swoich bohaterów, to przebijają przez nie przeświadczenie o nieuchronnej katastrofie.

W utworze *Jak ocalał świat*, pochodzącym z *Cyberiady*, stworzona przez konstruktora Trurla maszyna umiejająca zrobić wszystko na literę „n” (ale tylko w języku polskim, *Natrium* na ten przykład nie potrafiła wytworzyć, bo to po łacinie), potrafi unicestwiać rzeczywistość, gdy inny konstruktor poleca jej zrobić Nic... Mówi ona:

Wiem, co to Niebyt, Nicość, czyli Nic, ponieważ te rzeczy należą do klucza litery n, jako Nieistnienie. Lepiej po raz ostatni przyjrzyjcie się światu, bo wnet go nie będzie...

Słowa zamarły na ustach rozjuszonym konstruktorom. Maszyna w samej rzeczy robiła Nic, a to w ten sposób, że kolejno usuwała ze świata rozmaite rzeczy, które przestawały istnieć, jakby w ogóle ich nie było.

I choć proces zniszczenia świata (poprzez usuwanie tego, co na znaną maszynie literę „n” się zaczyna) zostaje zatrzymany, to nie jest już ten sam świat. Jeden z konstruktorów, w puencie utworu, wyraża nadzieję, że nikt się nie zorientuje... I choć wszystko, jak i inne opowieści o konstruktorze Trurlu i Klapaucjuszu oraz ich perypetiach z maszynami, utrzymane zostaje w formule żartu, to utwór ten dotyka istoty sprawy, którą Lem podnosi wielokrotnie – a co się stanie, jak znany nam świat przestanie istnieć? Kiedy można mówić, że już nie istnieje? Co to znaczy?

Obawa przed nieznanym, przed innym połączona z fascynacją jest mocno obecna w fabułach kreowanych przez autora *Solaris*. To niepoznane i zagrażające człowiekowi może przybrać postać dosyć konwencjonalną, jak na przykład w utworze *Dwa potwory*:

Pojawił się wtedy na planecie nieznanym, olbrzymi stwór, którego przeraźliwa sława wnet dotarła na obie półkule. Nikt go z bliska nie widział, bo śmiałek taki już nie wracał do swoich; nie wiadomo było, skąd się ów stwór wziął; starcy utrzymywali, że wylągl się z olbrzymich wraków i porozwłóczonych dzwon osmu i tantalu, które pozostawały po zdruzgotanej asteroidami Bizmalii, nie odbudowano bowiem tego miasta. Powiadali starcy, że złe siły drzemią w bardzo starych złomach magnetycznych i są takie ukryte prądy w metalach, które się od dotknięcia burzy czasem budzą i wtedy ze zgrzytliwego pelzania blach, z martwego ruchu cmentarnych szczątków powstaje stwór niepojęty, ni żywy, ni martwy, który tylko umie: siać zniszczenie bez granic. Inni znów utrzymywali, że siłę, która potwora stwarza, dają złe uczynki i myśli; odbijają się one, jak w lustrze wklęsłym, w niklowym jądrze planety i, skupione w jednym miejscu, pory po omacku ku sobie szkielety metalowe i strupieszale szczątki włoką, aż te się w monstrum zrosną.

Lem postmodernistyczny (co oczywiście jest tematem na osobne i to obszerne rozważania)

korzysta ze struktury bajki, która pozwala mówić o lękach z pewną dozą lekkości, z przymrużeniem oka. I autorowi *Bajek robotów* wychodzi to znakomicie w każdym wymiarze: nawiązań kulturowych, gier słownych, budowanej fabuły. Nie inaczej jest w przywołanym utworze. Nie o konwencję jednak chodzi w niniejszych rozważaniach, ani nie o intelektualną zabawę, jakiej dostarcza czytelnikom pisarz, lecz o fakt, że w cytowanym fragmencie to, co budzi grozę, zostaje zmaterializowane. To, co strach wywołuje, przyjmuje postać potwora niewiadomego pochodzenia. I nieraz groza u Lema zostaje ukonkretniona, nieraz twórca buduje jedynie jej wrażenie, wynikające z relacji zachodzącej pomiędzy poszczególnymi elementami opisywanej rzeczywistości.

Do klasyki grozy, z racji słanych przez tytułową maszynę w dwie strony (od zmarłej załogi i do niej) alfabetem Morse'a wiadomości, można zaliczyć opowiadanie *Terminus*, z którego pochodzi niniejszy cytat:

Na ziemi czuło się ograniczenie ciszy, jej skończoność, chwilowość. Wśród księżycowych wydm człowiek niósł z sobą własne, małe milczenie, uwięzione we wnętrzu skafandra, który wyolbrzymiał każde skrzypnięcie rzemieni nośnych, każde chrupnięcie stawów, tętno, nawet oddech – tylko statek nocą zatracał się w czarnym, lodowym milczeniu

Niby nic się nie dzieje, a jednak ma się nieodparte wrażenie, że „coś” czai się i za chwili może się ukazać oczom bohatera i czytelników. Wyciszenie, osamotnienie, klaustrofobia skafandra połączona z wręcz agorafobicznym odczuwaniem przestrzeni niepokoi w stopniu wysokim. Antytetyczne zestawienie ciszy i skrzypnięć poruszającego się człowieka wywołuje intensywne wrażenie zagrożenia.

Wspomniana historia słania wiadomości, powiedzmy z zaświatów i z powrotem, przez tytułowego *Terminusa* w samej swojej fabule jest już pełna grozy, warto jednak zwrócić uwagę na dwie kwestie: mocno zaakcentowany nastrój niepokoju oraz sprzężony z nim status alienacji człowieka w przestrzeni, w której zostaje umieszczony – to istotny sposób kreowania nie tylko grozy, ale i świata w przywoływanej twórczości.

Lema widzenie świata to postrzeganie go jako tworu głęboko niepokojącego, niedającego pewności istnienia, niegwarantującego żadnej pewności (może dlatego nie zawsze warto traktować go całkiem serio). W finałowym dialogu Inspektora z Gregorym w *Śledztwie* przez tego ostatniego zostają wyrażone następujące myśli:

Jeżeli świat nie jest rozsypaną przed nami łamigłówką, tylko zupą, w której pływają bez ładunku i składu kawałki, od czasu do czasu zlepiające się przez przypadek w jakąś całość? Jeżeli wszystko, co istnieje, jest fragmentaryczne, nie donoszone, poronne, zdarzenia mają koniec bez początku albo tylko środek, sam przód albo tył, a my wciąż segregujemy, wylawiamy i rekonstruujemy, aż zaczynamy widzieć całe miłości, całe zdrady i klęski, chociaż naprawdę jesteśmy cząstkami, byle jacy. Nasze twarze, nasze losy urabia statystyka, jesteśmy wypadkową ruchów brownowskich,

ludzie to nie dokończone szkice, przypadkowo zarysowane projekty.

To, co całościowe, jest wyjątkiem, wszystkim rządzi statystyka, a istnieje jedynie ślepa gra, niemająca niczego wspólnego z Ładem, rozmyślania prowadzą do instancji Boga, który w przypuszczeniu Inspektora może istnieć tylko czasami. Jego interlokutor odpowiada na tę uwagę po chwili zawahania:

Może i my... (...) ... i my jesteśmy tylko czasami, to znaczy: raz mniej, niekiedy prawie znikamy, rozpływamy się, a potem nagłym skurczem, nagłym wysiłkiem, scalając na chwilę rozpadające się rojowisko pamięci... na dzień stajemy się...

Ta fragmentaryczność i chwilowość istoty ludzkiej, rzeczywistości człowieka, ta swoista, gatunkowa ułomność wyróżniająca człowieka sprawia, że trudno mu odnaleźć się w rzeczywistości nieskończonej – w Wysokim Zamku znajduje się zdanie następujące:

Jakże nie nadaje się ciało ludzkie do nieskończoności, jakie bezradne się w niej staje, każdym poruszeniem swoim objawia swój bezsens, pozbawione zbawczych ograniczeń i usprawiedliwiającego oporu ziemi, ścian, stropów.

Z kolei Pirx w Rozprawie rozmyślając o ludzkości podczas lotu, dochodzi do wniosków następujących:

Człowieczeństwo jest to suma naszych defektów, mankamentów, naszej niedoskonałości, jest tym czym chcemy być, a nie potrafimy, nie możemy, nie umiemy, to jest po prostu dziura między ideałami a realizacją.

Fragment z *Pokoju na ziemi* można potraktować jako dopowiedzenie myśli z Rozprawy:

Normalny człowiek jest istotą wysoce nielogiczną i w tym jego człowieczeństwo. To rozum, owszem, ale silnie zanieczyszczony uprzedzeniami, emocjami i przeświadczeniami wyniesionymi z dzieciństwa czy z genów ojca i matki. Dlatego robot, podający się (na przykład przez telefon) za człowieka, dość łatwo może zostać zdemaskowany przez specjalistę.

Lem bardzo mocno podkreśla odmienność człowieka, jego niedostosowanie, niedoskonałość, w *Solaris* zauważa, że może on *ogarnąć tak niewiele rzeczy naraz; widzimy tylko to, co dzieje się przed nami, tu i teraz*. Jego ograniczenia, jego inność wprowadza dysonans poznawczy i ontologiczny wobec rzeczywistości, w którą zostaje wrzucony. Świat, który doświadcza człowiek wymyka się jego rozpoznaniu, jest niepojęty, może budzić zachwyt, może budzić grozę, – i to, celowo nie zdradzając fabuły Lema, jest jego ważnym sposobem widzenia świata. Lem przygląda się światu i mu się dziwi, a jak na wirtuoza słowa przystało, czyni to finezyjnie i koncertowo.

PARTNERZY



STRASZNE-HISTORIE.PL
ODWAŻYSZ SIĘ?!





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.

Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

